tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 33 (1179)
8-15.08.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

MAŁO CHĘTNYCH DO WOJSKA

OFIARY I KACI W PANDEMII

TANIE POCIĄGI, ALE NIE W POLSCE

POLACY PRZEPIJAJĄ MILIARDY ZŁOTYCH

GRUBI DO BICIA

PRZEŚLADOWANIE

WYKLUCZENIE

DYSKRYMINACJA

SZYKANOWANIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
33 >
9 771509 311201

eprasa.pl 779b625a3f

72 Internationale Filmfestspiele Berlin
Panorama
Opening Film
BUEIFF
PRZEZABAWNY
LITTLE WHITE LIES
OD SATYRY DO FARSY
SCREEN DAILY
PROWOKACYJNIE KOMICZNY
THE HOLLYWOOD REPORTER
BIEGACZ, DZIWKA, ARAB, MĄŻ
REŻYSERIA
ALAIN GUIRAUDIE
NAJZABAWNIEJSZA SATYRA NA NASZE CZASY!
Kreatywna Europa MEDIA
uniFrance films
AURORA
W KINACH OD 5 SIERPNIA

Jerzy Domański

Przycinanie samorządów

Jeszcze jedne wakacje i czekają nas wybory samorządowe. Oby. Bo ze strony PiS są mocne zabiegi, by je przesunąć o kolejny rok. Rządząca partia ma w tym interes polityczny. A taki ruch może też się spodobać niemałej grupie samorządowców, którzy z powiązania z władzą czerpią profity dla swoich obszarów. No i tym samorządowcom, którzy mają niewielkie szanse na powtórny wybór.

Nie wolno do tego dopuścić, bo rząd od dawna wykorzystuje każdą okazję, by rozszerzać i centralizować swoją władzę. Kosztem samorządów. Co nie oznacza, że samorządy nie dostają dodatkowych zadań. Dostają. I to sporo. Tyle że nie idą za nimi pieniądze.

Niedoinwestowane szkoły, brak transportu publicznego, rachityczna służba zdrowia i śmierć kliniczna budownictwa mieszkaniowego najbardziej bolą mieszkańców gmin, miasteczek i miast. A na poprawę sytuacji samorządy lokalne nie mają wystarczających środków. W tych sprawach rząd chowa się za plecami samorządowców. Podobnie jest z uchodźcami z Ukrainy. Lokalne władze mają sobie jakoś radzić. Same. Ta sama filozofia dotyczy rodzin, które przyjęły do siebie uchodźców i po pół roku goszczenia ich ledwo zipią.

Mieszkańcy mało wiedzą o tym, że z państwowego budżetu kapie do nich tak niewiele, więc pretensje kierują do władzy, która jest najbliżej.

W sprawie przyszłości samorządów prawica ma jeden cel. Konsekwentnie przycina im możliwości działania. Decentralizacja jest czymś, co prawicę wpędza w popłoch. Wszystko chce mieć pod kontrolą. I wszystkie władze sobie podporządkować.

Samorządy to Polska w pigułce. W czasie urlopów, gdy częściej jeździmy po kraju, lepiej możemy ocenić, w jakim miejscu jest nasza mała ojczyzna. Co nas w niej uwiera i które z podpatrzonych rozwiązań warto by przenieść do siebie. Wiele jest takich miejscowości, do których warto jechać po naukę. By umocnić się w przekonaniu, że hasło „Polak potrafi" jest aktualne.

Gorzej, gdy trafimy do którejś z też licznych gmin i miejscowości, gdzie rządzi sprytnie opakowana lokalna sitwa. Gdzie wykorzystuje się reguły demokracji, by rządzić we własnym interesie, a także w interesie krewnych i znajomych. Ta sieć powiązań daje później głosy wyborcze pozwalające utrzymać władzę.

Od dawna nie ma dobrej pory na poważniejszą dyskusję nad podziałem administracyjnym kraju. Czy nie za dużo mamy małych i słabych gmin? Jaki sens mają kosztowne w stosunku do efektów powiaty? Wiem, że zainteresowani będą swojego bronili do krwi ostatniej. Ale w interesie większości są zmiany.

PS Przepraszam za pomyłkę w poprzednim komentarzu. Gen. Grot-Rowecki z decyzją o wybuchu powstania nie miał nic wspólnego.

BĄKOWSKI

CHCESZ KUPOWAĆ TANIEJ?
Zapisz się do newslettera i bądź na czasie z naszymi promocjami!
NEWSLETTER PRZEGLĄDU
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
KODY RABATOWE
OBNIŻKI SEZONOWE
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE
OFERTY SPECJALNE

eprasa.pl 779b625a3f

W NUMERZE

KRAJ

8 **Grubi do bicia**
Prześladowanie i dyskryminacja

12 **„Zieloni" kontra „czarni"**
Energetyka w potrzasku

16 **Przemoc lubi ciszę**
Statystki a rzeczywistość

19 **Droga krzyżowa do procentów**
Przepijamy 40 mld zł rocznie

22 **Ochotnik pożądany**
Z dala od służby wojskowej

24 **Harcmistrz w krzywym zwierciadle lustracji**
Uznany za kłamcę

ZAGRANICA

28 **Sankcje, Niemcy i rosyjski gaz**
– rozmowa z prof. Marzenną K. James

31 **Wyczekane i wykonane – a dalej?**
Pielgrzymka Franciszka do Kanady

34 **Pociągiem za jeden uśmiech i zero euro**
Kolejowe eksperymenty w Europie

OPINIE

38 **Paweł Dybicz**
Efekt uboczny inwazji Moskwy

HISTORIA

40 **Wszędzie leżały trupy**
Świadectwo zbrodni w powstaniu

KULTURA

42 **Alkohol w DNA i woda w usta**
– rozmowa z Sandrą Szwarc i Leną Frankiewicz

46 **Elita, emeryci i eremici**
Dom Literatów przy Krupniczej

48 **Qulturalia**

49 **Farmazoni i masoni znad Wisły**

66 **Opowieści okrutne**

ZDROWIE

50 **Chleb z pazurem**
– rozmowa z dr. Krzysztofem Dziedzicem

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

52 **Godna praca w sektorze rolnym w Norwegii – dobre praktyki**

ZWIERZĘTA

54 **Morze, nasze morze**
Wskakujemy do Bałtyku

SPORT

58 **World Sports Photography Awards**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Przycinanie samorządów

15 **Jan Widacki**
Me too…

27 **Roman Kurkiewicz**
Jawnobójstwo w świetle dnia

37 **Tomasz Jastrun**
Zakrzątani

45 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Praca hybrydy

53 **Wojciech Kuczok**
Sommer na odchodne

50
ZDROWIE

CHLEB Z PAZUREM
– rozmowa z dr. Krzysztofem Dziedzicem

54
ZWIERZĘTA

MORZE, NASZE MORZE
Wskakujemy do Bałtyku

58
SPORT

WORLD SPORTS PHOTOGRAPHY AWARDS

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 779b625a3f

Jedyny pałac, przed którym chylę czoła

Rok 1963 i ja z kilkudniową wycieczką szkolną w Warszawie. To była VI klasa. Zwiedzaliśmy Pałac Kultury, byliśmy też na koncercie w Sali Kongresowej. Przyjechaliśmy z Gdyni. Oczywiście, że ten pałac jest wspaniały, przez wiele lat służył mieszkańcom Warszawy. Teraz chcą go zabudować, zakryć wielkimi, moim zdaniem nieładnymi budynkami. Szkoda. I zupełnie mi nie przeszkadza, że to Rosjanie go dla nas zbudowali. Zresztą przy budowie pracowali również Polacy. W 2019 r. byłam w Warszawie z 10-letnim wnukiem na stałe mieszkającym w Anglii. Jemu też pałac bardzo się podobał i może za wiele, wiele lat też będzie tę wycieczkę wspominał. To przecież także jest nasza historia.

Jedyny pałac, przed którym chylę czoła

Waleria Lubner

•

Mnie, poznaniance, pałac ani korzyści kulturalno-oświatowych nie przysporzył, ani mi się nie podoba architektonicznie. Nie jestem za tym, żeby go zburzyć, ale daleka jestem od zachwytu. Ot, wtopił się w krajobraz stolicy, jak Zamek Cesarski (równie „wraży") w koloryt Poznania. I jedno, i drugie jest jakimś symbolem wpływów „zaborcy". Odczucia mam ambiwalentne, chociaż nie są one wrogie. Uważam też, że pomysł burzenia tego daru ZSRR jest równie absurdalny, jak odbudowa pałacu Saskiego.

Joanna Rowińska

Marsz Milczenia

Marsz Milczenia

Zgadzając się w dużej mierze z tekstem red. Jerzego Domańskiego o zakłamaniu historii powstania w obecnej oficjalnej propagandzie, muszę jednak zwrócić uwagę, że gen. Roweckiego „Grota" trudno czynić odpowiedzialnym za powstanie. Został aresztowany 30 czerwca 1943 r., czyli rok przed jego wybuchem. Był bardzo inteligentnym, wykształconym i przygotowanym fachowo oficerem (bez porównania lepiej od „Bora") i wcale nie wiadomo, czy dałby rozkaz do powstania, a już na pewno nie w takim momencie, w takich okolicznościach i w taki sposób, jak to się stało.

Wiktor Dłuski

•

Moim zdaniem nie powinniśmy milczeć, należy mówić, jakie to było nierozsądne. Jak można było wywołać powstanie na podstawie fałszywych założeń?

Michał Łuksa

Głęboki kryzys kapitalizmu

Powierzanie życia bezrozumnym mechanizmom prędzej czy później zaskoczy skutkami nawet największych fanów takich rozwiązań. To mniej więcej tak, jakby powierzyć dzisiaj opiekę medyczną mechanizmom ewolucji (choć akurat tych żaden człowiek nie wymyślił) i oczekiwać, że większość ludzi niezależnie od sytuacji wyzdrowieje, a nawet będzie się miała nad wyraz dobrze, dożywając dziewięćdziesiątki.

Michał Błaszczak

•

Kisiel swego czasu miał powiedzieć, że socjalizm rozwiązuje problemy, które sam stwarza. No to zamieniliśmy go na ustrój, który stwarza nie tylko problemy, ale wręcz katastrofy, jednak rozwiązywać ich nie próbuje ani nawet nie zamierza.

Krzysztof Guderski

ZDJĘCIE TYGODNIA

W zakładzie rękodzielniczym w Kandaharze praca wre bez względu na wysokość temperatury. Afganistan, 30 lipca 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 779b625a3f

W rocznicę wybuchu powstania warszawskiego warto przypomnieć słowa wybitnego psychologa **prof. Janusza Reykowskiego**: „Mamy tradycję stawiania na pierwszym miejscu takich cnót jak bohaterstwo i poświęcenie. Zaś ochrona życia ludzkiego i realia polityczne zdają się pozostawać w cieniu" **(„Ale Historia").**

•

Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, uparcie prezentuje pisowską wersję historii. Przy okazji 78. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego przemówił w sposób obrażający ludzką inteligencję.

•

Piotr Krawczyk, szef Agencji Wywiadu, podał się do dymisji… ze względów zdrowotnych. W tle są jednak afera respiratorowa i wojna między służbami o wpływy i budżet.

•

Bilans siedmiu lat rządów PiS, Solidarnej Polski i małych koalicjantów: najwyższa inflacja od 25 lat, najniższa liczba urodzin od czasów wojny, złotówka najsłabsza od 25 lat, dolar najdroższy względem złotego od 1990 r., zadłużenie państwa też największe.

•

Najbiedniejszymi gminami w Polsce są: **Potok Górny** w Lubelskiem z dochodem podatkowym na mieszkańca równym 523,72 zł, **Przytuły** (558,67 zł) i **Turośl** (586,07 zł) w Podlaskiem oraz **Lipnica Wielka** w Małopolskiem (588,74 zł).

•

W Polsce działa ponad 6 tys. firm z niemieckim kapitałem, które zatrudniają ok. 300 tys. pracowników. Najwięcej w przetwórstwie przemysłowym, finansach, ubezpieczeniach i handlu.

•

11 112 Ukraińców otrzymało w tym roku zakaz wjazdu do Polski, w tym 4,8 tys. po wybuchu wojny. To prawie 90% wszystkich odmów na granicy **(„Rzeczpospolita").**

•

Kurhan Haralda Sinozębego, króla Danii i Norwegii z X w., odkryto w Wiejkowie (Zachodniopomorskie). Harald zginął prawdopodobnie w 986 r. w Jomsborgu, twierdzy wikingów (dziś Wolin), 5 km od Wiejkowa **(„Angora").**

•

Książka **„Strajk" Rafała Milacha,** według projektu **Ani Nałęckiej-Milach,** dostała główną nagrodę w kategorii książek autorskich na prestiżowej francuskiej imprezie Les Rencontres d'Arles. Książka przedstawia kadry ze Strajku Kobiet w 2020 r.

•

Statuty Łaskiego z 1506 r. zrabowane przez Szwedów w połowie XVII w. nie wrócą do Polski. Szefowa dyplomacji Szwecji odrzuciła polską propozycję.

•

Poseł Paweł Kowal (KO) jest marzeniem taksówkarzy. W 2021 r. wydał na przejazdy 38 403 zł. Zapłaciła Kancelaria Sejmu. Do rekordzistów należy też poseł **Łukasz Mejza**, skandalista i niedawny pisowiec, który wydał 5727 zł. Ale co to jest przy pośle ministrze sportu **Kamilu Bortniczuku**, który na paliwo wydał 35 tys. zł, a ma przecież samochód służbowy.

•

O 43% zmalała w pierwszym półroczu liczba mandatów za ujawnione przez fotoradary przekraczanie prędkości. Taki jest efekt dużo wyższych mandatów. Oby było to zjawisko trwałe.

PRZEBŁYSKI

Kort imienia nieznanego tenisisty

Polski tenis wyróżnia się nie tylko Igą Świątek. Za jej plecami aż kotłuje się tam od polityki. Karty rozdaje PiS. Od 2017 r., gdy prezesem Polskiego Związku Tenisowego został Mirosław Skrzypczyński. Dzięki zabiegom byłego rzecznika PiS Adama Hofmana, który za tę usługę trafił do PKOl. Ścieżka została przetarta i do tenisa przytulali się kolejni pisowcy. A za nimi szły państwowe pieniądze. Z narodem na sztandarach. W ten sposób na prywatnym terenie w miejscowości Kozerki pod Grodziskiem Mazowieckim powstało… Narodowe Centrum Szkolenia PZT. Za kilkanaście milionów złotych. W nim kort centralny im. Lecha Kaczyńskiego. Minister sportu Kamil Bortniczuk ma sukces. Może zaraportować prezesowi PiS, że będzie memoriał imienia pary prezydenckiej Marii i Lecha Kaczyńskich.

Saksonia dołoży albo nie?

Niemcy zburzyli w 1944 r. pałac Saski do poziomu poniżej fundamentów, a teraz może się okazać, że Niemcy z Saksonii dołożą się do budowy nowego budynku. Budowy, a nie odbudowy, jak próbuje się wmówić Polakom. Trudno przecież odbudować coś, czego po prostu nie ma. A na dodatek z pałacem ma tyle wspólnego, co decyzja o wydaniu na to 3 mld zł z rozumem. Saksończycy pakują się w ten kiepski pomysł, bo August II i August III byli naszymi wspólnymi królami. Jak się zapisali w historii? Napiszemy o tym jeszcze. Będzie z czego się pośmiać.

Kurski atakowany z prawej

Jeśli ktoś myśli, że Podkarpacie kocha i ceni TVPiS Jacka Kurskiego i Polskie Radio, też pisowskie, może bardzo się zdziwić. Jacek Kotula, radny podkarpackiego sejmiku, na łamach organu o. Rydzyka zażądał przywrócenia mediów publicznych narodowi. Co go tak wkurzyło? Ano to, że tylko rzekomo są to media realizujące misję! Bo co radny Kotula tam widzi? Seriale niewymagające większego myślenia, festynową muzykę, publicystykę na poziomie seriali. Byle rosły słupki oglądalności. No i rosną. Ale rośnie też ruch oporu na prawej flance.

Okna i billboardy

Mateusz Kłosek to nietypowy miliarder. Z majątkiem szacowanym na 3,76 mld zł jest właścicielem dynamicznie rozwijającej się firmy Eko-Okna z siedzibą w Kornicach k. Raciborza. Ale nie tylko z okien Kłosek jest znany. Zwłaszcza teraz, gdy poprzez założoną przez siebie fundację prowadzi billboardową kampanię pro-life. Jednym ona się podoba, drugim nie. Emocje oceniających są skrajne. Choć ta forma billboardów raczej prowokuje do refleksji, niż odrzuca. Kłosek jest nietypowy, bo wydaje własne pieniądze na promocję bliskich mu poglądów. Ma misję. Sięga głęboko do własnej kieszeni. Wielu polskich milionerów ma inne poglądy, ale woli się z nimi nie obnosić. A i kasy im szkoda.

FOT. YOUTUBE (2), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 779b625a3f

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co z Polski Ludowej warto przenieść do obecnych czasów?

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Tym, czego obecnie szczególnie w Polsce brakuje, są równe szanse rozwoju dla wszystkich obywateli. W poprzednim systemie zwłaszcza dostęp do edukacji nie był uzależniony od tego, w jak dużej miejscowości i w jak zamożnej rodzinie urodziła się dana osoba. Drugim plusem tamtych czasów była pewność zatrudnienia – nikt nie musiał żyć w lęku przed bezrobociem. Ważną zaletą PRL był także lepszy dostęp do mieszkań. Choć nieraz czekało się na nie bardzo długo, nie trzeba było mieć własnego kapitału ani zadłużać się na dziesiątki lat. Cenne było również to, że kobiety w ciąży mogły decydować o własnym losie.

ANTONINA LEWANDOWSKA,
aktywistka na rzecz praw kobiet, edukatorka seksualna

Dosyć oczywistą odpowiedzią jest bardziej liberalna ustawa aborcyjna. Nie była idealna, ale była bez porównania lepszym punktem startowym niż obecna. Umożliwienie legalnej aborcji każdej osobie, która jej potrzebuje, jest absolutnym minimum praw reprodukcyjnych. Drugi punkt, nad którym zdecydowanie warto byłoby się pochylić, to obowiązkowe okresowe przeglądy zdrowotne. W ich ramach przeprowadzano m.in. badania w kierunku chorób i infekcji przenoszonych drogą płciową. W tej chwili publiczny system opieki zdrowotnej nie refunduje takich testów, horrendalnie drogich. Co prawda, część można bezpłatnie wykonać w punktach konsultacyjno-diagnostycznych, natomiast nie prowadzimy żadnego stałego monitoringu seksualnego zdrowia publicznego, czego skutkiem są m.in. „niewidzialne" epidemie rzeżączki, kiły i chlamydiozy. Trzecia rzecz to symbolizowane przez koła gospodyń wiejskich przestrzenie, w których można było się spotykać, odpoczywać i wspólnie zajmować tym, na co miało się ochotę. Dziś, kiedy wszystkiego jest za dużo i wszystko robimy za szybko, bardzo brakuje takich instytucji.

WIESŁAW KOŁAK,
prezes Towarzystwa Przyjaciół Dzieci

Trwające wakacje przypominają mi, jak było dawniej z wypoczynkiem dzieci i młodzieży. Szczególną wartość miały turnusy dla osób chorych i z niepełnosprawnościami, a ich koszty prawie w całości pokrywało państwo. Co istotne, trwały one tak długo, jak było to niezbędne, by przyniosły określone korzyści zdrowotne. Przykładowo turnus dla dzieci cierpiących na cukrzycę musiał trwać, o ile dobrze pamiętam, 31 dni i żaden lekarz nie zgodziłby się, by go skrócić chociaż o dzień. Gdy wspominam lata 60. i 70., kiedy pracowałem w Centrum Rehabilitacji, Edukacji i Opieki TPD „Helenów", to w dzisiejszej rzeczywistości bardzo mi brakuje także powszechności gabinetów dentystycznych.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 779b625a3f

GRUBI DO BICIA

Nadwaga i otyłość dotyka aż 59% polskiego społeczeństwa, a jednak ta większość doświadcza dyskryminacji i wykluczenia

Maria Mamczur

Skąd ta nienawiść?

Co powoduje 12-latkiem, który ku uciesze kolegów z klasy wbija grubej koleżance cyrkiel w ramię, tłumacząc, że chce się dowiedzieć, czy tłuszcz osłabia ból? Dlaczego ta dziewczynka się nie broni? Dlaczego nikt dorosły jej nie broni?

Co sprawia, że lekarz na oddziale ratunkowym nazywa 20-latka chorującego na otyłość olbrzymią słoniątkiem i zaśmiewa się, że pacjent, który nie mieści się w kołnierzu tomografu przeznaczonego do badania ludzi, musi być prześwietlony w pobliskim zoo tomografem dla zwierząt? Co powoduje ludźmi, którzy robią sobie zdjęcia ze „słoniątkiem", z satysfakcją odnotowując fakt, że chłopak z powodu większej wagi leży w korytarzu, na materacu, a nie na łóżku szpitalnym?

Z jakiego powodu ktoś brutalnie wypycha otyłą kobietę z autobusu, mówiąc, że ta świnia zajmuje za dużo miejsca i psuje powietrze? Dlaczego nikt nie reaguje?

Dlaczego pracodawca odsyła otyłego pracownika na zaplecze, by „nie psuł" mu kontaktu z klientami? Dlaczego 25-latka, szukając zatrudnienia, wysyła 100 ofert z bogatym CV, ale każda rozmowa o pracę kończy się po pierwszym spotkaniu? Kobieta po dobrych studiach, mająca w dorobku zrealizowane ciekawe projekty i stanowisko dyrektora departamentu, jest otyła i to wystarczy, by pracy nie dostała.

Słowa jeszcze niedawno nieobecne w przestrzeni społecznej – fatfobia (niechęć do większego ciała) i weightism (nienawiść do osób grubych) – wybrzmiewają coraz mocniej, zwłaszcza tam, gdzie mówi się o równości społecznej, dyskryminacji i wykluczeniu. To się dzieje obok nas, nawet jeśli tego nie widzimy. Nie mając problemów z wagą, nie zastanawiamy się nad tym, jak to jest być grubym i żyć w świecie, który grubymi gardzi, brzydzi się nimi, wyśmiewa. Nie analizujemy, bo nie wiemy. Skąd mamy wiedzieć? W stereotypach nie ma miejsca na wiedzę o chorobie. Grubi cierpią po cichu. Z poczuciem wstydu i winy. Za to, że jedzą, może nawet za dużo. Albo za to, że nie jedzą za dużo, ale i tak tyją. Jedzą nie to, co powinni. Pocą się. Za mało ruszają. Zajmują za dużo miejsca. Są tacy nieestetyczni – zwłaszcza latem na plaży. Sapią. Nie dają rady wejść na czwarte piętro. Leżą na kanapie. Chorują. Doprowadzili się do takiego stanu. Jak można było?

Tak ich widzi społeczeństwo.

Grubi nie pasują do świata pięknych, wiecznie młodych i bogatych, a jeśli nie pasują, to mogliby zniknąć! Zniknąć lub się naprawić i schudnąć.

Nieprawda? Kolejny rozdmuchany problem?

Gdybym w pewnym momencie życia nie zachorowała i nie nabrała wskutek tej choroby większej masy ciała, zapewne nie pomyślałabym o napisaniu książki „Gruba. Reportaż o wadze i uprzedzeniach". Wcześniej bowiem nie zdawałam sobie sprawy, że można niszczyć człowieka tylko dlatego, że jest grubszy, niż przewiduje norma.

Lekarz: Żryj mniej

Musiałam sama doświadczyć, odczuć osobiście, czym jest fatfobia,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 779b625a3f

w gabinetach lekarskich, gdy próbowałam uzyskać diagnozę, poznać przyczynę – dlaczego tyję niemal od powietrza, nie zmieniając dobrze zbilansowanej diety, zapewniając organizmowi umiarkowaną dawkę ruchu. Zamiast pakietu dodatkowych i specjalistycznych badań dostawałam od lekarzy dobre rady: „ŻM, pani Mario (po doprecyzowaniu – żryj mniej). Mniej chlebka i ziemniaczków, więcej ruchu".

Jak się okazało już podczas pracy nad książką, doznane przeze mnie szykany ze strony lekarzy były wręcz niewinne wobec tego, co przeżyli moi bohaterowie.

Karolina, studentka, nie dostała od ginekologa recepty na środki antykoncepcyjne. Lekarz spojrzał z obrzydzeniem na jej 25-letnie ciało z 20 kg nadwagi i powiedział, że pigułki i tak nie będą jej potrzebne, „bo żaden facet nie dotknie takiej tłustej świni".

Olga, pacjentka z nadwagą, cierpiała na dokuczliwe, silne bóle wywołane przez kamicę żółciową. Została zakwalifikowana do zabiegu usunięcia woreczka żółciowego. Zapisała się do szpitala na marzec 2018 r. W dniu przyjęcia do szpitala lekarz poinformował ją, że operacja w najbliższych dniach się nie odbędzie. Stwierdził tylko: „Proszę schudnąć 20 kg, bo nie sądzę, żeby pani z taką wagą przeżyła tę operację". Jednocześnie lekarz wyznaczył pacjentce kolejny termin – na koniec maja 2019 r.

Po pewnym czasie Olga zapisała się na zabieg do innego szpitala. Została przyjęta, była pewna, że zostanie zoperowana. Po trzech dniach hospitalizacji jeden z lekarzy podczas obchodu „zaczął szarpać jej brzuch" i stwierdził, zwracając się do drugiego, że w tym przypadku na pewno nie da się wszyć siatki. Tego samego dnia Olga została wypisana do domu. Lekarz prowadzący stwierdził, że pacjentka musi najpierw schudnąć 5 kg. Ubolewał też nad tym, że szpital musi zamówić siatkę odpowiedniej wielkości.

Iwona podczas wizyty u lekarza rodzinnego poprosiła o skierowanie na rehabilitację. Po przeprowadzeniu wywiadu lekarz nakazał jej rozebranie się i zważenie. Był przy tym bardzo nieprzyjemny i arogancki. Twierdził, że „wszystko, na co cierpi pacjentka, to tylko wynik olbrzymiej tuszy". Dodał jednak, że nie zaleca uprawiania sportu, bo w jej przypadku nadmierny wysiłek grozi wylewem. Postraszył, że w sytuacji udaru niebezpieczeństwo śmierci jest duże, bo ze względu na tuszę nie będzie można przetransportować jej sprawnie do szpitala. Po wizycie Iwona postanowiła, że nie będzie już korzystała z usług lekarza rodzinnego.

Celebrytka, znana z programu „Dieta czy cud" w TVN, usłyszała na wizji od lekarza specjalizującego się w operacjach bariatrycznych: „Jeśli pani się nie zoperuje, nie dożyje pani 50. roku życia. Jeżeli zdecyduje się pani na dziecko, nie dożyje pani jego balu maturalnego". Była tą informacją przerażona i upokorzona.

Przyjaciółka: **Czy ty na pewno dobrze jesz?**
Sąsiadka: **Jak ona się zapuściła!**

Fatfobia w kontaktach społecznych przejawia się poprzez obelgi, epitety typu: świnia, pasztet, wieloryb, kaszalot; w formie dowcipu, rubasznego żartu, zamanifestowanej spojrzeniem czy gestem niechęci.

Haley Morris-Cafiero, pochodząca z Atlanty, wielokrotnie nagradzana fotografka i performerka, wykładowczyni fotografii na wydziale sztuki na Uniwersytecie Northampton, zrobiła serię zdjęć, na których widać społeczne uprzedzenia wobec otyłych i jawną niechęć okazywaną grubej osobie przez zwykłych przechodniów. Główna bohaterka projektu robiła to samo co inni. Spacerowała nicejską promenadą. Siedziała wśród turystów na schodach z aparatem w dłoni. W upalny dzień, stojąc na przystanku w oczekiwaniu na autobus, jadła małe lody z kubeczka. Przymierzała modną bluzkę w sklepie. Na ulicy Nowego Jorku stała w kolejce po kanapkę. Szła z ręcznikiem na plażę. Nie była ubrana inaczej niż inni. Nie zachowywała się absurdalnie. Gdyby nie była gruba, nikt by nie zwracał na nią uwagi. Niechęć obserwatorów była oczywista. Spojrzenia z ukosa, urągliwy śmiech, wytykanie palcami czy wręcz naigrawanie się. Z wystawą, która w dojmujący sposób dokumentowała fatfobię, Haley Morris-Cafiero objechała USA, Europę i Japonię. Niektóre zdjęcia zamieściła na swoim profilu na Facebooku. Dociekliwsi obserwatorzy mogli odkryć, że Gruba ze zdjęć to artystka we własnej osobie.

Projektując tę serię fotografii, zapewne założyła, że tylko gruby, który doświadczył wykluczenia i nienawiści, może wiarygodnie opowiedzieć o destrukcyjnej i powszechnej fatfobii. A jednak spotkała się z twierdzeniami, że na zdjęciach nie widać nienawiści. Że to jej

Nie zastanawiamy się, jak to jest być grubym i żyć w świecie, który grubymi gardzi, brzydzi się nimi, wyśmiewa.

Agnieszka, mieszkanka Warszawy, wezwała pogotowie z powodu obrzęku i silnego bólu w nodze. Podejrzewano śmiertelnie niebezpieczną zakrzepicę. W ciągu 12 godzin karetka przyjeżdżała trzykrotnie. Za każdym razem odmówiono wzięcia Agnieszki do szpitala ze względu na jej otyłość. Ważyła 150 kg i dwoje ratowników medycznych nie było w stanie dotransportować jej do karetki. Ratownik medyczny odmówił wezwania do pomocy drugiego zespołu pogotowia, twierdząc, niezgodnie z prawdą, że nie ma takich możliwości. Naigrawał się: „Pani spojrzy, jak ja wyglądam, a jak pani wygląda". Podniesionym głosem pytał, czy ma wezwać straż pożarną (stołeczna jest wyposażona w karetki do przewozu ludzi otyłych). Agnieszka krzyczała z bólu. Jej rodzina prosiła ratownika o numer telefonu, pod którym mogliby uzyskać pomoc. Ten stwierdził, że nie jest biurem informacji, więc sama sobie powinna ten numer znaleźć. Dał zastrzyk przeciwbólowy, który działał przez chwilę. Po kilkunastu godzinach 48-letnia Agnieszka zmarła.

eprasa.pl 779b625a3f

przewrażliwienie, bo jest grubaską. A grubasy, wszyscy to przecież wiedzą, użalają się nad sobą, zamiast wreszcie się odchudzić – przestać jeść i zacząć się ruszać. Oskarżano ją nawet, że wyrządziła krzywdę uchwyconym na fotografiach przechodniom, bo co inni sobie o nich pomyślą? Sugerowano jej, że wykonała te zdjęcia, bo chciała się wyróżnić.

Trudno pojąć, czym miałaby się wyróżniać, skoro robiła dokładnie to samo co inni. Różniła się od nich jednym – była gruba!

Na naszym rodzimym gruncie takie zachowania są powszechne – obcinanie wzrokiem, dokuczanie, wyśmiewanie, okazywanie pogardy i wstrętu, zawstydzanie.

Bohaterowie mojej książki opowiadali o tym, że wstydzili się jeść publicznie, bo bali się reakcji, z którymi mieli wcześniej do czynienia – zaglądania do ich talerza, dowcipkowania, że gruby nie powinien jeść, bo ma już zapasy tłuszczu. Bali się rozebrać na plaży, bo stykali się z głośno wyrażaną nienawiścią, obrzydzeniem i zawstydzaniem.

Słowa fatfobia (niechęć do większego ciała) i weightism (nienawiść do osób grubych) wybrzmiewają coraz mocniej.

Fatfobia często ukrywa się pod płaszczykiem troski o zdrowie. Moi bohaterowie i ja doświadczyliśmy tego wielokrotnie. Każdy gruby nieraz słyszał: „Co się z tobą stało?", „Czy ty na pewno dobrze jesz?", „Próbowałaś coś z tym zrobić?", „Wiesz, że grozi ci przedwczesna śmierć – zawał, udar, rak? Weź się za siebie!".

Grubi wraz z rosnącą masą ciała nie tracą bynajmniej zdolności poznawczych. Dobrze wiedzą, czym jest BMI, indeks glikemiczny, dieta. Mają w małym palcu przelicznik kalorii. I naprawdę nie chcą być grubi! Jak wyznała mi prof. dr med. Magdalena Olszanecka-Glinianowicz, wybitna polska obesitolożka – zajmująca się leczeniem otyłości, większość jej pacjentów to ofiary restrykcyjnych diet, każda taka dieta bowiem prowadzi w efekcie do zaburzeń metabolizmu i radykalnego spowolnienia przemiany materii.

Trenerka fitness: Rusz dupę i przestań jeść wiadrami frytki

Człowiek jest gruby z wielu powodów. Medycy odkryli do tej pory 52 czynniki wpływające na chorobę, jaką jest otyłość. Oprócz zaburzeń odżywiania, kompulsywnego zajadania stresu nabiera się większej masy ciała z powodu zaburzeń hormonalnych wynikających z chorób tarczycy, przysadki mózgowej i nadnerczy, a także wskutek zażywania pewnych leków – sterydów, leków onkologicznych czy psychotropów. Eksperci dopatrują się przyczyn otyłości w genach, w rodzinnych schematach żywienia.

Niektórzy zwracają uwagę na pewną klasowość zjawiska. Biedniejsi nie mają odpowiednich zasobów, by kupować zdrową, ekologiczną żywność, bez dodatków – szkodliwych substancji zaburzających metabolizm, np. hormonów i antybiotyków w mięsie, utwardzonych tłuszczów roślinnych czy nadmiaru cukru w przetworach. Nie mają pieniędzy, by opłacić karnety w siłowniach. Nie mają wolnych chwil, które mogliby poświęcić na treningi. Powiedzcie grubej kobiecie, która cały dzień siedzi przy kasie albo przestawia tony towarów na półkach w supermarkecie, że po pracy ma ćwiczyć, by schudnąć i pięknie wyglądać. Bo warto też zauważyć, że dziś nie wystarczy mieć szczupłe ciało. Ono musi być jeszcze wyrzeźbione przez wielogodzinne treningi.

Bez względu na to, jaka jest faktyczna przyczyna otyłości, większość naszego społeczeństwa ulega stereotypom: gruby to ktoś, kto je ponad miarę, jest leniwym nieudacznikiem, skazanym na porażkę. Leży na kanapie przed telewizorem, zajada czipsy, frytki, wiadro kaszanki, popija kubłem smalcu, nie dba o siebie, jest flejtuchem.

Taki człowiek nie ma szans na awans społeczny, lepszą pracę, przynależność do elity, choćby nie wiem jak do niej aspirował. Taka postawa świetnie się wpisuje w neoliberalny system, gdzie człowiek sam jest autorem sukcesu, ma pieniądze, które zapewniają prestiż i możliwości. Uwarunkowania społeczne się nie liczą.

Gruby więc, a zwłaszcza gruba kobieta, która w naszym patriarchalnym społeczeństwie nadal jest wizytówką mężczyzny, dodatkiem do niego, staje się łatwą ofiarą. Nie broni się, bo trudno jej przerwać błędne koło fatshamingu – zawstydzania z powodu większej masy ciała i wzbudzania poczucia winy. Jesteś gruby, bo sam na to zapracowałeś. To twoja wina i twój wstyd.

Fatshaming jest skutecznym narzędziem przemocy. I dobrze się wpisuje w mechanizmy rynkowe. Zarabiają na nim producenci suplementów diety, właściciele imperiów fitness, gdzie oprócz karnetów na siłownie sprzedaje się pakiety badań genetycznych, za które trzeba z góry zapłacić ok. 9 tys. zł. Właściciele gabinetów medycyny estetycznej, z liposukcją, kriolipolizą, kompresjoterapią, likwidacją fałdów skóry, które pozostają po odchudzaniu, itd.

Celebrytki, trenerki fitness na swoich blogach, w mediach społecznościowych cynicznie napędzają fatshaming. Piszą wprost: „Rusz dupę z kanapy, przestań narzekać i jeść wiadro frytek". Jedna z influencerek uszyła sobie kostium – na swoje szczupłe, wyrzeźbione codziennymi treningami ciało nałożyła wielki, wypełniony gąbką trykotowy brzuch i równie wielkie pośladki, by w rytmie muzyki Beyoncé pokazać, że każdy, nawet gruby, może ćwiczyć tak jak ona. Stand-uperzy – kabareciarze, nawet ci otyli, wyśmiewają otyłość i problemy, jakie ona niesie. Publika się śmieje, a prześmiewca inkasuje kilkadziesiąt tysięcy za występ.

Telewizje komercyjne co jakiś czas prowadzą programy pokazujące metamorfozy. Chętny (który nie ma pieniędzy, by zafundować sobie tę metamorfozę nie w świetle jupiterów i przed wielomilionową

eprasa.pl 779b625a3f

publicznością) zwierza się widzom z tego, że jest nieszczęśliwy, bo waży za dużo. Bo grzeszył, jedząc za dużo, a może za bardzo lubił słodycze. Bo chce być jak reszta pięknego świata. Nie odstawać. Nie narażać się na śmieszność. Publiczność kocha takie programy. Popularność napędza reklamy i daje konkretny zysk. Widzowie czują litość. Jest najłatwiejsza, karmi ego, dając poczucie, że jest się wyżej niż ten biedny delikwent na wizji. To nic, że główny bohater już na wstępie jest upokorzony. A potem, kiedy metamorfoza przeprowadzona pod okiem zespołu drogich rynkowo specjalistów staje się wspomnieniem, kiedy cichną oklaski, gasną światła jupiterów, on – wracając do swojej szarej rzeczywistości, uświadamia sobie, że jest naprawdę na dnie, niewystarczający; że nigdy nie będzie go stać na spektakularną zmianę we własnym zakresie. Był kukłą w przedstawieniu, ludzkim przykładem, że można być pięknym, szczupłym, wystarczy mieć pieniądze i bardzo się postarać.

Wolę wpaść pod ciężarówkę, niż przytyć

Te słowa wypowiedziała jedna z respondentek amerykańskiej psycholożki Renee Engeln, która zajmuje się badaniem psychospołecznych aspektów otyłości. Lęk przed nadmierną wagą jest tak silny, że prowadzi do bardzo ryzykownych, destrukcyjnych zachowań. Bohaterki mojego reportażu, żeby osiągnąć idealną sylwetkę (w efekcie współczesny kanon urody jest coraz trudniejszy do osiągnięcia), kupowały kapsułki z larwami tasiemca, toksyczne pestycydy sprzedawane jako skuteczne spalacze tłuszczu, głodziły się, doprowadzając swój organizm do ruiny.

24-letnia studentka miała niewielką nadwagę. Chciała być szczupła, więc w internecie kupiła DNP – toksyczny spalacz tłuszczu, silnie trujący pestycyd, wykorzystywany do zwalczania chwastów w uprawach, a przez Amerykanów podczas wojny w Wietnamie do niszczenia pastwisk i lasów. Po kilku dniach od zażycia pierwszej tabletki zaczęła się uskarżać na złe samopoczucie – drżenie ciała, zlewne poty, przyśpieszenie czynności serca, duszność i coraz wyższą gorączkę. Nie miała siły wstać z łóżka. Przyjaciółka robiła jej zimne okłady. Nie przynosiły ulgi. Ręcznik natychmiast parował. „Kiedy jej dotykałam, woda parowała. Nie mogła oddychać. Dusiła się", zeznawała potem jej matka. Dziewczyna trafiła do szpitala. Nie przyznała się do brania tabletek. Prawdopodobnie tam też połknęła pigułkę. Lekarze nie wiedzieli, co jej jest. Pierwszy raz obserwowali tak nietypowe objawy. W czasie intubacji z ust Martyny wydostawała się krwista piana. Dziewczyna traciła przytomność. Potem z rurki intubacyjnej zaczęła chlustać krew. Martyna stała się pobudzona i agresywna wobec pielęgniarek. Czuła silny lęk. Nie mogła oddychać. Trzeba było przypiąć ją pasami do łóżka. Podczas walki o życie Martyny lekarze znaleźli w jej torebce opakowanie z tabletkami, które brała. Było prawie puste. Nie pomogła nawet pomoc toksykologów. „W przypadku zażycia tego specyfiku nie ma żadnego antidotum", zeznała lekarka. Martyna zmarła w czasie reanimacji 17 maja 2013 r. Ugotowała się. Śluzówkę przewodu pokarmowego i oddechowego miała wypaloną.

Jedna z bohaterek mojej książki znała z mediów tę historię, co nie powstrzymało jej przed zakupem tej substancji w darknecie za bitcoiny, by nie było śladu transakcji.

Człowiek jest gruby z wielu powodów. Medycy odkryli do tej pory 52 czynniki wpływające na otyłość.

Maria Mamczur *Gruba. Reportaż o wadze i uprzedzeniach,* Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

Inna bohaterka chorowała na otyłość olbrzymią. Pod opieką dietetyka i instruktora fitness zredukowała wagę o 62 kg. Jednak strach przed ponownym przytyciem był tak silny, że zachorowała na ciążoreksję – w czasie ciąży ograniczała jedzenie. Urodziła synka ze znaczną niedowagą. Przez dwa tygodnie w napięciu czekała na kompletną diagnozę, czy jej dziecko będzie w pełni sprawne. Przez ten czas obgryzła paznokcie do krwi. – W chwili stresu – wyjaśniła mi potem w rozmowie – mam odruch wkładania czegokolwiek do ust. Paznokcie odrosną. Dodatkowe kilogramy zgubić trudniej.

Może za bardzo usprawiedliwiasz otyłość

Po publikacji książki „Gruba. Reportaż o wadze i uprzedzeniach" dostałam od Czytelników wiele listów. Pojawiły się też osobiste recenzje. Zastanowiła mnie jedna z nich: „Jako osoba otyła po lekturze tej książki mam mieszane uczucia. Z jednej strony potrzebuję wsparcia, ale z drugiej czuję, że autorka usprawiedliwia moją otyłość, może za bardzo?".

Gdybym miała taką możliwość, odpowiedziałabym: czy grubi muszą się usprawiedliwiać, by zyskać zrozumienie i należny im szacunek? Czy stoją przed sądem?

Maria Mamczur

eprasa.pl 779b625a3f

„Zieloni" kontra „czarni"

Unijny „zielony ład" wraz z pakietem „Fit for 55" przegra w Polsce z węglem, zbożem, chrustem i starymi oponami

Marek Czarkowski

Trudno w to uwierzyć, ale w połowie lipca 2021 r. Komisja Europejska zakładała w ramach walki z efektem cieplarnianym, że docelowy udział odnawialnych źródeł energii w energetyce krajów członkowskich UE ma w roku 2030 wynieść 40%.

Forsowany przez Brukselę pakiet „Fit for 55" przewidywał usunięcie z atmosfery 310 mln ton emisji dwutlenku węgla. A nawet zasadzenie 3 mld drzew w całej Europie do tegoż roku 2030.

Dziś mało kto o tym wspomina. Ożywienie gospodarcze po pandemii COVID-19 oraz wojna w Ukrainie sprawiły, że ceny surowców energetycznych pobiły historyczne rekordy i zdemolowały utrwalony przez dekady wygodny styl życia Europejczyków.

Z powodu wysokich cen nośników energii Niemcy oraz Brytyjczycy w obliczu nadchodzącej jesieni i zimy planują rezygnację z oświetlania miast, wprowadzają ograniczenia w ogrzewaniu budynków użyteczności publicznej oraz mają zamiar otworzyć dla najuboższych obywateli miejsca, w których ci mogliby się ogrzać.

Polacy – zwłaszcza mieszkający na wsi i w miasteczkach, przerażeni brakami węgla kamiennego na składach, rzucili się zbierać chrust, szyszki, liście, gromadzić stare opony, meble i wszystko, co nadaje się do spalenia.

Ci mieszkający w dużych miastach klną, czytając propozycje podwyżek opłat za ciepłą wodę i ogrzewanie. Ten, kto płacił 600 zł, zapłaci wkrótce 1,2 tys., a kto płacił 1 tys., będzie musiał wyłożyć 2 tys. zł.

W ostatnich tygodniach na terenach wiejskich hitem stał się owies, którego tona kosztuje ok. 1,2 tys. zł. Można nim z powodzeniem palić w piecach, gdyż jego wartość energetyczna jest zbliżona do peletu. Przy czym tona peletu kosztuje nawet 3174 zł.

Rynek przebojem zaczyna zdobywać nowy produkt – „pelet ze zboża", w cenie 1850 zł za tonę. Co dobrze świadczy o przedsiębiorczości Polaków, którzy dostrzegli lukę rynkową. Co prawda, to nic nowego – w Brazylii w przeszłości palono w parowozach ziarnami kawy, a w Stanach Zjednoczonych kukurydzą. Ze zbóż produkuje się etanol, który dodawany jest do benzyny, a z rzepaku – estry metylowe kwasów tłuszczowych, dodawane do oleju napędowego.

Palenie w piecach owsem, pszenicą lub peletem ze zboża ma głęboko ekologiczny charakter. I daje nadzieję, że jakoś tę zimę przetrwamy. Jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę setki tysięcy ton zbóż, które wkrótce wjadą do Polski z Ukrainy, problem z ogrzewaniem domów i mieszkań na terenach wiejskich może rozwiązać się sam. Czy to oznacza koniec problemów? Otóż nic bardziej mylnego.

Ekologia w odwrocie

Długo jeszcze świat nie obejdzie się bez węgla, ropy i gazu. W XIX i XX w. kraje zachodnie rozwijały się i budowały swój dobrobyt dzięki dostępowi do tanich surowców energetycznych. Najpierw był to węgiel kamienny, a potem ropa naftowa, gaz ziemny, a w końcu rudy uranu. Nie byłoby fantastycznego rozwoju gospodarczego Stanów Zjednoczonych, niemieckiego, francuskiego i włoskiego „cudu gospodarczego" po II wojnie światowej, gdyby nie tania ropa naftowa z Arabii Saudyjskiej, Iraku, Iranu oraz Libii po 2 dol. za baryłkę.

Piękny sen prysł w roku 1973, gdy kraje OPEC wprowadziły embargo na sprzedaż ropy naftowej do krajów wspierających Izrael w wojnie Jom Kipur. Za baryłkę przyszło płacić 35 dol. Zachodnie gospodarki przeżyły wstrząs, którego efektem były kryzys gospodarczy i wzrost bezrobocia oraz problemów społecznych. Dostosowanie się gospodarek do nowych warunków zajęło Zachodowi dekadę.

W Stanach Zjednoczonych krążowniki szos z silnikami o pojemności od 5 litrów wzwyż zostały wyparte przez japońskie samochody małolitrażowe, które były tańsze w eksploatacji. W Europie święciły triumfy fiaty 126 i volkswageny golfy.

Dywersyfikację dostaw ropy naftowej i gazu zapewniły Niemcom, Francuzom i Włochom nowe rurociągi transportujące surowce ze Związku Radzieckiego. W połowie lat 70. XX w. w Niemczech pojawiła się partia Zielonych.

Wydarzenia ostatnich miesięcy bardzo przypominają kryzys naftowy z roku 1973. Przy czym jego konsekwencje będą o wiele głębsze. Wyzwaniem dla Zachodu są nie tylko problemy z dostawami gazu ziemnego czy wysoka cena ropy naftowej i węgla, lecz także konkurencja ze strony Chin i Indii, których gospodarki są dziś silniejsze niż kiedykolwiek. I które, by się rozwijać, potrzebują ogromnych ilości surowców energetycznych.

Rosja, ograniczając w odpowiedzi na sankcje dostawy gazu do Europy, wie, że stawia Niemcy i inne kraje europejskie w bardzo trudniej sytuacji. Niełatwo będzie im znaleźć nowe źródła dostaw, bo kontrakty gazowe podpisuje się na lata. Ale

eprasa.pl 779b625a3f

taka właśnie jest jej odpowiedź na zachodnie sankcje. Europejczycy miotają się więc i szukają alternatywnych rozwiązań, licząc, że jakoś to będzie.

Polska w obliczu wojny w Ukrainie prezentuje solidną dziarskość. Jeśli wierzyć zapewnieniom polityków PiS – jesteśmy silni, zwarci i gotowi. Węgiel płynie do nas z Australii, RPA, Kolumbii i innych krajów. Magazyny gazu są pełne, dostawy tego surowca ze Stanów Zjednoczonych i Kataru zapewnione, a jesienią zostanie uruchomiony gazociąg Baltic Pipe, którym nad Wisłę popłynie gaz norweski ze złóż na Morzu Północnym. O dostawy ropy naftowej dba prezes Obajtek, czyli nic złego stać się nie może.

Rzecz w tym, że o wszystkim zdecyduje cena. Jeśli tona zamorskiego węgla będzie kosztowała na składzie 4 tys. zł, to dodatek 3 tys. zł niewiele zmieni, bo za trzy tony gospodarz będzie musiał z własnego portfela zapłacić 9 tys. zł. Dlatego palenie starymi oponami, plastikowymi odpadami i innym świństwem dla wielu mieszkańców wsi będzie czystą oszczędnością. Jesteśmy za biedni, by się bawić w kosztowną ekologię.

Jeśli elektrownie i elektrociepłownie nie uzupełnią zapasów węgla przed sezonem zimowym, mogą nam grozić bardzo poważne kłopoty związane z zapewnieniem dostaw prądu, głównie dla przemysłu. Zwolennicy rozwiązań ekologicznych wskazują, że panele fotowoltaiczne i farmy wiatrowe są w stanie zaspokoić potrzeby polskiej gospodarki, pod warunkiem że będzie ich dostatecznie dużo. Dowodzą, że jest to rozwiązanie tańsze niż budowa elektrowni atomowych.

Trudno z tym się nie zgodzić, tyle że owe instalacje muszą wówczas działać w niemal idealnych warunkach. Jeśli nie będzie odpowiednio mocno wiało, farmy wiatrowe nie dostarczą oczekiwanej mocy. A jeśli z kolei zimą spadnie zbyt wiele śniegu, instalacje fotowoltaiczne staną się bezużyteczne.

Taka sytuacja miała miejsce na początku 2021 r. w Szwecji. Z powodu ostrej zimy kraj z rozwiniętą infrastrukturą OZE był zmuszony importować prąd m.in. z Polski. Okazało się, że w niskich temperaturach wiatraki nie działały jak trzeba, a zbyt obfite opady śniegu unieruchomiły instalacje fotowoltaiczne. Podobna sytuacja zdarzyła się w Teksasie – niespodziewany atak zimy doprowadził do niemal załamania się systemu energetycznego w tym amerykańskim stanie. W Kalifornii, której mieszkańcy są przewrażliwieni na punkcie ekologii, postawiono nie tylko rekordową liczbę produkujących energię elektryczną wiatraków, ale i doprowadzono do takiego stopowienia, że każdego roku słyszymy o gigantycznych pożarach niszczących ten bogaty stan.

W energetyce dbałość o środowisko to nie wszystko. Jeśli chce się mieć stabilne dostawy energii elektrycznej, trzeba dysponować elektrowniami, które pracują bez względu na warunki pogodowe – dużymi elektrowniami jądrowymi, węglowymi lub opalanymi gazem. Stworzenie takiej rezerwy mocy jest wyjątkowo kosztowne. Najlepiej widać to dziś na przykładzie Niemiec, które w roku 2011 po katastrofie w elektrowni w Fukushimie zrezygnowały z energetyki jądrowej. Postanowiły przejściowo wykorzystać elektrownie opalane tanim rosyjskim gazem, by gładko przejść do energetyki opartej niemal wyłącznie na odnawialnych źródłach energii.

Gdy Gazprom w tym roku zakręcił kurki, zaczęły się poważne problemy. Władze kolejnych miast i landów szukają oszczędności i planują uruchomienie schronisk, w których zimą ubodzy Niemcy mogliby się ogrzać. Rząd kanclerza Olafa Scholza rozważa ponowne uruchomienie elektrowni węglowych. A po cichu jedni i drudzy marzą, by wojna w Ukrainie się skończyła, a Berlin i Moskwa wróciły do normalnych interesów.

Widząc, co się dzieje w Europie, Chiny, Indie, Wietnam, Indonezja i inne kraje azjatyckie nie mają zamiaru rezygnować z energetyki opartej na węglu. Tylko utwierdzają się w słuszności dokonanego wyboru,

Ceny surowców energetycznych pobiły historyczne rekordy i zdemolowały utrwalony przez dekady wygodny styl życia Europejczyków.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 779b625a3f

rozumiejąc, że problemy Zachodu otwierają przed nimi ciekawe perspektywy.

Ostentacyjna rezygnacja z rosyjskiego węgla to przecież świetna okazja do zarobku. Rosyjskie firmy będą sprzedawały węgiel w Azji z odpowiednio korzystnym rabatem. A im tańsza energia elektryczna, tym bardziej konkurencyjna gospodarka. Azjaci doskonale to rozumieją.

W nieodległej przyszłości Unia Europejska, albo z powodu wysokich cen paliw i energii będzie musiała się pogodzić z utratą przewagi konkurencyjnej, albo znajdzie rozwiązanie, które pozwoli jej utrzymać obecną pozycję w świecie. Problem w tym, że takich pomysłów nie ma.

Czarne złoto trzyma nas za gardło

To, że w Polsce brakuje teraz węgla – w kraju, który węglem stoi – jest wynikiem skandalicznej nieodpowiedzialności rządu Mateusza Morawieckiego i godnej Księgi rekordów Guinnessa głupoty polityków opozycji.

Wiosną tego roku nasza klasa polityczna, chcąc pokazać dziarskość w związku z agresją Rosji na Ukrainę, w kwietniu uchwaliła w Sejmie ustawę wprowadzającą embargo na import rosyjskiego węgla do naszego kraju. Komisja Europejska, która także wprowadziła embargo na ten węgiel, zgodziła się na okres przejściowy, który minie w połowie sierpnia br.

Mogliśmy skorzystać z tego rozwiązania. Uniknęlibyśmy dziś wielu problemów, gdyż część firm prywatnych miała zakontraktowane i opłacone dostawy węgla z Rosji. Lecz po przyjęciu przez Sejm ustawy nie mogła go sprowadzić do kraju. Były minister rolnictwa Marek Sawicki 30 lipca skomentował tę sytuację na antenie TOK FM: „Mamy dużo zapłaconego węgla w Rosji i nie dostaniemy go. Można było odebrać ten węgiel, a potem wprowadzić embargo. My o tym jako opozycja nie wiedzieliśmy”.

Oto kolejny niepodważalny dowód na to, że rodzima klasa polityczna nie nadaje się nawet do popychania karuzeli. Za jej niewiedzę płacimy wszyscy solidarnie.

Przyszłość polskiego górnictwa jest otwarta. Wydaje się, że przynajmniej przez kilka najbliższych lat kopalnie będą dyktowały warunki energetyce. A ponieważ po wprowadzeniu embarga polski węgiel jest tańszy od importowanego, nasze elektrownie są na niego skazane. Górnicy dyktują warunki, zwłaszcza w odniesieniu do wysokości zarobków.

Plany budowy farm wiatrowych na Bałtyku, rozwoju instalacji fotowoltaicznych itp. to przyszłość uzależniona od stanu infrastruktury przesyłowej, czyli sieci elektroenergetycznej, która w Polsce jest w kiepskim stanie. Jeśli nic się nie zmieni, trudniej będzie przyłączać kolejne instalacje, kolejne farmy wiatrowe i postęp będzie nie tylko powolny, ale i kosztowny.

Warto sobie uświadomić, że polska gospodarka nie potrzebuje dziś wiele energii elektrycznej, gdyż nie jest nowoczesna. Na głowę mieszkańca zużywamy 13 razy mniej energii elektrycznej niż Islandczycy. Znacznie więcej prądu zużywają też Norwegowie, Finowie, Kanadyjczycy i oczywiście Amerykanie. Ale to są nowoczesne gospodarki.

> To, że w Polsce brakuje teraz węgla, jest wynikiem skandalicznej nieodpowiedzialności rządu Morawieckiego i głupoty polityków opozycji.

Nasze zapóźnienie technologiczne hamuje zarazem i będzie hamowało rozwój energetyki. Instalowanie odnawialnych źródeł energii wielu traktuje jako fanaberię finansowaną ze środków unijnych, a nie rzeczywistą potrzebę. Bo jak są pieniądze, to głupi by ich nie brał.

Poza tym kto nad Wisłą produkuje – od początku do końca – panele fotowoltaiczne? Słyszałem o jednym producencie, firmie Edison Energia, czyli Polenergia – reszta to import z Chin.

Amerykanie ostrzegają od dawna, że rezygnując z paliw kopalnych na rzecz OZE, uzależniamy się nie tylko od chińskich producentów paneli fotowoltaicznych, ale również od producentów elektroniki, która ma kluczowe znaczenie dla funkcjonowania nowoczesnej gospodarki. A przecież nie o to chodzi.

Jeśli naprawdę chcielibyśmy zbudować nowoczesną energetykę, w której węgiel nie odgrywałby tak wielkiej roli jak obecnie, musielibyśmy najpierw zbudować innowacyjny przemysł, oparty na wiedzy, a nie na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych. A tego nie potrafimy.

Dlatego czarne złoto będzie nas trzymało za gardło. A „zieloni” nie będą mieli szans w starciu z „czarnymi”.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Żegnamy

ZBYSZKO PIWOŃSKIEGO

senatora RP III-V kadencji, samorządowca, Honorowego Obywatela Zielonej Góry, współtwórcę województwa lubuskiego, wojewodę lubuskiego i zielonogórskiego, kuratora oświaty, nauczyciela, harcerza, Człowieka prawego, skromnego, życzliwego. Przyjaciela.

Łączymy się w bólu z rodziną i bliskimi

Marszałkowie i senatorowie Senatu RP V kadencji Klubu SLD-UP „Lewica Razem”

eprasa.pl 779b625a3f

Z Galicji

Jan Widacki

Me too…

Jest lato, sezon urlopowy, nic ciekawego się nie dzieje, do wojny w Ukrainie przyzwyczailiśmy się już tak dalece, że przestała na nas robić wrażenie. Nawet w serwisach informacyjnych wieści z Ukrainy spadły na dalsze miejsca. Dawniej taki okres nazywano sezonem ogórkowym. Wybuchają w nim zawsze jakieś pozorne afery, rozdmuchiwane często do gigantycznych rozmiarów, no bo przecież coś dziać się musi, o czymś trzeba pisać, coś trzeba przeżywać. Przed kilkoma dniami „Gazeta Wyborcza" odkryła właśnie taką aferę. W Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. A zaczęło się tak. Historyczka sztuki Klaudia, która prowadzi na Instagramie kanał o architekturze, zabytkach i sztuce, po sześciu latach od ukończenia studiów we wspomnianym instytucie odwiedziła jego mury. I nastąpiło coś niebywałego: Klaudia „uzmysłowiła sobie nagle, po tych sześciu latach, że doświadczyła tu [tj. w Instytucie Historii Sztuki] patologicznych rzeczy". Pod wpływem tego olśnienia nie tylko opisała na Instagramie swoje przeżycia, ale też zachęciła czytelników, aby podzielili się opowieściami o zaobserwowanych w czasie studiów patologiach. Odzew był duży. Do Klaudii napisało podobno 200 osób, aktualnych i byłych studentów krakowskiej historii sztuki. „Gazeta Wyborcza" dotarła do 10 z nich, a efekty tych rozmów właśnie opublikowała. Czytałem ten tekst z zażenowaniem. Autorki (Angelika Pitoń i Sonia Bekier) bezkrytycznie do jednego worka wrzuciły zarówno przypadki – o ile rzeczywiście miały miejsce – niedopuszczalnego zachowania wykładowców, jak i sytuacje świadczące o infantylizmie, braku elementarnej kultury i roszczeniowości studentów lub byłych studentów.

Poza dyskusją jest to, że wykładowca nie ma prawa nazywać najgłupszego nawet studenta debilem czy pytać studentkę, choćby w żartach, o kolor majtek. Są to zachowania absolutnie niedopuszczalne i zasługujące na napiętnowanie.

Ale okazuje się, że równie niestosowne jest, jeśli wykładowca nie odpowie studentowi na mejla w czasie weekendu lub urlopu albo na głupiego (często napisanego z błędami) mejla odpowie złośliwie. Okazuje się również, że zadawaniem cierpienia studentom jest zalecenie (na kierunku bądź co bądź humanistycznym!) kilkudziesięciu lektur. No, może rzeczywiście trzeba było wyjaśnić studentom, że zadane książki mają spisy treści i indeksy bardzo użyteczne w szukaniu tego, co istotne, że niekoniecznie trzeba każdą lekturę czytać od deski do deski i jeszcze nauczyć się jej na pamięć. Może rzeczywiście wykładowca bezpodstawnie założył, że student, bądź co bądź człowiek dorosły i po maturze, umie korzystać z książek. Do jednego worka z przykładami ewidentnie niewłaściwych zachowań wykładowców wrzucono także opis cierpienia studentki, która „przed pójściem na egzamin wzięła w domu tabletki na uspokojenie, ale to nie pomogło". Autorki nie dopytały pokrzywdzonej, czy oprócz łyknięcia tabletek przed egzaminem miała czas trochę się pouczyć.

Jeśli molestowaniem seksualnym jest polecenie studentce historii sztuki opisania znanego dzieła Courbeta, aktu znanego jako „Pochodzenie świata" lub „Początek świata", bo na polecenie wykładowcy „zrobiła się czerwona", to czy studentowi pacyfiście można kazać skomentować jakiś obraz batalistyczny? Czy nie będzie to „agitacja wojenna"? Doceniam cnotliwość studentki, ale czy ta wrażliwość pozwoli jej przekroczyć próg muzeum z nagimi starożytnymi posągami albo spojrzeć na posąg Dawida we Florencji? Może jednak źle wybrała kierunek studiów. Gdzieś jest granica absurdu!

Oczywiście czasy się zmieniają, zmieniają się też standardy zachowań. Kilkadziesiąt lat temu, kiedy ja studiowałem, zdarzało się, że powszechnie uznani i szanowani profesorowie na egzaminach obrażali studentów, rzucali indeksami i nikomu nie przychodziło do głowy (może szkoda?), aby robić im z tego powodu dyscyplinarki. Na ich tle jakże pięknie wyróżniał się pewien logik, wtedy doktor, dziś emerytowany profesor, który obwieszczenie o niezaliczeniu egzaminu okraszał wstępem „jest mi przykro, że nie był/była pan/pani uprzejmy/uprzejma się nauczyć". Było to bardzo grzeczne, ale wtedy ocenialiśmy to jako perwersyjnie sadystyczne. Nie było jednak Instagrama ani Facebooka i swoją opinią nie dzieliliśmy się ze światem.

Okazuje się, że niestosowne jest, jeśli wykładowca nie odpowie studentowi na mejla w czasie weekendu lub urlopu.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Inaczej niż pani Klaudia. Po ujawnieniu jej olśnienia uniwersytet już zdążył poinformować, że „wobec pracowników zamierza podjąć stosowne decyzje kadrowe". Oczywiście nie śmiałbym doradzać władzom najstarszego polskiego uniwersytetu, ale tak sobie myślę, że może zamiast zapowiadania „stosownych decyzji kadrowych" należałoby zapowiedzieć wyjaśnienie, które z opisanych przypadków oczywiście niewłaściwego zachowania pracowników (wyzywania od debili, pytania o kolor majtek etc.) rzeczywiście miały miejsce. Na razie przeczytaliśmy tylko jednostronne, czasem anonimowe pomówienia.

A na marginesie problem poważniejszy. Trzeba otwarcie powiedzieć, że nie wszyscy mają intelektualne (a często też osobowościowe) predyspozycje do studiowania. Przyjmuje się zbyt dużo studentów, w tym tych, którzy na studia się nie nadają, a gdy się dostaną, narażeni są potem na frustracje i ich skutki. A przy okazji tracą na tym ci zdolni i pracowici, bo obniża to poziom studiów, więc w konsekwencji traci na tym całe społeczeństwo. Ta patologia ma oczywiście swoje źródła. Władze państwowe chcą się wykazać tym, jak wysoki procent społeczeństwa ma wyższe wykształcenie. Środowisko naukowe zainteresowane jest tym, by było jak najwięcej studentów, bo to przekłada się na liczbę godzin zajęć dydaktycznych, a od liczby godzin zależy liczba etatów czy liczba godzin ponadwymiarowych. Jeśli nie zlikwiduje się tej zależności, poziom studiów będzie się obniżał, w konsekwencji uczelnie wypuszczać będą coraz słabiej wyedukowanych, coraz bardziej sfrustrowanych absolwentów.

Stanowczo za mało jest poważnej dyskusji o polskiej nauce i edukacji. Była ku temu niepowtarzalna okazja, gdy przygotowywano „Konstytucję dla nauki", ale ją zmarnowano, a sama, megalomańsko „konstytucją" nazwana, ustawa usankcjonowała rozmaite fikcje i zbiurokratyzowała naukę ponad granice zdrowego rozsądku.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Przemoc lubi ciszę

Od wybuchu pandemii spada w Polsce liczba przypadków przemocy domowej. Oficjalnie. W rzeczywistości jest odwrotnie

Anna Stachowiak

Ze wszystkich statystyk i badań na świecie wynika, że w sytuacjach nadzwyczajnych – konfliktów zbrojnych, kryzysów humanitarnych, klęsk żywiołowych czy pandemii – nasila się przemoc wobec kobiet. Nie inaczej było – i jest – w czasie pandemii COVID-19. Wirus, który błyskawicznie rozprzestrzenił się po całym świecie, przy okazji wielokrotnie mutując, zebrał ponure żniwo: w skali globalnej kosztował prawie 6,5 mln ludzkich istnień. Kiedy jednak media codziennie relacjonowały walkę z groźnym przeciwnikiem, podając, ile jest zakażeń i zgonów z powodu zakażenia, w cieniu rozgrywała się jeszcze jedna, przynajmniej równie dramatyczna walka o przetrwanie – ofiar przemocy domowej. W większości kobiet i dzieci.

Ukryta pandemia

Skokowy wzrost liczby przypadków przemocy domowej António Guterres, sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych, określił w czerwcu 2021 r. mianem ukrytej pandemii. Ogłosił wówczas, że według statystyk prowadzonych, ale także monitorowanych przez ONZ zaledwie w ciągu trzech miesięcy lockdownów i kwarantanny przybyło na świecie 15 mln przypadków przemocy motywowanej płcią. Jak wynika ze światowych danych, ponad 90% to przemoc wobec kobiet.

Informacje z każdego (prawie) zakątka planety są podobnie zatrważające. Analizy ONZ pokazują, że już przez pierwsze trzy miesiące pandemii w Unii Europejskiej dramatycznie wzrosła liczba telefonów do organizacji zajmujących się pomocą ofiarom przemocy – aż o 60%. Z kolei według sprawozdania Komisji Europejskiej we Francji już tydzień po wprowadzeniu obostrzeń liczba zgłoszeń skoczyła o 30%, na Litwie – o 20%. Bílý kruh bezpečí, czeska organizacja pomagająca ofiarom, odnotowała w pierwszym miesiącu pandemii koronawirusa 42% więcej połączeń niż w tym samym okresie poprzedniego roku. W Irlandii odnotowano pięć razy więcej interwencji związanych z przemocą domową.

W Polsce przemoc miała się świetnie i przed pandemią.

W innej części świata, w Chinach, w mieście Jingzhou w prowincji Hubei, zgłoszonych zostało trzykrotnie więcej przypadków przemocy niż w analogicznym okresie poprzedniego roku (mowa o lutym 2020 r.). W Malezji i Libanie liczba zgłoszeń i próśb o ratunek, jak szacowały lokalne organizacje pomocowe, wzrosła dwukrotnie.

W marcu 2022 r. Parlament Europejski zlecił badanie na ten temat. Wynika z niego, że aż 77% kobiet w UE jest zdania, że pandemia koronawirusa spowodowała nasilenie się przemocy, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, seksualnej i ekonomicznej wobec nich. W prawie wszystkich państwach uważa tak ponad 50% kobiet, najwięcej – w Grecji (93%) i Portugalii (90%). Zapytane o to, czego oczekiwałyby w zakresie rozwiązań systemowych, wymieniły ułatwienie zgłaszania przemocy (w tym na policji – 58%), większą dostępność linii interwencyjnych (40%), podniesienie

eprasa.pl 779b625a3f

poziomu wiedzy o przemocy wśród policjantów i pracowników wymiaru sprawiedliwości (40%) oraz zapewnienie kobietom większej niezależności finansowej (38%).

Nie tylko ONZ, lecz także lokalnie działające organizacje pomocowe – w Polsce m.in. Centrum Praw Kobiet i Feminoteka, ale również Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę – ostrzegały przed rosnącą skalą przemocy domowej w pandemii i apelowały o przyjęcie nowych, adekwatnych w zmienionej rzeczywistości i skutecznych rozwiązań chroniących ofiary. „Wzywam wszystkie rządy do wprowadzenia metod zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet w swoich planach przeciwko COVID-19", mówił António Guterres.

Polska bezpieczną wyspą?

W Polsce, gdyby wierzyć oficjalnym statystykom, trzeba by odnotować przeciwny trend – zgłoszeń wyraźnie ubyło, choć i Feminoteka, i Centrum Praw Kobiet, i Niebieska Linia alarmowały o zwiększonej liczbie telefonów odbieranych przez pracownice tych organizacji.

„Odnotowałyśmy wyraźny wzrost liczby telefonów od kobiet doświadczających przemocy. Zwłaszcza w początkowym okresie pandemii i podczas tzw. narodowej kwarantanny. Przemocowe zachowania wyraźnie eskalowały", mówiła Monika Milewska z Feminoteki.

Przemoc ekonomiczna ma szczególne znaczenie, bo aż 38% kobiet uważa, że pandemia negatywnie wpłynęła na ich dochody.

Skąd te różnice? Spójrzmy na dane. Z policyjnych statystyk wynika, że w 2020 r. zgłoszono 85,6 tys. przypadków przemocy. 63 tys. dotyczyło przemocy zgłoszonej przez kobiety, 12 tys. – przez dzieci i młodzież. W 2019 r. było zaś 88 tys. przypadków. Zmalała także liczba zakładanych Niebieskich Kart – to procedura, którą uruchamia się, kiedy osoba zgłasza, że jest ofiarą przemocowych zachowań. O ile w 2019 r. takich dokumentów wypełniono prawie 95 tys., o tyle w roku 2020 – 91 tys. Powód? Przemoc lubi ciszę.

Zamknięcie w domu, utrudnione funkcjonowanie społeczne, rosnące napięcia i kryzysy wywołane zamknięciem, kwarantanną i nieraz utratą pracy stanowią dla niej sprzyjające warunki. Ofiara po prostu nie ma jak uciec, nawet na chwilę wyjść z domu, by np. złożyć zawiadomienie. Łatwiej, co widać po wzroście liczby zgłoszeń w fundacjach walczących z przemocą, zadzwonić. Choć często i to nie jest wykonalne, kiedy 24 godziny na dobę spędza się z oprawcą. To z tego powodu Feminoteka uruchomiła specjalny adres mejlowy: pomoc@feminoteka.pl, z którego mogły skorzystać te kobiety, które podczas lockdownu przez całą dobę przebywały w domu ze swoim katem. Dzwonić nie miały jak, ale mogły pisać.

„Przemoc nasila się podczas izolacji. Zwłaszcza gdy ludzie nie są zajęci", mówiła w jednym z wywiadów Isabelle Debré, prezeska francuskiego stowarzyszenia Enfant Bleu, specjalizującego się w pomocy dzieciom.

Problem dostrzegł też Rzecznik Praw Obywatelskich i wymieniał powody, dla których przemoc w izolacji eskaluje: „Podkreślenia wymaga, że przewidywania dotyczące możliwości gwałtownego wzrostu liczby przypadków użycia przemocy wobec osób najbliższych w czasie epidemii są uzasadnione także czynnikami psychologicznymi – strach przed zakażeniem, poczucie braku kontroli nad biegiem wydarzeń czy potencjalne pogorszenie sytuacji materialnej mogą bowiem działać jako stresory prowadzące do wybuchów agresji wobec osób najbliższych".

W domu z katem

Powodów, dla których przemoc narasta w izolacji, jest więcej. W materiale na temat przemocy związanej z epidemią wymienia je Centrum Praw Kobiet, do najważniejszych zaliczając oprócz stresu i zaburzenia relacji społecznych przede wszystkim niemożność wyjścia z domu czy skontaktowania się z rodziną i przyjaciółmi, którzy mogliby być oparciem i udzielić pomocy. Członkowie rodzin, w których w przeszłości występowała

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 779b625a3f

przemoc, nagle w pandemii zostali na siebie skazani. Przebywali niemal non stop razem, w zamknięciu, bez żadnych kontaktów – chyba że wirtualnych – ze światem zewnętrznym. Dzieci przestały chodzić do szkoły, która w wielu przypadkach była dla nich bezpieczną przystanią (również miejscem, gdzie mogły zjeść ciepły posiłek), bo zajęcia szkolne przeniosły się do sieci, podobnie jak gros pracy biurowej.

Ponadto, jak pisze CPK, „to na kobiety spada ciężar pracy opiekuńczej podczas pandemii. Zamykanie szkół dodatkowo nasila to obciążenie. Zakłócenie rutyny codziennego życia i możliwości zarobkowania, także dla kobiet (spośród których wiele pozostaje nieformalnymi pracownicami najemnymi), zmniejsza możliwość zaspokajania podstawowych potrzeb i korzystania z usług, zwiększając stres rodzin, który prowadzić może do zaostrzenia konfliktów i przemocy. Wraz z kurczeniem się zasobów kobiety mogą być bardziej narażone na przemoc ekonomiczną".

Przemoc ekonomiczna, pojęcie, które nie figuruje w polskim Kodeksie karnym, ma tu szczególne znaczenie, bo z cytowanego już badania przeprowadzonego na zlecenie PE przez Eurobarometr wynika, że aż 38% kobiet uważa, że pandemia negatywnie wpłynęła na ich dochody.

Władza i kontrola

Sprawcom przemocy zależy na pozostawaniu w pozycji siły. Tak się czują, kiedy mają władzę i kontrolę nad ofiarą, a do takiego stanu rzeczy dążą, używając najróżniejszych metod.

„Funkcjonuje mit, że sprawca chce skrzywdzić swoją ofiarę. Klasyczny sprawca wcale nie chce krzywdzić, dla niego to tylko narzędzie: krzywdzi, żeby osiągnąć cel, czyli władzę i kontrolę", mówił w rozmowie z „Wysokimi Obcasami" Daniel Mróz z Fundacji na rzecz Przeciwdziałania Przemocy Feniks i członek zespołu monitorującego ds. przeciwdziałania przemocy w rodzinie w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Przemocowcy mogą to robić, blokując dostęp do środków higieny, usług medycznych czy psychologicznych, ograniczając kontakt z rodziną bądź rozpowszechniając fałszywe informacje na temat żony albo partnerki.

W Polsce przemoc miała się świetnie i przed pandemią. Wynika to nie tylko z owej „tradycji", na którą tak chętnie powołują się obrońcy „tradycyjnych" (czytaj: skrajnie konserwatywnych) wartości, zgodnie z którymi kobieta jest w dużej mierze obywatelką drugiej kategorii, niezbyt wiarygodną, kiedy zgłasza przemoc, ale także z nieznajomości mechanizmów przemocowych przez pracowników instytucji teoretycznie powołanych do ochrony ofiar: policji, prokuratur, sądów. Wystarczy spojrzeć na dane. Podczas gdy policja w Polsce określa liczbę kobiet ofiar przemocy na niecałe 100 tys., wyspecjalizowane w pomocy ofiarom organizacje szacują, że jest ich ośmiokrotnie więcej. Siedem na dziesięć spraw o przemoc jest umarzanych – to jeśli w ogóle dojdzie do wniesienia aktu oskarżenia. A dochodzi rzadko.

Z jednego z sondaży, na które powołuje się Amnesty International w obszernym tekście poświęconym przemocy domowej w pandemii („Violence against women: an EU-wide survey"), wynika, że w porównaniu z resztą Europy w Polsce kobiety rzadziej zgłaszają przemoc. Powód? Nie wierzą, że ktoś im uwierzy. Nie wierzą, że ktoś potraktuje je poważnie. Często mają rację, co pokazuje choćby skala umarzanych spraw.

„Co szokujące, ten niski poziom liczby zgłoszeń został błędnie zinterpretowany przez Ministra Sprawiedliwości jako dowód na małą częstotliwość występowania przemocy wobec kobiet w Polsce", brzmi fragment tekstu Amnesty International. Oficjele, chcąc usprawiedliwić plany wypowiedzenia konwencji stambulskiej – co dla ofiar przemocy będzie katastrofą – powołują się właśnie na statystyki zgłoszeń i twierdzą, że lokalne rozwiązania są wystarczające. Nie są. Pokazała to pandemia.

Anna Stachowiak

W porównaniu z resztą Europy w Polsce kobiety rzadziej zgłaszają przemoc. Nie wierzą, że ktoś potraktuje je poważnie.

eprasa.pl 779b625a3f

Droga krzyżowa do procentów

Polacy przepijają ponad 40 mld zł rocznie

Ewa Smolińska-Borecka

Minęła czwarta. Warszawa jeszcze śpi. O tej porze kupno chleba graniczy z cudem, ale mówi się, że wódkę kupić można o każdej porze. Stolicę oplata sieć całodobowych sklepów monopolowych, które niekiedy mają wygląd luksusowych wódczanych delikatesów, a czasami mieszczą się w obskurnych pawilonach. Na granicy Mokotowa i Wilanowa też znajdzie się takie sklepy. Ale wcale nie jest to łatwe. W kilku miejscach, gdzie jakiś czas temu funkcjonowały nocne sklepy z alkoholem, dziś działają inne branże. Zdziwienie. Kolejny martwy pawilon, który latami kusił klientów jaskrawoczerwonymi reklamami. Kartka informuje, że niedawno został zamknięty do odwołania. Dwie kobiety czekające na autobus są tutejsze, ale nie wiedzą, z jakiego powodu to zamknięcie. – Może miejscowi ludzie przestali pić? – zagaduję. A one uśmiechają się i mówią, że jakoś w to nie wierzą, ale być może z powodu inflacji okoliczni piją mniej, bo ich nie stać. Jedna, żeby się zdystansować od tematu, stwierdza: – My nie pijemy, my pracujemy.

No i są. Dwa pawilony całodobowe dzieli zaledwie sto kroków. Te jakoś dają sobie radę, mimo bliskości konkurencji i inflacji. Pierwszy w godzinach nocnych sprzedaje tylko przez okienko. Nie każdemu, nawet bardzo spragnionemu, to się podoba. Podobno z tego powodu klienci wybierają ten drugi, gdzie drzwi cały czas stoją otworem. W środku klient, mężczyzna w średnim wieku. W plastikowej reklamówce dwie puszki piwa, kupione przed chwilą. Pochłonięty opowiadaniem sprzedawczyni o problemach z córką. Czy te piwa na topienie rodzinnych zmartwień?

W sklepie oferta szeroka. Marki poślednie i te z najwyższej półki, nawet ponad 200 zł za butelkę. Zaledwie jeden klient wyjdzie, już wchodzi następny: kobieta w średnim wieku po papierosy, młody chłopak po piwo, dziewczyna po napój energetyczny… To ta pora dnia, kiedy pojawiają się nie tylko spragnione nocne marki, ale też osoby śpieszące do pracy, które potrzebują coś na kaca albo energetyka na pobudzenie.

– W nocy większość ludzi przychodzi po alkohol – mówi sprzedawczyni. – Czy dużo jest klientów? Dużo. Na przykład od godz. 19 wczoraj do tego momentu było 230.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 779b625a3f

A jeszcze więcej bywa w nocy z niedzieli na poniedziałek. Ostatnio było 380 klientów (!). Rano człowiek ledwo żyje, jak tyle osób obsłuży. Ale i dzienne dyżury niedzielne są uciążliwe, szczególnie jak jest niedziela niehandlowa. Ludzie przychodzą nawet po kilka razy. Kupią piwo, wypiją, przyjdą po drugie, potem po trzecie... Jakby nie mogli od razu trzech kupić. Myślę, że oni nie wiedzą, jak mają ten wolny czas sobie zorganizować, i tak krążą między sklepem a domem. To trochę smutne. Proszę wybaczyć, że ja cały czas butelki na półkach ustawiam, ale jak przed siódmą przyjdzie koleżanka, to wszystko musi mieć przygotowane. A w nocy bardzo dużo się sprzedało. Szef będzie zadowolony.

Prawie 10 litrów na głowę

Pijemy. Jak wynika z danych GUS, w 2020 r. statystyczny mieszkaniec Polski, łącznie z niemowlakami i stulatkami, wypił 9,62 litra stuprocentowego alkoholu. Niemal trzy dziesięciolecia wcześniej, w 1993 r., ta wielkość wynosiła 6,52 litra. Od czasu transformacji ustrojowej spożycie alkoholu wzrosło o prawie połowę. To dużo. W tym czasie zmieniła się także struktura spożycia, bo w 1993 r. rodacy delektowali się głównie wyrobami spirytusowymi, a na drugim miejscu było piwo. Ale już w 1998 r. piwo zajęło pierwsze miejsce i tak było przez kolejne lata.

Polacy sami uważają się za naród, który lubi wypić. W rzeczywistości nie należą do czołówki europejskich konsumentów napojów alkoholowych. Statystyki, które prowadzi WHO, odnoszą się do konsumpcji napojów alkoholowych w stosunku do mieszkańców powyżej 15. roku życia, a nie na głowę jednego mieszkańca, jak to oblicza GUS. Według danych WHO z 2018 r. w Polsce konsumuje się więc aż 11,71 litra na osobę powyżej 15 lat. Mimo to znajdujemy się w środku stawki. W Europie czołowe miejsca zajmowały w 2018 r. Czechy – 14,45 litra na osobę, Litwa – 13,22 litra na osobę i Niemcy – 12,9 litra na osobę. Wyprzedzają nas też Francuzi, Portugalczycy, Hiszpanie i Bułgarzy.

Panuje przeświadczenie, że spożycie alkoholu jest zależne od dostępności punktów sprzedaży. Najbardziej utrudniony dostęp jest w krajach muzułmańskich, w których islam zabrania konsumpcji alkoholu. Zazwyczaj utrudnienia nie dotyczą obcokrajowców. Ale w jednym z siedmiu Zjednoczonych Emiratów Arabskich, w Szardży, obowiązuje całkowity zakaz sprzedaży alkoholu. Aby kupować alkohol w sklepach w innych emiratach, trzeba mieć koncesję, ale tam jest on do nabycia w restauracjach hotelowych. Do państw najbardziej restrykcyjnych należy Iran. Zakaz sprzedaży i spożycia alkoholu obowiązuje w całym kraju. Picie jest karane.

– Każdy kraj inaczej dba o dostępność napojów alkoholowych, każdy ma inne podejście do przeliczania tej dostępności, np. na kilometr kwadratowy, na liczbę mieszkańców – tłumaczy Marta Zin-Sędek z Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom. – Kraje stosują licencjonowanie, żeby ograniczać dostępność. Jeśli chodzi o Europę, najbardziej restrykcyjne są kraje nordyckie. Najbardziej liberalna spośród nich jest Dania, która polityką dotyczącą alkoholu przypomina kraje sąsiednie. W Szwecji, Norwegii, Finlandii i Islandii alkohol przez dziesięciolecia sprzedawano wyłącznie w specjalnych sieciach sklepów państwowych, a dostępny był jedynie przez kilka godzin w ciągu dnia. W ostatnich latach ta polityka została zliberalizowana.

W Finlandii monopol na sprzedaż alkoholu powyżej 4,7% ma państwo, które prowadzi sieć sklepów Alko. Ich liczba i godziny otwarcia są ściśle określone. Jedynie napoje o zawartości alkoholu poniżej 4,7% mogą być sprzedawane w sklepach prywatnych. Ale już w Niemczech i Austrii nie ma wymogu posiadania zezwolenia na sprzedaż alkoholu, a sprzedający musi jedynie podporządkować się zakazowi sprzedaży alkoholu osobom niepełnoletnim i będącym pod wpływem alkoholu.

W Polsce obowiązuje ustawa z 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Jej paragrafy wprowadza zdanie: „Uznając życie obywateli w trzeźwości za niezbędny warunek moralnego i materialnego dobra Narodu, stanowi się, co następuje". Ustawa mówi o zasadach sprzedaży napojów alkoholowych.

O czwartej rano kupno chleba graniczy z cudem, ale wódkę kupić można o każdej porze.

– Regulacje dotyczące punktów sprzedaży napojów alkoholowych określają rady gminy – wyjaśnia Marta Zin-Sędek. – Do 2018 r. ustawa przewidywała, że rada gminy wyznacza limit punktów sprzedaży napojów alkoholowych zawierających powyżej 4,5% alkoholu, z wyjątkiem piwa. Nowelizacja z 2018 r. wprowadziła taką zmianę, że rada gminy określa maksymalną liczbę zezwoleń na sprzedaż napojów alkoholowych. Nie można podać danych dotyczących liczby zezwoleń na poziomie gmin, ponieważ są one chronione tajemnicą statystyki. Każda gmina ma obowiązek zmniejszania dostępności alkoholu. Przeliczamy punkty sprzedaży na liczbę mieszkańców. Według danych statystycznych do 2020 r. liczba mieszkańców przypadających na jeden punkt sprzedaży alkoholu zwiększała się, co oznacza, że dostępność alkoholu się zmniejszała.

Sklepów coraz mniej

Według corocznych opracowań „Profilaktyka i rozwiązywanie problemów alkoholowych w Polsce w samorządach gminnych" dotyczących lat 2006-2020, przygotowanych przez Państwową Agencję Rozwiązywania Problemów Alkoholowych (1 stycznia 2022 r. połączono ją z Krajowym Biurem ds. Przeciwdziałania Narkomanii i powstało Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom), w roku 2006 liczba sklepów sprzedających alkohol wynosiła w Polsce 131,9 tys. Wówczas na jeden punkt

eprasa.pl 779b625a3f

sprzedaży alkoholu, zarówno sklep, jak i lokal gastronomiczny, przypadało 195 mieszkańców. Wprawdzie w latach 2007 i 2008 sklepów z alkoholem przybyło, ale w 2009 r. nastąpił gwałtowny spadek – o 26%. Od tamtego roku liczba sklepów z alkoholem spada, a w roku 2020 było ich 81,9 tys. Wtedy na jeden punkt sprzedaży alkoholu, zarówno sklep, jak i lokal gastronomiczny, przypadało 301 osób. To znaczy, że tendencja w kraju jest optymistyczna.

Oczywiste, że liczba sklepów sprzedających alkohol jest związana z liczbą mieszkańców. Najliczniej zaludnione jest województwo mazowieckie, gdzie mieszka 5,4 mln osób, kolejne miejsca zajmują śląskie, wielkopolskie i małopolskie. Faktycznie najwięcej sklepów sprzedających alkohol jest w mazowieckim – 11,1 tys., następne są województwa śląskie, wielkopolskie i małopolskie.

Wprawdzie liczba sklepów sprzedających alkohol spada, jednak w niektórych miastach rośnie. Tak jak w Warszawie. Wzrost liczby zezwoleń na sprzedaż alkoholu, a w konsekwencji sklepów, jest skutkiem m.in. pandemii i rozwoju miasta. Magdalena Dardzińska z Biura Rady m.st. Warszawy informuje, że w stolicy pod koniec 2021 r. funkcjonowało 3325 sklepów, w których sprzedawano alkohol. Rok wcześniej takich miejsc było mniej – 3116. Wzrost był możliwy dzięki temu, że Rada m.st. Warszawy zwiększyła liczbę koncesji na alkohol. Uchwała przyjęta w marcu 2019 r. określiła liczbę poszczególnych koncesji dla punktów sprzedających alkohol przeznaczony do spożycia poza miejscem sprzedaży na 2830 – dla napojów do 4,5% alkoholu i piwa, 2970 – dla napojów od 4,5% do 18% alkoholu z wyjątkiem piwa, a 2710 – dla napojów powyżej 18% alkoholu.

W 2020 r., kiedy w Polsce zaczęła się pandemia, w Warszawie zabrakło koncesji na napoje zawierające od 4,5% do 18% alkoholu z wyjątkiem piwa. Po prostu wiele lokali gastronomicznych, które mogły prowadzić w czasie lockdownu sprzedaż jedynie na wynos, wystąpiło o koncesje przeznaczone dla sklepów, żeby się ratować przed bankructwem. Właściciele sklepów spożywczych twierdzą, że sprzedaż napojów alkoholowych w małych sklepach stanowi nawet 40% przychodów, więc ta placówka, która nie otrzyma koncesji, skazana jest na upadłość. Z myślą o takich właścicielach sklepów w grudniu 2020 r. Rada m.st. Warszawy zwiększyła o 100 liczbę koncesji na sprzedaż napojów alkoholowych od 4,5% do 18% alkoholu z wyjątkiem piwa. Pół roku później ponownie zwiększono liczbę koncesji w każdej kategorii napojów alkoholowych, w sumie o 970. – Liczba koncesji w Warszawie jest wystarczająca, w tej chwili są wolne koncesje – twierdzi Magdalena Dardzińska.

W kraju na jeden sklep sprzedający alkohol przypada średnio 463,7 mieszkańca. Tymczasem na jeden sklep ze sprzedażą alkoholu w Warszawie przypada, jak wynika z danych Biura Rady m.st. Warszawy dotyczących liczby sklepów, 535 mieszkańców, więc średnia dla kraju jest niższa niż ta dla Warszawy. Oznacza to, że wcale nie w stolicy jest największe zagęszczenie punktów sprzedaży alkoholu. Najmniej mieszkańców na jeden punkt, łącznie z gastronomią, jest w województwach zachodniopomorskim, pomorskim i warmińsko-mazurskim. Najwięcej zaś – w województwach podlaskim, podkarpackim i lubelskim oraz opolskim. I tam najbardziej trzeba się natrudzić, żeby nabyć butelkę.

Według właścicieli spożywczaków sprzedaż napojów alkoholowych w małych sklepach stanowi nawet 40% przychodów.

W nocy może być prohibicja

Polska ma 2478 gmin. Od 2018 r. rady gmin określają nie maksymalną liczbę sklepów i lokali gastronomicznych sprzedających alkohol, ale maksymalne liczby zezwoleń na sprzedaż alkoholu do spożycia na miejscu i poza miejscem zakupu oraz dla poszczególnych „mocy" napojów alkoholowych. W sumie w kraju do dyspozycji właścicieli sklepów jest 316,9 tys. koncesji na wszystkie rodzaje alkoholu. Nie każda dostępna koncesja jest wykorzystana. Według stanu na 31 grudnia 2020 r. liczba zezwoleń na sprzedaż różnych rodzajów alkoholu w sklepach wynosiła 220,4 tys. Najwięcej zezwoleń na sprzedaż alkoholi w sklepach jest w województwie mazowieckim.

Rady gminy mają też możliwość wprowadzenia na swoim terenie lokalnych ograniczeń sprzedaży alkoholu w określonych miejscach, np. na stacjach benzynowych czy na basenach i kąpieliskach. W wyniku nowelizacji ustawy z 2018 r. rady gmin uzyskały nowe kompetencje – mogą ograniczyć sprzedaż alkoholu na swoim terenie w sklepach w godzinach nocnych, czyli od 22 do 6. W pierwszym roku obowiązywania poprawki takie zakazy wprowadzono w 162 gminach. Najwięcej, bo aż 23 gminy, zakazały sprzedaży alkoholu w sklepach w godzinach nocnych w województwie mazowieckim. Pierwszą gminą, która podjęła taką uchwałę w tym województwie, była Zielonka. Tą samą drogą poszły Podkowa Leśna, Grodzisk Mazowiecki, Brwinów i Michałowice.

W 2020 r. Polacy przepuścili na napoje alkoholowe, kupione w sklepach i restauracjach, prawie 41 mld zł. W roku ubiegłym bez wątpienia wydali więcej, w bieżącym również ta kwota okaże się znacznie wyższa. Między innymi dlatego, że z powodu pandemii niemała część społeczeństwa ma różnorodne problemy psychiczne i często, szczególnie w przypadku depresji, ludzie zamiast leczyć chorobę, zagłuszają ją alkoholem. W takiej sytuacji samo ograniczenie dostępności alkoholu, a nawet podwyżka cen, nie odniesie spodziewanego skutku. Konieczna jest poprawa opieki zdrowotnej psychologicznej i psychiatrycznej. A na to jakoś trudno liczyć. Przepijemy więc kolejne miliardy.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Ochotnik pożądany

Polak wojsko szanuje, ale – poza okresami wzmożenia – niekoniecznie chce w nim służyć

Przysięga dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Nowy Dwór Mazowiecki, 3 lipca 2022 r.

Marcin Ogdowski

Kilka dni temu napisał do mnie kolega, z którym znamy się od czasów szkoły średniej. „To prawda, że za miesiąc służby zasadniczej płacą dziś 4,6 tys. zł?", dopytywał. „Tak, ale chodzi o służbę dobrowolną, nie obowiązkową", odpowiedziałem. „No patrz, a myśmy zasuwali za 100 zł żołdu…", skomentował weteran popularnej „zetki", odbytej w połowie lat 90. Cytuję tę wymianę zdań, gdyż świetnie ilustruje przemiany, jakie dokonały się w Polsce w ostatnich dekadach, związane z naszym stosunkiem do wojska. Gdy w 1994 r. stawałem przed komisją lekarską, myślałem o karierze w armii. Nie kombinowałem zatem, jak miażdżąca większość rówieśników, którzy robili najdziwniejsze rzeczy, by nie pójść w kamasze.

– Po roku 1989 relacje między społeczeństwem a wojskiem wyraźnie się zmieniały – potwierdza dr Michał Piekarski, politolog z Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, demaskując popularny w ostatnich latach pogląd o rzekomo powszechnej niezgodzie peerelowskiej młodzieży na zakładanie munduru. – O ile w badaniu prestiżu zawodów „oficer w randze kapitana" cieszył się dużym poważaniem, o tyle inaczej zaczęto postrzegać obowiązkową zasadniczą służbę wojskową – mówi autor wydanej właśnie książki „Ewolucja Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1990-2020". – Na dużą skalę występowało zjawisko unikania tej służby i było ono, zwłaszcza w klasie średniej, akceptowane. Nieco inaczej było z klasą ludową, gdzie utrzymywało się znaczenie zasadniczej służby jako rytuału przejścia, oddzielającego młodość od dorosłości. Mieliśmy więc problem, bo spora część społeczeństwa unikała służby, co obniżało poziom wykształcenia poborowych, no i było nieuczciwe, gdyż obowiązek obrony państwa nie rozkładał się równomiernie na całe społeczeństwo.

Powszechna ignorancja

Gwoli rzetelności dodać należy, że wraz z upadkiem muru berlińskiego zmalało poczucie zagrożenia wojną w Europie. Ów pogląd podzielały elity polityczne, czego skutkiem było kilkukrotne skracanie okresu służby – aż do ostatecznego jej zawieszenia w 2009 r. Z przeprowadzonych w tym samym roku badań CBOS wynikało, że zainteresowanie sytuacją polskiej armii deklarowało 30% ankietowanych. 70% twierdziło, że sprawy wojska i wojskowości nie mają dla nich znaczenia. Jako przykład braku zainteresowania niech posłuży rozkład odpowiedzi na pytanie „Czy orientuje się pan(i) mniej więcej, ilu żołnierzy liczą obecnie siły zbrojne RP?" (wówczas było to 95 tys. osób). „Nie wiem, trudno powiedzieć", odparło 71% pytanych, prawidłowy rząd wielkości (90-100 tys.) wskazało zaledwie 11%. Decyzję o zawieszeniu poboru popierało wtedy aż 74% Polaków, tylko co piąty był przeciwny.

Formowanie WOT miało się zakończyć w ubiegłym roku osiągnięciem stanu 50 tys. wojskowych. Na początku tego roku było 32 tys. żołnierzy.

Tak gruntowało się przekonanie, że armia jest wyborem dla entuzjastów i że to na zawodowcach powinien spoczywać obowiązek obrony kraju.

– Wizerunek niewykształconego, nieumiejącego uciec od obowiązku służby poborowego zastąpiony został obrazem profesjonalistów, szkolonych na takim samym poziomie jak żołnierze czołowych państw NATO i posługujących się takim samym jakościowo sprzętem – wyjaśnia

eprasa.pl 779b625a3f

dr Piekarski. – Ponadto służba kontraktowa czy zawodowa dawały szansę na stabilny dochód, co było nie bez znaczenia w okresie wysokiego bezrobocia, a później wiązało się z istotnymi i nie zawsze szeroko dostępnymi dla cywilów uprawnieniami socjalnymi.

Pouczające doświadczenie

Postrzeganiu wojska jako „firmy" oferującej ciekawą robotę, wyzwania i pozwalającej obcować z nowoczesnymi technologiami sprzyjały udział Wojska Polskiego w operacjach zagranicznych oraz postępująca modernizacja. Ale przebitki z Afganistanu i kolejne zakupy nie oddawały w pełni istoty wojska, które pod wieloma względami pozostawało skansenem.

– W budowaniu wizerunku i działaniach rekrutacyjnych poszczególne komponenty armii radziły sobie różnie – zauważa Michał Piekarski. – O ile np. siły specjalne czy elitarne jednostki wojsk lądowych odnosiły na tym polu wyraźne sukcesy, o tyle utworzenie komponentu rezerwowego (NSR) zakończyło się klapą.

Posłanie ochotników do krótkoterminowej służby na poligon w stalowych hełmach, starym oporządzeniu i z wiekowym uzbrojeniem – do czego sprowadzało się szkolenie w ramach NSR – było pouczającym doświadczeniem. Wzięto je pod uwagę, gdy po 2015 r. zapadła decyzja o utworzeniu (de facto odtworzeniu) Wojsk Obrony Terytorialnej. Chętni do służby w tej formacji na wejście otrzymują pakiet nowoczesnego wyposażenia osobistego i uzbrojenia (typowego dla lekkiej piechoty, więc nie ma tam „ciężkiej techniki").

Wyrwanie ze strefy komfortu

Dla większości Polaków wojsko i tradycje militarne są jednymi z kluczowych elementów identyfikacji narodowej. Armia należy do najlepiej ocenianych instytucji, zwykle dystansuje policję, rząd, Sejm czy Kościół katolicki. Warto zaznaczyć, że działo się tak również przed 1989 r. – i nie zmieniło tego użycie wojska do pacyfikacji protestów społecznych (odium spadło przede wszystkim na milicję i SB). W czasach III RP odsetek osób deklarujących zaufanie wobec WP zwykle nie schodził poniżej 65%, po roku 2014 nawet wzrósł, przekraczając 70%. Zdaniem badaczy społecznych ma to związek z powrotem do debaty publicznej – ale i sfery codziennych refleksji – kwestii wojennego zagrożenia. Za wyrwaniem nas ze strefy komfortu stoi rzecz jasna Rosja i jej agresywna polityka wobec Ukrainy. Zajęcie Krymu i rozpalenie konfliktu w Donbasie wywołało szok, który z czasem złagodniał, lecz jego objawy zostały z Polakami na kolejne lata.

Ten efekt usiłowano zagospodarować przy okazji rozbudowy sił zbrojnych, zwłaszcza sztandarowego pomysłu PiS w postaci obrony terytorialnej. Efekty okazały się takie sobie – armii zawodowej przybyło w ostatnich siedmiu latach 10 tys. ludzi, a WOT z początkiem tego roku doszły do pułapu 32 tys. żołnierzy. W odniesieniu do tej drugiej formacji plany były dużo ambitniejsze. Proces jej formowania miał się zakończyć w minionym roku, wraz z osiągnięciem liczby 50 tys. wojskowych – teraz mówi się o roku 2025 jako finalnym dla projektu. Rekrutacja do WOT dowiodła, że szacunek dla wojska nie musi iść w parze z chęcią służby. A poczucie zagrożenia nie jest zjawiskiem permanentnym, lecz zależnym od okoliczności. Potwierdza to gwałtowne, aż siedmiokrotnie większe zainteresowanie ofertą WOT odnotowane na przełomie lutego i marca br. – tuż po rosyjskiej pełnoskalowej inwazji na Ukrainę.

Różnorodność kadr

Historia formowania WOT niesie jeszcze jedną naukę – pokazuje, że Polacy nie są przychylni idei upolitycznienia armii. Ekscesy Antoniego Macierewicza – sugerującego, że obrona terytorialna jest przybudówką PiS – to jedno z pełnoprawnych wyjaśnień mocno ograniczonego sukcesu rekrutacyjnego formacji.

– Zauważmy jednak, że mimo przejściowego bardzo silnego utożsamienia wizerunkowego WOT z polityką doszło do interesującej zmiany – przekonuje dr Piekarski. – Zarówno służba terytorialna, jak i inne formy przeszkolenia, choćby Legia Akademicka, stworzyły nową narrację, mówiącą o powszechności spełniania – wprawdzie dobrowolnego – obowiązku obrony. WOT eksponują przy tym różnorodność swoich kadr, m.in. obecność kobiet, oraz zróżnicowanie w zakresie statusu społecznego. Tym, co wizerunkowo ma łączyć, jest poczucie przynależności do wspólnoty narodowej, eksponowane są również wartości rodzinne. Można się spodziewać, że polityka wizerunkowa i rekrutacyjna całego wojska będzie w najbliższym czasie prowadzona w podobny sposób.

Obecna władza ambitnie podchodzi do planów rozbudowy armii – docelowo ma ona liczyć 300 tys. ludzi, z czego 250 tys. w wojskach operacyjnych. Niezależnie od tego, jak oceniamy ów pomysł i perspektywy realizacji, należy zauważyć, że odpowiednie zaplecze formalnoprawne zostało już stworzone. Mowa o obowiązującej od ponad trzech miesięcy Ustawie o obronie ojczyzny (przyjętej przez Sejm większością 450 głosów, przy zerowym sprzeciwie i pięciu głosach wstrzymujących się). Zakłada ona różne rodzaje służby wojskowej, w tym wspomnianą na wstępie 12-miesięczną zasadniczą dobrowolną służbę wojskową. W tym roku armia chciałaby w jej ramach zacząć szkolenia 15 tys. osób. Po dwóch miesiącach rekrutacji ochotnicy nie walą drzwiami i oknami, ale też nie można powiedzieć, by ich brakowało – zgłoszenia pokryły już 60% miejsc. Miks obowiązku i niemałej dla większości Polaków płacy zdaje się przyciągać uwagę. Nieprzesadnie, ale zawsze.

Docelowo polska armia ma liczyć 300 tys. ludzi, z czego 250 tys. w wojskach operacyjnych.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

eprasa.pl 779b625a3f

HARCMISTRZ w krzywym zwierciadle lustracji

Mimo braku jakichkolwiek dokumentów potwierdzających współpracę z SB sąd uznał Kazimierza Kaplę za kłamcę lustracyjnego

Marek Książek

Dyplomata i małżonek prezes Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej nie był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie Wolfgang, a jego oświadczenie lustracyjne jest zgodne z prawdą – stwierdziło jakiś czas temu Biuro Lustracyjne Instytutu Pamięci Narodowej. Instytut mógł zamknąć sprawę albo oskarżyć ambasadora o kłamstwo lustracyjne i przesłać wniosek do sądu o zbadanie prawdziwości oświadczenia. Wybrał to pierwsze wyjście, chociaż w teczce Andrzeja Przyłębskiego znajdowało się zobowiązanie do współpracy na zasadzie dobrowolności. W uzasadnieniu decyzji IPN podano, że sama deklaracja współpracy z organami bezpieczeństwa nie wystarczy, bo „winna się materializować w świadomie podejmowanych, konkretnych działaniach w celu urzeczywistnienia podjętej współpracy". Sytuacja ta nie była zaskoczeniem, przynajmniej dla tych, którzy znają meandry polskiej polityki. Swoich się nie rusza. Tym bardziej ludzi kojarzonych z „dobrą zmianą".

Wzorowy dyrektor

Nie powiodły się natomiast próby ocalenia przed lustracyjną brzytwą Kazimierza Kujdy, bliskiego współpracownika Jarosława Kaczyńskiego, byłego prezesa spółki Srebrna i Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, ale dowody jego tajnych kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa były zanadto oczywiste. Chociaż prezes PiS Jarosław Kaczyński twierdził potem, że zapoznał się z tymi materiałami i ma w tej sprawie inne zdanie. Te przykłady potwierdzają opinię, że lustracja w wydaniu IPN na pstrym koniu jeździ.

Przekonał się o tym Kazimierz Kapla, były dyrektor liceum ogólnokształcącego z Olsztyna, postać znana i popularna w regionie, choćby z tego względu, że w latach 80. był komendantem Warmińsko-Mazurskiej Chorągwi ZHP. A wcześniej, o czym pisaliśmy w tekście „Poprawczak na harcerskim szlaku" (PRZEGLĄD nr 38/2021), stworzył drużynę harcerską w zakładzie wychowawczym w Reszlu na Warmii. Jego dorobek w pracy z trudną młodzieżą był niekwestionowany, co owocowało kolejnymi awansami w strukturze ZHP i odznaczeniem Krzyżem Za Zasługi dla ZHP. Na początku transformacji ustrojowej Kapla wyjechał do USA. Po powrocie do kraju pracował w szkołach podstawowych i gimnazjum, współtworzył Ekologiczne Liceum Ogólnokształcące „Kastalia" i przez rok był jego dyrektorem, a w 2002 r. wygrał konkurs na dyrektora V LO, zdobywając szacunek uczniów i uznanie lokalnej społeczności. Do tego stopnia, że w 2003 r. zajął drugie miejsce, tuż za znanym rajdowcem Marianem Bublewiczem, w plebiscycie miejscowej gazety na Olsztynianina 650-lecia w kategorii postać współczesna. Uznano to za sensację. Za dyrektorem przemawiały jednak takie atuty jak wysoki poziom nauczania, świetne zarządzanie i poprawienie wyposażenia szkoły, w tym zakończenie remontu w części budynku, utworzenie strzelnicy sportowej i zadaszenie kortów tenisowych.

Kandydat na posła

Za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania minister edukacji Katarzyna Hall odznaczyła Kaplę Medalem Komisji Edukacji Narodowej, a prezydent RP Lech Kaczyński Złotym Medalem Za Długoletnią Służbę.

> W aktach IPN nie ma podpisanego przez Kaplę zobowiązania do współpracy z SB, żadnych sporządzonych przez niego notatek ani pokwitowań odbioru pieniędzy lub prezentów.

Popularność Kazimierza Kapli próbował zdyskontować poseł PSL Zbigniew Włodkowski, wcześniej wiceminister edukacji, który w 2011 r. zaproponował mu kandydowanie z listy ludowców do Sejmu. Kapla, po dłuższym wahaniu, zgodził się i wystartował w wyborach z dziewiątego miejsca, przysparzając liderowi listy prawie 300 głosów, choć nie za bardzo się starał. Dobrze czuł się w roli dyrektora szkoły, poza tym niespecjalnie interesował się polityką.

Za to polityka zainteresowała się takimi jak Kapla, o czym wkrótce miał się przekonać. Po wejściu

eprasa.pl 779b625a3f

Kazimierz Kapla dziś zdaje sobie sprawę, że najlepszym alibi dla niego byłoby rozpowiadanie wszystkim o wizytach esbeków.

w życie w 2006 r. ustawy lustracyjnej osoby pełniące funkcje publiczne zostały zobowiązane do przedłożenia oświadczenia, czy w okresie PRL współpracowały z organami bezpieczeństwa państwa. Gdy więc Kapla zaczął kolejną kadencję dyrektora liceum, w lutym 2008 r. napisał w oświadczeniu, że nie współpracował. Minęło kolejnych kilka lat, gdy niespodziewanie wezwał go do siebie prokurator oddziałowego biura lustracyjnego IPN w Białymstoku. I zaczął przepytywać o kontakty z oficerami SB. Kapla sądził, że to reperkusje jego startu w wyborach parlamentarnych. Mogło tak być, choć niekoniecznie, ponieważ weryfikacja tysięcy oświadczeń lustracyjnych zajmowała całe lata. Niemniej jednak dyrektor chciał wszystko wyjaśnić, przyznając, że w latach 1986-1989, gdy był komendantem chorągwi ZHP, odwiedzał go najpierw jeden, potem drugi funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa. Ale – zastrzegał – były to oficjalne, jawne odwiedziny „opiekunów" z ramienia SB, tak jak w innych organizacjach, instytucjach, zakładach produkcyjnych czy redakcjach.

Pięć kluczowych warunków

Widocznie prokuratora nie przekonał, skoro ten w końcu 2014 r. przesłał do olsztyńskiego sądu wniosek o wszczęcie postępowania lustracyjnego wobec Kapli, który według IPN miał być tajnym współpracownikiem o pseudonimie Marek (to drugie imię Kapli z metryki chrztu, którego czasami używał w akcjach harcerskich). I we wrześniu 2015 r. Sąd Okręgowy w Olsztynie uznał go za kłamcę lustracyjnego, co kilka miesięcy później potwierdził Sąd Apelacyjny w Białymstoku. Z tym orzeczeniem do dzisiaj pan Kazimierz nie może się pogodzić, wykazując luki i sprzeczności w uzasadnieniu obu instancji. Chociaż na dobrą sprawę mógłby już dać sobie spokój. O jego lustracji ukazała się jedna notka prasowa, a od tamtej pory dawno minął trzyletni okres sądowego zakazu pełnienia funkcji publicznych oraz utraty prawa wybieralności w wyborach do parlamentu i samorządu terytorialnego. Sąd ograniczył mu te prawa tylko na trzy lata, chociaż granica zakazu wynosi dziesięć lat.

Do życia publicznego Kazimierz Kapla raczej jednak nie wróci, ale nie ze względu na wiek (68 lat), bo jest sprawny fizycznie i intelektualnie. Ma żal zarówno do wymiaru sprawiedliwości, jak i do prezydenta Olsztyna, który nie przedłużył mu umowy o pracę, przez co Kapla nie doczekał np. znacznej nagrody jubileuszowej. W jego przypadku sprawdziło się również stare przysłowie, że przyjaciół poznaje się w biedzie. Oto kilkoro bliskich współpracowników jakoby nie zauważyło oficerów SB, kiedy odwiedzali komendanta w chorągwi. Chociaż i pierwszy „opiekun", i drugi potwierdził te odwiedziny przed sądem. Kapla przekonuje, że rozmawiał z nimi o zapewnieniu bezpieczeństwa podczas zlotów grunwaldzkich. Skoro więc odwiedzali go oficjalnie, po co mieliby go rejestrować jako TW? Chyba że dla wykazania przed przełożonymi swojej aktywności w zdobywaniu tajnych

eprasa.pl 779b625a3f

współpracowników, co owocowało określonymi profitami. Bywały takie przypadki. Ten pierwszy oficer mógł mu zatem założyć teczkę w marcu 1987 r. i zarejestrować go jako TW. Został ślad i to wystarczyło, aby prokurator IPN zarzucił Kapli podjęcie tajnej współpracy. Co więcej, funkcjonariusz SB miał na spotkaniu w kawiarni przekazać mu kawę i kwiaty! Były komendant śmieje się, że kwiaty od kobiety może by przyjął, ale od mężczyzny, choćby i oficera służb? Jeśli już, to on częstował „opiekunów" kawą w siedzibie ZHP. Natomiast poza chorągwią spotkał się ze swoim „aniołem stróżem" tylko raz i to Kapla podziękował mu za pomoc w zapewnieniu spokoju na zlocie grunwaldzkim. Sąd jednak przyjął, że spotykając się poza miejscem pracy, komendant spełnił warunek tajności współpracy. Jeden z pięciu. Pozostałe to:

– współpraca musi polegać na kontaktach z organami bezpieczeństwa i przekazywaniu tym organom informacji,

– powinna mieć świadomy charakter, czyli osoba współpracująca musi zdawać sobie sprawę, że kontaktuje się z przedstawicielem takiej służby,

– współpraca musi się wiązać z operacyjnym zdobywaniem informacji przez te służby,

– nie może ograniczać się do samej deklaracji woli, ale – tu wracamy do sformułowania z przypadku Przyłębskiego – „powinna materializować się w świadomie podejmowanych konkretnych działaniach w celu urzeczywistnienia" tej współpracy.

Wszystkie warunki muszą wystąpić łącznie. Brak jednego powoduje, że cała konstrukcja się wali.

Dobre słowo sędziego

Kluczowe jest tutaj owo „materializować się", co znaczy, że muszą być dokumenty potwierdzające współpracę. A nawet sąd apelacyjny potwierdził, że w aktach IPN nie ma podpisanego przez Kaplę zobowiązania do współpracy z SB!

– Taki kwit to materialna podstawa do uznania kogoś za współpracownika – przekonuje jeden z olsztyńskich profesorów, uchodzący za znawcę przedmiotu. Po przeczytaniu orzeczenia powiedział dziennikarzowi PRZEGLĄDU, że na miejscu prokuratora IPN w ogóle nie kierowałby wniosku do sądu o postępowanie lustracyjne.

W latach 80. Kazimierz Kapla był komendantem Warmińsko-Mazurskiej Chorągwi ZHP.

W aktach IPN nie ma też żadnych notatek sporządzonych przez Kaplę ani pokwitowań odbioru pieniędzy lub prezentów. Prokurator IPN oparł się jednak na pozostałych materiałach źródłowych i zeznaniach obu esbeków. Najpierw nie ujawniał im nazwiska lustrowanego, więc wypowiadali się bardziej o metodzie, a nie o konkretnym człowieku. Dopiero gdy poznali jego tożsamość, zaczęli tłumaczyć, że traktowali spotkania z komendantem jako kontakty służbowe. Przekazywane przez niego informacje były powszechnie znane, a jeśli nawet spotykali się z Kaplą poza siedzibą chorągwi ZHP, to wymieniali się „swoimi obawami związanymi z prawidłowym kształtowaniem wzorców wychowawczych wśród młodzieży". Mówiąc mniej górnolotnie, chodziło o wyeliminowanie lub złagodzenie zagrożeń i konfliktów w środowisku harcerskim. Natomiast sędzia pierwszej instancji podkreślił, że zeznania części świadków potwierdzają fakt, iż Kapla był odwiedzany w miejscu pracy przez osoby, o których mówiło się, że są funkcjonariuszami SB. Co prawda, świadkowie ci nie wiedzieli, czego wizyty dotyczyły, ale sam lustrowany lakonicznie je komentował, że „jest nachodzony".

– A co, miałem wszystkim dookoła opowiadać, o co pytał i co mu powiedziałem? – krzywi się Kazimierz Kapla, choć dziś zdaje sobie sprawę, że taka reakcja byłaby dla niego najlepszym alibi. Do takich służbowych kontaktów podczas rozprawy sądowej przyznali się zresztą jego poprzednicy na stanowisku komendanta chorągwi: Marian Andruszkiewicz i Zenon Chmieliński. Również do nich przychodzili esbecy, interesując się nastrojami w organizacji. Sąd jednak uznał, że bardziej wiarygodne są zeznania niekorzystne dla lustrowanego. Może gdyby był ambasadorem z ramienia PiS...

Z drugiej strony sędzia w uzasadnieniu podkreślił, że „nie stwierdzono, aby ta współpraca lustrowanego, a w szczególności udzielone informacje, przyczyniły się do narażenia innych osób na represje ze strony służb SB". Dobre i to. Sąd nie wspomniał natomiast, że Kazimierz Kapla w 1985 r. przekazywał jednemu z działaczy opozycyjnych, który poświadczył to pod własnym imieniem i nazwiskiem, nielegalną prasę i książki wydawane w podziemiu. No ale taki szczegół mógłby zakłócić obraz całości.

Marek Książek

Kazimierz Kapla nie piastuje żadnej funkcji z poręki PiS, więc lustratorzy IPN nie byli dla niego tak łaskawi jak np. dla ambasadora Andrzeja Przyłębskiego.

FOT. MAREK KSIĄŻEK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 779b625a3f

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jawnobójstwo w świetle dnia

Zabójstwa i mordy polityczne, skrytobójcze, maskowane i tajemne, gubiące ślady mocodawców, były oznaką skrajnej patologii władzy. Władzy, która swoje pragnienia zemsty czy rytuały tajnych służb realizowała wbrew uznanym, często międzynarodowym regułom. Lekceważąc je skrajnie, równocześnie wymigiwała się od sprawstwa, od odpowiedzialności. Jeśliby spojrzeć na coś, co nazywamy nierzadko cywilizacją europejską, to jednym z jej filarów, może nie jedynym, ale jednym z tych najważniejszych, było zmieniające się podejście do przemocy w jej kształcie granicznym, czyli do prawa odbierania komuś życia w imieniu grupy, wspólnoty, państwa. Prawo to było coraz bardziej ograniczane. Dość powiedzieć, że obecnie jedynym krajem „europejskim", w którym wciąż można wykonywać egzekucje, jest Białoruś.

Prawo do uczciwego procesu, do obrony, do zachowania życia niezależnie od popełnionego czynu, prawo do odbycia kary – wszystko to stało się dla nas tak oczywiste, że niemal niewidoczne. Istnieją oczywiście międzynarodowe organizacje, takie jak Amnesty International, które monitorują nadużycia w tych kwestiach, mobilizują do sprzeciwu, kiedy ktoś odsiaduje wyrok za poglądy polityczne albo kiedy grozi mu kara śmierci. Trudno natomiast powiedzieć, że jest dzisiaj jakiś poważny ruch społeczny, który zaprząta sobie głowę tą tematyką. No, chyba że wojna. Ale wojna rządzi się innymi prawami. Ponieważ pacyfizm jest dzisiaj poglądem mniejszości w mniejszości, to lubimy wobec wojny zajmować stanowisko kategoryczne – ci dobrzy, ci źli. Ta wojna jest dobra, bo nasza, nie wymaga żadnych uzasadnień, nie toleruje wątpliwości, nie pozwala na krytykę. Zapominamy o całej nagromadzonej ludzkiej wiedzy, która pozbawia nas anielskich złudzeń. Dobre wojny nie istnieją, co nie znaczy, że nie potrafimy jasno określić agresora, inicjatora, napadającego. Ale agresja militarna, jak ta Rosji na Ukrainę 24 lutego, to sam początek, potem jest już wojna i próby, takie czy inne, dyplomatyczne lub militarne, zakończenia jej albo przeciągające konflikt w nieskończoność, żeby wyczerpać którąś ze stron.

> Milcząco zaakceptowaliśmy wyrzucenie do kosza niepodważalnych reguł prawa wypracowanych przez 2 tys. lat w Europie.

W ostatnich miesiącach, latach, dekadach wręcz, scenariusze dyplomatyczne nie cieszyły się estymą. Zapadały niejawne decyzje nieznanych gremiów – i tak mieliśmy wojnę w Iraku, Afganistanie, Syrii, mamy w Jemenie. Nie pojawiał się pomysł sankcji na USA, blokowania kont, jakiegokolwiek sprzeciwu. Modus operandi Amerykanów przyjmowaliśmy do wiadomości lub ochoczo i afirmatywnie wspieraliśmy (my, tu w Polsce). Milcząco zaakceptowaliśmy wyrzucenie do kosza niepodważalnych reguł prawa wypracowanych przez 2 tys. lat w Europie. To znaczy nie zawsze, bo kiedy farsą stawał się wymiar sprawiedliwości w Rosji, Białorusi czy niekiedy w Turcji – reakcja się pojawiała. Aresztowania dziennikarzy lub sędziów, skrytobójcze zabójstwa kurdyjskiej opozycji, trucie w Wielkiej Brytanii byłych agentów służb specjalnych Rosji, którzy przeszli na dobrą stronę – oburzenie było pełne. Ale spektakl egzekucji na Osamie bin Ladenie czy farsoproces Saddama Husajna i jego uśmiercenie tzw. społeczność międzynarodowa przyjmowała z głębokim zrozumieniem. Tak amerykańska doktryna wojny z terroryzmem weszła w nasze głowy.

Odsłonę tej hipokryzji, dwumyślenia i podwójnych standardów oglądaliśmy w ostatnich dniach, kiedy prezydent Biden pochwalił się precyzyjnym atakiem rakietowym na balkon w Kabulu, na którym przebywać miał Ajman az-Zawahiri, następca Bin Ladena w Al-Kaidzie. Przez 20 lat prowadzenia wojny w Afganistanie nie udało się ani ująć, ani zabić Az-Zawahiriego. Mimo wycofania się z Afganistanu Amerykanie wciąż uzurpują sobie prawo do pozasądowych egzekucji. Gdyby takie działanie podjął jakikolwiek inny kraj, zostałby nazwany terrorystycznym. Ale nie USA.

Mam poważne podejrzenia, że ten czas jawnego stawiania się ponad prawem dobiega końca. Nie wiem tylko, za jaką cenę. Amerykanie równocześnie odgrywają rolę niewidzialnego słonia w pokoju, jeśli idzie o wojnę w Ukrainie. Ale tam są. Nie mając żadnych wątpliwości, że za tą agresją stoi Putin i Rosja, nie mam też żadnych wątpliwości, że zamiast nazywać po imieniu jednego i drugiego aktora wojny, widzimy podwójnie rosyjskiego. I dlatego znaleźliśmy się w najgroźniejszym od 60 lat momencie globalnego konfliktu. Ale to się nie stało jednego dnia. I nie ma co zwalać winy na imperium jednego Zła. Może wystarczy na powrót potraktować poważnie i bez wyjątku reguły naszego świata?

Joe Biden z charakterystyczną emfazą oznajmił po zamordowaniu Az-Zawahiriego, że „ludzie na całym świecie nie muszą się już lękać złowrogiego i zdeterminowanego zabójcy". Obawiam się, że jest wręcz na odwrót. Tylko nazwisko inne.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Sankcje, Niemcy i rosyjski gaz

Nie ma lepszej odpowiedzi na kryzysy niż międzynarodowa współpraca

Rozmawia Jakub Dymek

PROF. MARZENNA K. JAMES

Czym się różni europejska i polska dyskusja o ekonomicznych i energetycznych problemach wywołanych inwazją na Ukrainę od dyskusji w USA?

– Amerykańskie media i społeczeństwo obywatelskie mają pełną świadomość humanitarnego wyzwania, jakie niesie inwazja Rosji na Ukrainę. W sklepie można przy kasie zostawić datek dla Ukrainy, a np. „Financial Times" poświęcił wielki, wzruszający materiał polskim babciom, które angażują się w pomoc uchodźcom. Nie brakuje oczywiście doniesień o zbrodniach, łamaniu praw człowieka i ogromie nieszczęścia, jakie wojna sprowadziła na ofiary cywilne.

Ale poza tym obrazem wojny nie możemy zapominać o analizie gospodarczych konsekwencji konfliktu. Cały główny nurt jest w zasadzie zgodny w odpowiedzi na pytanie, jak Zachód powinien zareagować. Na czym jednak powinno to się opierać, jak to analizować, zmierzyć – to są dopiero wyzwania, o których powinniśmy mówić i słyszeć więcej. Moim zdaniem trzeba wyróżnić przede wszystkim trzy filary: sankcje gospodarcze na Rosję, pomoc gospodarczą dla Ukrainy i pomoc militarną dla jej sił zbrojnych.

I który jest najtrudniejszy?

– Sankcje są najbardziej skomplikowanym wymiarem. Bo też są to najbardziej skomplikowane sankcje, o jakich mówimy. O pomocy militarnej wiemy mniej, bo jest przecież przynajmniej w części realizowana niejawnie, no i obarczona większym ryzykiem. Jest niebezpieczeństwo eskalacji konfliktu z Rosją, państwem dysponującym bronią jądrową, i choćby z tego powodu pomoc militarna ma swoje ograniczenia. Wobec tego to sankcje gospodarcze są być może najtrudniejszym i zarazem najważniejszym wymiarem konfliktu.

Trwa spór, podparty coraz większą liczbą merytorycznych analiz i opracowań, jak oceniać kolejne pakiety sankcji i ich skuteczność.

– Założenie Putina, że wojnę z Ukrainą można oprzeć na rezerwach finansowych Rosji, sięgających 600 mld dol., a te rezerwy odstraszą każdego, kto chciałby zaatakować wartość rubla, można już zakwestionować. Jeśli społeczność międzynarodowa odbierze Rosji przywilej posługiwania się tymi rezerwami, to nic po tej pewności siebie. Nawet jeśli masz miliardy rezerw, zachowują one wartość tak długo, jak długo możesz ich używać w handlu międzynarodowym. Po nałożeniu sankcji stało się to niemożliwe.

Weźmy złoto, które stanowi ważną część rezerw finansowych Rosji, według niektórych szacunków ok. 140 mld dol. Jeśli inne kraje odmówią kupowania rosyjskiego złota, nawet te rezerwy będą bezwartościowe. Każde rezerwy są powiązane z międzynarodowym systemem finansowym. Rosja carów, Rosja bolszewików i współczesna – np. w publicystyce Dugina i innych – uważała złoto i posiadanie rezerw w złocie za jeden z fundamentów niezależności. Fakt, że te rezerwy straciły właśnie znaczenie, jest niezwykle ważny.

Dobrze, ale nawet zakładając, że zachodni inwestorzy i banki nie chcą mieć nic wspólnego z rosyjskimi rezerwami, ze złotem włącznie, to co powstrzymuje Iran czy Chiny przed przyjęciem tego złota jako środka płatniczego za chociażby dostawę dronów bojowych?

– Poruszył pan bardzo ważny wątek. Oczywiście, że sankcje będą tym bardziej efektywne, im więcej krajów będzie w nich uczestniczyć. I na odwrót – żadne sankcje nie będą w pełni skuteczne bez międzynarodowej współpracy. Nawet grupa największych demokracji na świecie, jeśli będzie działać w odosobnieniu, nie będzie w stanie pomóc Ukrainie przez same sankcje, jeśli nie będą one koordynowane z innymi. Spójrzmy na możliwość zaciągania długu publicznego...

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 779b625a3f

Co z nim?

– Możliwość zaciągania długu i zaufanie instytucji finansowych, które za nią stoi, są kluczowe dla wypłacalności państwa. Narzucanie nierynkowych sposobów płatności klientom Gazpromu, manipulacje stopami procentowymi, uniemożliwianie wypływania waluty z gospodarki krajowej (czyli *capital controls*) – służą utrzymaniu finansów Rosji na powierzchni i zachowaniu zdolności spłacania długu publicznego. Ale i tu Putin się zawiódł. Już w marcu Rosja, choć stać ją było na spłatę odsetek od długu, rozważała spłacenie zasadniczej części długu w rublach. Co wiele agencji ratingowych uznaje za niewypłacalność rządu.

Ale to było „bankructwo techniczne". Rosja została pozbawiona możliwości spłaty długu w dolarach, mimo że miała odpowiednie środki. Jest to bardzo dalekie od tego, co potocznie rozumie się pod słowami niewypłacalność czy bankructwo właśnie.

– Ale Rosja będzie miała z tego powodu problem ze sprzedażą swoich obligacji rządowych. A Ukraina – co już w marcu opisała prasa biznesowa – pomimo wojny i strasznych zniszczeń sprzedała obligacji za 277 mln dol. Były one, co jeszcze ważniejsze, denominowane w ukraińskich hrywnach. Owszem, oprocentowane były na aż 11%, więc Ukraina będzie musiała zapłacić od nich spore odsetki, ale widzimy, że nawet w wirze wojny od Kijowa nie odwrócili się zachodni inwestorzy.

Rosjanie zresztą również mogą swoimi portfelami zaprotestować przeciwko wojnie, nawet jeśli nie mogą zaprotestować przeciwko niej na ulicach, bo grozi za to więzienie.

W jaki sposób?

– Biegną do banków, wycofują swoje oszczędności w rublach, kupują dolary. W marcu kolejki do banków były olbrzymie. A rubel niezwykle stracił na wartości. Potem się podniósł, owszem, ale dzięki manipulacjom i załamaniu się importu. Rosjanie mogą też kupować kryptowaluty i bitcoina, co także jest wyrazem sprzeciwu i odchodzenia od rubla w prywatnych finansach. Kurs bitcoina wzrósł...

...ale po strasznym krachu w całym sektorze kryptowalut! Nietrudno o odbicie kursu, skoro bitcoin stracił w ciągu minionego roku 50 albo 70%.

– Z punktu widzenia oszczędności Rosjan ważne jednak, że w marcu szedł do góry. Moim zdaniem warto obserwować waluty elektroniczne jako kanał ucieczki kapitału od reżimu.

Widzimy teraz, czym jest pieniądz. Pieniądz jest serią umów między ludźmi i instytucjami. W tym umów międzynarodowych. Naruszenie ich będzie skutkować spadkiem zaufania. A masowe naruszanie norm może spowodować masową utratę wartości pieniądza. Żadna forteca, nawet zbudowana ze złota, nie uchroni kraju przed międzynarodowymi sankcjami.

Kto aktualnie ma przewagę w wojnie energetycznej Zachodu i Rosji?

– Na wojny surowcowe musimy patrzeć w dwóch perspektywach. Po pierwsze, uwzględniając współpracę handlową i polityczną niezbędną do skutecznego realizowania sankcji. Po drugie, w świetle empirycznie zbadanych, stwierdzonych teorii, a nie tylko publicystyki czy rywalizacji politycznej. Spójrzmy na dyskusję o Nord Stream II. Konflikt wokół Nord Stream doprowadził do erozji współpracy, zaufania i dobrej woli, których tak bardzo dziś potrzeba do koordynacji sankcji i polityki gospodarczej w świecie Zachodu.

Niemcy mogą się pochwalić wyjątkowo długimi i dobrymi doświadczeniami w planowaniu, realizowaniu i wdrażaniu projektów, które wymagają międzynarodowej współpracy. Dzięki nim poprawiła się dostępność i konkurencyjność cenowa dostaw energii dla Europy, w tym Polski. Niemcy byli pomysłodawcami nowych inicjatyw politycznych, handlowych i technologicznych, które lepiej integrowały Europę w kwestii rynków energetycznych. To Niemcy zachęcali partnerów w Europie do budowy większej liczby interkonektorów energetycznych. Powinniśmy te czynniki uwzględnić w dyskusjach, to powinno budzić zaufanie do Niemiec jako partnera w radzeniu sobie z obecnym kryzysem gazowym.

Ale klimat polityczny wokół Niemiec jest odwrotny. Nikogo te argumenty w Polsce – a pewnie i w krajach bałtyckich – nie przekonają. Z naszej perspektywy to Niemcy próbowały uzależnić europejską, a więc także naszą gospodarkę od rosyjskiego paliwa.

– Tylko czy to jest argument za czy przeciwko większej europejskiej współpracy – w tym budowie magazynów czy oszczędzaniu energii – której Niemcy byli liderami? Moim zdaniem odpowiedzią jest więcej, nie mniej, współpracy na skalę europejską.

Druga sprawa to problem uzależnienia politycznego od rosyjskiego

Trzeba wyróżnić trzy filary: sankcje gospodarcze na Rosję, pomoc gospodarczą dla Ukrainy i pomoc militarną dla jej sił zbrojnych.

Sankcje będą tym bardziej efektywne, im więcej krajów będzie w nich uczestniczyć.

Prof. Marzenna K. James – wykłada stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Princeton w USA. Naukowo zajmuje się wykorzystywaniem powiązań gospodarczych i handlowych jako środka nacisku w relacjach międzypaństwowych.

eprasa.pl 779b625a3f

gazu. Mówi się – tak jak pan to podkreślił – przede wszystkim o tym, że Nord Stream II uzależnił Niemcy od rosyjskiego gazu. Mówi się o upolitycznieniu gazu i podporządkowaniu polityki zagranicznej dobrym relacjom handlowym z Rosją. Podkreśla się tu rolę byłego kanclerza Gerharda Schrödera, w kontekście sugestii szeroko zakrojonej korupcji, a nie, jak powinno być, stosunkowo ograniczonych problemów z indywidualnymi politykami, których zatrudnienie na emeryturze musi zostać zbadane przez komisję i, jeśli zachodzi potrzeba, uregulowane prawnie.

To i tak łagodnie powiedziane, bo nie brakuje w naszym regionie opinii dużo surowszych.

– Ale czy to teoretyczne założenie przechodzi naukowy, empiryczny test? Dzisiejsi krytycy Niemiec mogą nawet swoich tez nie weryfikować, nie badać naukową metodą, uwzględniającą rachunki kosztów i zysków: ekonomicznych, politycznych, energetycznych. Ja tę próbę podjęłam w artykule, który niebawem się ukaże w tomie „Społeczna Gospodarka Rynkowa: Ustrojowa przyszłość" pod redakcją prof. Elżbiety Mączyńskiej i Piotra Pysza. Badam rolę empirycznie sprawdzalnych teorii w dyskusji o rurociągu Nord Stream i zachęcam do przetestowania hipotezy mówiącej, że Niemcy są od rosyjskiego gazu uzależnione.

Ktoś, kto może znaleźć alternatywę, nie jest politycznie uzależniony od partnera handlowego.

I co wynika z tych rachunków?

– Trzeba oprzeć tę dyskusję na wiedzy, czym jest i jak powstaje uzależnienie energetyczne. Można – za Albertem Hirschmanem – spojrzeć choćby na strukturę handlu zagranicznego. Jeśli jedna strona korzysta bardziej i dla niej transakcja z partnerem, np. kupno gazu, to większa proporcja całości handlu w gospodarce – to można tę stronę łatwiej szantażować. Ale trzeba uwzględnić i to, czy potencjalna ofiara szantażu może znaleźć innych partnerów i uczynić podobną groźbę bezskuteczną. W skrócie, ktoś, kto może znaleźć alternatywę, nie jest politycznie uzależniony od partnera handlowego.

I w tym świetle Niemcy są czy nie są uzależnione?

– Niekoniecznie chcę udzielić tak jednoznacznej odpowiedzi, wolę zachęcić wszystkich do samodzielnej analizy. Do sięgnięcia po naukową metodologię, wyważone argumenty i empiryczne dowody. Moim zdaniem proste odpowiedzi są mylące.

Żadne sankcje nie będą w pełni skuteczne bez międzynarodowej współpracy.

Rząd niemiecki przeprowadził swoje analizy przed zatrzymaniem projektu Nord Stream II z powodów politycznych. W skrócie, z powodu inwazji Putina. Skoro więc rząd Niemiec był w stanie zatrzymać Nord Stream II, to sprawuje wciąż polityczną kontrolę nad tym projektem i nad własnym zapotrzebowaniem na gaz. Owszem, Nord Stream II miał w założeniach olbrzymią przepustowość i omijał Polskę i Ukrainę. Ale to nie musi oznaczać, że nawet tak potężny rurociąg sam jest w stanie uzależnić Niemcy od jednego dostawcy energii. Tym bardziej jeśli – jak widzimy – każda ze stron tej transakcji może ją zatrzymać. A w międzyczasie Niemcy rozwijają całą masę alternatywnych sposobów pozyskiwania energii i są liderem w energetycznej transformacji całego kontynentu. Nie można moim zdaniem odpowiedzieć na pytanie o uzależnienie Niemiec od rosyjskiej energii bez uwzględnienia tych wszystkich elementów.

Jak pani widzi gospodarczy wymiar tej wojny i spór o jej koszt dla zachodnich gospodarek?

– Musimy mieć na uwadze ryzyko kryzysu ekonomicznego wywołanego odcięciem przez Rosję Europy od dostaw gazu w kluczowym okresie, zimą. To z dużym prawdopodobieństwem ściągnie na kontynent stagflację – zastój gospodarczy połączony z wysoką inflacją. To sytuacja, która pozostawia politykom i bankom centralnym bardzo małe pole manewru. Mamy też problem rosnących i coraz bardziej zróżnicowanych kosztów obsługi długu państwowego, wynikający choćby ostatnio z politycznej niestabilności we Włoszech. Do tego dochodzi kryzys bezpieczeństwa międzynarodowego. Łatwiej poradzilibyśmy sobie z zagrożeniem zewnętrznym i kwestią bezpieczeństwa oraz kryzysem ekonomicznym, gdyby polaryzacja i spory polityczne wewnątrz społeczeństw Zachodu były mniejsze.

Obywatele boją się np. zrzucania na nich kosztów transformacji energetycznej i odchodzenia od paliw kopalnych.

– Oczywiście, potrzebujemy zatem wielkiego programu, który pozwoliłby rządzącym odzyskać zaufanie społeczne. Tym bardziej, im większą polaryzację i podziały widzimy w polityce wewnętrznej. Ja uważam jednak, że nie ma lepszej odpowiedzi na te kryzysy niż międzynarodowa współpraca i tworzenie coraz szerszych koalicji państw, które będą budować kolektywną siłę Zachodu w zderzeniu z tymi kryzysami.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Wyczekane i wykonane – a dalej?

Pielgrzymka pokutna Franciszka do Kanady

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Spotkanie z rdzenną ludnością w mieście Quebec 29 lipca.

Kanada zmaga się z kolonialnym dziedzictwem od dawna, a najintensywniej od 2015 r., kiedy Komisja Prawdy i Pojednania po siedmiu latach szczegółowych badań oświadczyła w wielotomowym raporcie, że siłowe zabranie 150 tys. rdzennych dzieci z ich rodzin i wysłanie ich do szkół rezydencjalnych, gdzie przez 120 lat kolejne pokolenia były poddawane przemocy i pozbawiane tożsamości, równało się ludobójstwu kulturowemu. Szkoły tworzył rząd, ale prowadziły je Kościoły, większość Kościół katolicki.

Na przeprosiny Watykanu za zbrodnie duchownych wobec ludności rdzennej czekano przez lata. I doczekano się ich w 2022 r., najpierw w Watykanie 1 kwietnia, a ostatnio w lipcu w Kanadzie. Obu tych aktów dokonał Franciszek, najbardziej rewolucyjny w historii papież. W lipcu odbył swoją 37. zagraniczną podróż – właśnie do Kanady, jedyną w historii papieską „pielgrzymkę pokutną".

Papieskie wizyty w Kanadzie

W 1984 r. po raz pierwszy w historii Kanadę odwiedziła głowa Kościoła katolickiego – Jan Paweł II. Na stadion olimpijski w Montrealu przybyło wówczas 350 tys. osób; wypełniony był po brzegi. W 2002 r. na Światowych Dniach Młodzieży w Toronto także były tłumy. 20 lat później na mszę Franciszka na stadionie w Edmonton w Albercie udostępniono 65 tys. darmowych biletów, a oceniano, że przyszło zaledwie ok. 50 tys. osób. Ale wizyty Jana Pawła II odbywały się w minionej epoce. Teraz Kościół jest w zupełnie innym momencie, kiedy na jaw wyszły jego grzechy.

Kanada A.D. 2022 to już także inny kraj – wielokulturowa mozaika różnych wyznań i aż 230 grup etnicznych. Według ostatniego spisu powszechnego 63,2% Kanadyjczyków to chrześcijanie, a 32% – katolicy (w 1996 r. było ich 46,9%). We wszystkich zresztą Kościołach chrześcijańskich panuje trend spadkowy. Tymczasem kanadyjski urząd statystyczny przewiduje, że liczba Kanadyjczyków deklarujących niechrześcijańską przynależność religijną może się podwoić do roku 2036.

Na przeprosiny Watykanu za zbrodnie duchownych rdzenna ludność czekała całe lata.

Kraj, a szczególnie tradycyjnie najbardziej katolicka prowincja Quebec, szybko się sekularyzuje. W 1985 r. 90% Kanadyjczyków w wieku 15 lat i starszych deklarowało przynależność religijną, w 2019 r. – 68%

Wizyta Franciszka znacznie się różniła od wizyt papieża Polaka. Co prawda, Jan Paweł II też spotykał się z ludnością rdzenną i wyrażał ból z powodu jej losu, ale na tym się kończyło. Tu miało być inaczej.

Tym razem było to spotkanie przede wszystkim z ludnością rdzenną Kanady – z Pierwszymi Narodami (dawni Indianie), z Inuitami (niegdysiejsi Eskimosi) i Metysami. Stąd charakter pielgrzymki i wybór miejsc na trasie. Niezależnie od mieszanych uczuć i reakcji doceniono fakt, że 85-letni schorowany papież zdecydował się na tę męczącą, sześciodniową podróż (w sumie 19 tys. km), choć ze względu na stan zdrowia odwołał wyjazd do Afryki. Jego wizyty w Kanadzie długo oczekiwano i proszono o nią. Wielu podkreśla, że odbyła się za późno, ale trudno zanegować jej historyczne znaczenie.

Warto zauważyć, że są to trzecie przeprosiny Franciszka za grzechy Kościoła wobec ludności rdzennej przy brutalnych podbojach kolonialnych. Pierwsze wypowiedziane zostały w 2015 r. w Boliwii. Jak wspomniałam, długo oczekiwane słowa przeprosin padły też 1 kwietnia w Watykanie na zakończenie wizyty trzech

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 779b625a3f

delegacji kanadyjskich ludów rdzennych. Ale delegaci, podobnie jak poprzednio premier Justin Trudeau, naciskali na papieża, żeby przyjechał i spotkał się z ludnością rdzenną w Kanadzie i aby te słowa wybrzmiały na ziemi kanadyjskiej.

Dlaczego to ważne

Franciszek widział teraz na własne oczy prawdziwą Kanadę, bez blichtru, codzienne życie ludności rdzennej i niezwykłe bogactwo jej kultury, głęboką duchowość, wielowiekowe tradycje, które przetrwały wszystkie zbrodnie dokonywane po to, aby prawowitych właścicieli i mieszkańców tych ziem odrzeć z ich tożsamości kulturowej, wręcz się ich pozbyć. Papież zobaczył i odczuł tę ogromną siłę.

Słów było już wiele. Bez czynów będą one tylko kolejnymi pustymi deklaracjami.

Zobaczył również i poczuł nieprawdopodobny ból oraz wielopokoleniową traumę (i jej konsekwencje) ludzi odzieranych w procesie przymusowej asymilacji z godności i tożsamości, okradanych z należących do nich ziem i z dziedzictwa. Komisja Prawdy i Pojednania nazwała to kulturowym ludobójstwem, a papież na konferencji prasowej w czasie lotu powrotnego do Watykanu przyznał: „Tak, to było ludobójstwo".

Dzięki wizycie Franciszka ta prawdziwa, zmagająca się z bolesną historią Kanada została pokazana światu. Po znalezieniu szczątków 215 dzieci w nieoznakowanych grobach przy szkole rezydencjalnej w Kamloops przez pewien czas kanadyjskie szkoły rezydencjalne i polityka przymusowej asymilacji ludności rdzennej pojawiały się na pierwszych stronach światowych gazet, ale później sprawa ucichła, wizyta papieża była zaś szeroko relacjonowana w mediach. Zaowocowało to znowu solidną dawką wiedzy o tych traumach, co jest ważne nie tylko dla ludności rdzennej Kanady, ale i dla prawdy historycznej całego globu.

Wszystko tłumaczono na kilkanaście języków rdzennych, które stanowiły integralną część tożsamości, a w szkołach rezydencjalnych miano je wyrugować, zabraniając dzieciom ich używania.

Ważne jest i to, że Franciszek nie pojechał do Kanady spotkać się z politykami. Oczywiście w Edmonton powitał go premier Justin Trudeau, który później był również w Quebecu, lecz zdecydowanie na drugim planie. Papież nie pojechał do Ottawy, ale do trzech miejsc, wybranych nieprzypadkowo.

Od Gór Skalistych do Arktyki

Pierwszym była zachodnia prowincja Alberta, gdzie działało najwięcej szkół rezydencjalnych, a Edmonton, w którym Franciszek spędził dwa dni, to miasto zamieszkane przez największy odsetek ludności rdzennej żyjącej w ośrodkach wielkomiejskich. Ciekawe, że właśnie w Albercie jest najliczniejsza kanadyjska społeczność ukraińska, a stanowisko Franciszka w sprawie obecnej wojny nie przysporzyło mu sympatii wśród Ukraińców. Nie witali papieża owacyjnie.

Drugi na trasie był Quebec, niegdyś najbardziej katolicka prowincja o innych korzeniach niż pozostała część Kanady, ważna z punktu widzenia związków Kościoła z tym, co nazywamy dzisiaj Kanadą. Quebec sekularyzuje się najszybciej – kościoły są masowo zamykane, przeznaczane na inne cele lub wyburzane. W ciągu 20 lat, od 2000 do 2020 r., liczba parafii w tej prowincji zmniejszyła się o prawie połowę.

Ostatniego dnia Franciszek odwiedził Iqaluit, stolicę arktycznego terytorium Nunavut, ponad 2,3 tys. km od Toronto. Spotkał się tam z Inuitami, także tymi, którzy przeszli przez szkoły rezydencjalne. Spotkanie z ocalałymi odbyło się przy drzwiach zamkniętych w lokalnej szkole podstawowej, później publiczne na zewnątrz, gdzie na scenie występowali miejscowi artyści. Wszystko w trzech językach: papież mówił po hiszpańsku, jego słowa tłumaczono na inuktitut (język Inuitów) i na angielski. W skromnym pożegnaniu na lotnisku uczestniczyła gubernator generalna, pierwsza w historii Kanady przedstawicielka monarchii Inuitka, Mary Simon.

Co się stało, a co nie

Pierwsze przeprosiny padły w Edmonton w czasie największego spotkania na stadionie, gdzie papież potwierdził, że godne ubolewania zło popełniane było przez członków Kościoła, których polityka miała katastrofalny wpływ na dzieci i na ich rodziny. Odezwały się jednak głosy krytyki, że przeprosił za działania tylko niektórych, a nie instytucji jako całości. Trzeba przyznać, że przeprosiny ewoluowały przez sześć dni wizyty Franciszka. W Quebecu po raz pierwszy wspomniał o molestowaniu seksualnym, o którym przedtem nie było mowy. Bez wątpienia słowa to za mało, ale papież zdaje sobie z tego sprawę. Również lokalni dygnitarze Kościoła katolickiego uświadamiają sobie, że po słowach muszą przyjść konkretne czyny.

Dotyczy to chociażby doktryny odkrycia, wywodzącej się z bulli papieskich z XV w., które legitymizowały działania i przemoc kolonizatorów, nie tylko dając im zezwolenie na konfiskowanie ziem należących do ludności rdzennej na całym świecie (w Ameryce Północnej, w Australii i w Ameryce Południowej), ale też pozwalając na asymilowanie i siłowe nawracanie na chrześcijaństwo. Od tej doktryny odciął się Kościół protestancki Church of Canada. Wielokrotnie żądała tego w czasie wizyty Franciszka ludność rdzenna, m.in. rozwijając w czasie mszy w Quebecu transparent.

Istotną sprawą jest poza tym zwrot przedmiotów dziedzictwa kulturowego, które znajdują się w muzeach w Watykanie. To przedmioty kultu, mające dla ludności rdzennej znaczenie duchowe.

Bardzo ważne jest udostępnienie wszystkich dotychczas nieprzekazanych przez Kościół katolicki dokumentów szkół rezydencjalnych, bo to pomoże ujawnić pełną prawdę o szkołach. Co ciekawe, 1 sierpnia archiwista Centre for Truth and Reconciliation w Winnipegu Raymond Frogner natknął się w archiwum Misjonarzy Oblatów w Rzymie na

eprasa.pl 779b625a3f

zdjęcia, akta osobowe i rękopisy opisujące działania zakonu na całym świecie od momentu jego założenia w 1816 r. Znalazły się tam m.in. zdjęcia uczniów ze szkół rezydencjalnych z Kanady. Konieczne jest także zbadanie wszystkich grobów i ustalenie, kim są pochowane w nich dzieci i jakie były przyczyny ich śmierci. Każdemu przecież należy się zgodny z tradycją pochówek.

I wreszcie sprawa reparacji. Kościół katolicki zobowiązał się do wypłacenia 25 mln dol. odszkodowania ofiarom. Postanowiono zbierać pieniądze wśród wiernych, lecz na razie wpłynęło tylko 4,6 mln dol. To kropla w morzu. Premier Trudeau, który odbył prywatne spotkanie z Franciszkiem w mieście Quebec, nalegał, aby papież pomógł załatwić te wszystkie sprawy.

Jest jeszcze wiele innych nierozwiązanych kwestii. W tzw. szkołach dziennych, które funkcjonowały dłużej niż rezydencjalne, bo do 2000 r., także realizując politykę przymusowej asymilacji, działy się podobne rzeczy. Jest też kwestia ofiar pedofilii duchowieństwa w Quebecu – ponad 2,5 tys. osób (nierdzennych) wykorzystywanych w dzieciństwie przez duchownych. 21 pozwów zbiorowych nie doczekało się do tej pory rozwiązania.

Co dalej?

Reakcje ludności rdzennej na pobyt papieża w Kanadzie były różne, od wdzięczności i respektu, przez brak wiary w zmianę, po pełną goryczy niechęć. Kiedy były członek Komisji Prawdy i Pojednania wódz Wilton Littlechild umieścił na głowie papieża tradycyjny pióropusz, Phi Ko z plemienia Cree odebrała to jako oznakę braku szacunku dla tradycji. Świat obiegł jej przepełniony rozpaczą, wykrzyczany w rdzennym języku protest.

Widoczne i rażące było pominięcie ocalałych i ludności rdzennej w obrzędach religijnych. W pierwszych rzędach podczas mszy, zarówno w Edmonton, jak i w Sainte-Anne-de-Beaupré w prowincji Quebec, zasiadali nie ocalali, lecz kardynałowie, biskupi i duchowni, co uznano za objaw braku empatii. Rdzenne symbole były również nieobecne na ołtarzu i podczas nabożeństw. A przecież wizyta miała być spotkaniem z ocalałymi i rdzennymi mieszkańcami Kanady. Msza odprawiona po łacinie budziła bolesne wspomnienia. Była też ukłonem w stronę ultrakonserwatywnych kręgów w Kościele.

Papież, który w Kanadzie przyznał, że to doświadczenie wzbogaciło go wewnętrznie, cztery dni po powrocie, na cotygodniowej audiencji generalnej w Watykanie, powiedział, że Kościół musi się zmierzyć z odpowiedzialnością za wykorzystywanie dzieci i próby wymazania rdzennej kultury. Wyraźnie usiłując odpowiedzieć krytykom, stwierdził, że księża, zakonnice i katolicy świeccy „uczestniczyli w programach, które dziś rozumiemy jako naganne i sprzeczne z Ewangelią. Dlatego pojechałem prosić o przebaczenie w imieniu Kościoła". Ale Franciszek to nie cały Kościół.

Czy po wzruszających słowach i prośbach o wybaczenie nastąpią konkretne czyny? Słów było już wiele. Bez czynów będą one tylko kolejnymi pustymi deklaracjami.

Małgorzata P. Bonikowska

eprasa.pl 779b625a3f

Pociągiem za jeden uśmiech i zero euro

Hiszpanie z części połączeń skorzystają za darmo, Niemcy – za 9 euro. Czy ten eksperyment przetrwa?

Mateusz Mazzini

Wbrew oczekiwaniom ustawodawców na początku nie było ekscytacji, tylko chaos. Kiedy wiosną niemieckie władze ogłosiły, że na trzymiesięczny okres wakacyjny wprowadzają powszechnie obowiązujący bilet na transport publiczny w wysokości zaledwie 9 euro, jak Europa długa i szeroka chwalono je za odważne posunięcie i stawianie na komunikację zbiorową. Wtedy jednak projekt był jeszcze teorią, a jego praktyczne konsekwencje pozostawały trudne do oszacowania.

Deutsche Bahn i tak ma dobrze

Pomysł miał być banalnie prosty – 9 euro za miesięczny karnet. Wszędzie, na wszystkie połączenia regionalne i lokalne, nawet niektóre międzynarodowe, jeśli byłyby obsługiwane przez niemieckich przewoźników. Każdy miał prawo do wykupienia jednego takiego abonamentu pomiędzy czerwcem a sierpniem. Argumentować tego ruchu też specjalnie nie było trzeba. Inflacja, rosnące koszty życia, nadchodzący kryzys energetyczny i wyższe ceny paliw – wszystko to zsumowane automatycznie przekonywało, że obywatelom trzeba dać inną możliwość niż transport samochodowy. Na drugim planie wybrzmiewały kwestie klimatyczne, błyskawicznie uwiarygodnione przez czerwcowe fale upałów, odczuwane również w Niemczech. Właściwie trudno do czegokolwiek się przyczepić.

Tyle widać było z pozycji pisania projektu na papierze. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej wielowymiarowa. Już w maju, kiedy uruchomiono sprzedaż czerwcowych karnetów, na horyzoncie zamajaczyło widmo przeciążenia systemu kolejowego. Nie tylko połączeń, ale całej infrastruktury, od procesu sprzedaży biletów do przepracowania załóg. Dobrze ilustrują to liczby – już w pierwszym miesiącu funkcjonowania specjalnych karnetów sprzedano ich 21 mln. Dodatkowo prawo do korzystania z nich otrzymało 10 mln posiadaczy biletów wielookresowych. Sama Deutsche Bahn zarejestrowała w czerwcu 10-procentowy wzrost liczby pasażerów, a na niektórych trasach regionalnych, m.in. w Brandenburgii i aglomeracji Berlina, 25-procentowy. Pod względem przyciągnięcia ludzi do kolei akcja z pewnością odniosła więc sukces. Jeśli jednak wyjść poza liczby i przyjrzeć się realiom, konkluzja nie będzie tak jednoznaczna.

Na karnetach za 9 euro niemieckie koleje nie zarabiają, a zwiększając obłożenie pociągów, generują dodatkowe koszty.

Po pierwsze, sztuczne zaniżenie cen połączeń to ogromne obciążenie finansowe. Nie ma co się oszukiwać, na karnetach za 9 euro niemieckie koleje nie zarabiają, a zwiększając obłożenie pociągów, generują dodatkowe koszty. Federalne ministerstwo transportu do trzymiesięcznej inicjatywy musiało dołożyć 2,5 mld euro, żeby budżety przewoźników w ogóle się spięły. Po drugie, pasażerowie szybko zaczęli narzekać na standard usług, który pogorszył się z powodu przeciążenia kolei. Przybyło pasażerów, ale nie pracowników. Wprawdzie Deutsche Bahn i tak jest w lepszej sytuacji niż inni przewoźnicy, chociażby cierpiące na chroniczny niedobór siły roboczej linie lotnicze (tylko w ubiegłym roku firma zatrudniła 22 tys. nowych pracowników), ale zwiększona liczba pasażerów była sporym wyzwaniem logistycznym.

eprasa.pl 779b625a3f

Już w 2021 r. co czwarty pociąg wysokiej prędkości przyjeżdżał na stację końcową spóźniony, prawie zawsze o więcej niż 10 minut. Teraz opóźnień było jeszcze więcej, choć nikt dokładnie nie wie ile.

Nie ma jeszcze precyzyjnych analiz pierwszych dwóch miesięcy funkcjonowania taniego karnetu, pozostają więc dowody anegdotyczne. A te nie napawają optymizmem. Niemiecki internet właściwie momentalnie od początku czerwca został zalany zdjęciami rozkładów jazdy z dziesiątkami opóźnień, memami o zaburzonej punktualności DB, a nawet wywodami socjologów, zastanawiających się, co jest nie tak z kulturą pracy w tej instytucji, że działa tak fatalnie.

W Niemczech tylko w pierwszym miesiącu funkcjonowania specjalnych karnetów sprzedano ich 21 mln.

Pochwała zbiorówek

Na ostateczne oceny, czy program się udał, przyjdzie jeszcze czas – będzie on działać do końca sierpnia. Według wielu komentatorów miał jednak spory sens, zwłaszcza jako próba zmiany społecznego myślenia o transporcie zbiorowym. Olga Gitkiewicz, socjolożka i reporterka zajmująca się m.in. tematem komunikacji publicznej, zauważa, że ważne będzie to, co z trzymiesięcznego eksperymentu zostanie na dłużej: – To było od początku pomyślane jako oferta sezonowa. Z tego, co wiem, nie zostanie przedłużona, bo byłaby zbyt dużym obciążeniem dla budżetu. Mają zostać natomiast wprowadzone nowe oferty cenowe, ryczałty na bilety okresowe, i to jest myślenie z sensem, przyszłościowe, podobnie jak choćby austriackie zintegrowane bilety klimatyczne na transport zbiorowy.

Jak mówi, takie akcje muszą zawsze mieć na celu pokazanie społeczeństwu szerokiej roli, jaką transport publiczny może i powinien w dzisiejszych czasach odgrywać. – To jest myślenie o tym, że ludzi trzeba i warto do transportu zbiorowego zachęcać. Bo transport to nie tylko jakiś jeden konkretny przejazd z miejsca A do B, tylko cały system, i to system, który może być odpowiedzią na korki na drogach czy rosnące zanieczyszczenie środowiska.

Faktycznie, na przedłużenie biletu za 9 euro Niemcy się nie zdecydują. Co prawda, przez chwilę taką intencję wyrażała Partia Zielonych, ale natychmiast została spacyfikowana, bo konflikt wokół kosztów tanich połączeń groził trzęsieniem ziemi w koalicji rządzącej. Zieloni nadal zresztą opowiadają się za wprowadzeniem nowego, tym razem dłuższego projektu niedrogich biletów okresowych. Zdecydowane weto w tej sprawie postawił już minister finansów Christian Lindner, reprezentujący najmniejszego koalicjanta, liberalną FPD. Choć w umowie koalicyjnej liberałowie zgodzili się na zwiększenie wydatków publicznych na transport zbiorowy, teraz są podobnym projektom niechętni.

Stały tani bilet kolejowy popierają prawie wszystkie liczące się siły polityczne w Hiszpanii.

Lindner nie chce dopuścić do wzrostu długu publicznego w przyszłym roku. Teraz patrzy się na niego z przymrużeniem oka, bo wiadomo – czasy są trudne, inflacja zżera ludziom oszczędności, a zimą kryzys energetyczny da się jeszcze bardziej we znaki. Za rok jednak trzeba będzie znowu uważnie liczyć pieniądze w państwowej kasie.

Partyjny kolega Lindnera, minister transportu Volker Wissing, choć nieco mniej radykalny, również do kolejnych projektów tanich połączeń podchodzi z rezerwą. Podkreśla, że pozostaje na nie otwarty, ale najpierw musi zostać przekonany danymi o skuteczności letniego projektu. Nowych rozwiązań i tak nie wdroży przed listopadem, najwcześniej więc pojawią się one w ofercie przewoźników na 2023 r.

Portal Deutsche Welle zauważa, że wtedy może być już za późno. Po pierwsze, zniknie efekt pozytywnego wrażenia, jakie wśród podróżnych mogło zostać po letnim eksperymencie. Upłynie zbyt dużo czasu i przekonywanie ludzi do transportu zbiorowego trzeba będzie zacząć od nowa. Po drugie, jak wspominaliśmy, zimą będzie drożej, kryzys energetyczny uderzy jeszcze mocniej – 9 euro będzie raczej niemożliwe do powtórzenia. Przewoźnicy będą musieli podnieść ceny, a jeśli każe im się je ponownie sztucznie zaniżać, dopłaty z budżetu trzeba będzie zwiększyć. Co z kolei obciąży państwo, już uginające się pod ciężarem innych wydatków – właśnie związanych z energią, inflacją itp. Błędne koło, w które w dodatku szybko wpadnie koalicja rządząca.

Z Barcelony do Bilbao

Podobny los czeka zapewne jesienne darmowe przejazdy kolejami w Hiszpanii. Od 1 września aż do 31 grudnia wszystkie połączenia szybkich kolei miejskich, linii aglomeracyjnych i działające na innych krótkich odcinkach, jak również połączenia regionalne na trasach nieprzekraczających 300 km, będą całkowicie bezpłatne. Żeby skorzystać z promocji, trzeba jednak nabyć bilet okresowy albo chociaż łączący kilka połączeń. Za zwykłą, pojedynczą podróż z miasta A do miasta B zapłacimy już normalną cenę.

Cel rządu Pedra Sáncheza jest zatem taki sam jak tego w Berlinie. Ulżyć ludziom w czasach problemów gospodarczych, jednocześnie zachęcając ich do długoterminowego korzystania z transportu zbiorowego. Chodzi o to, by do pociągów przesiedli się na stałe, odeszli od nawyku stałych podróży samochodowych. Zwłaszcza że wymóg

eprasa.pl 779b625a3f

łączenia pociągów na darmowym bilecie pozwala na naprawdę dalekie podróże. Nie ma bowiem górnego limitu, można skakać z pociągu na pociąg. Dlatego jesienią możliwa będzie podróż za zero euro z Barcelony do Bilbao, z Madrytu do Walencji czy z Sewilli do Saragossy. Warunek? Musimy często się przesiadać i prawdopodobnie dość wolno przemierzać kraj.

Władze w Madrycie już wcześniej promowały transport zbiorowy, w czerwcu wprowadzając 50-procentowe zniżki na większość połączeń Renfe, narodowego przewoźnika kolejowego. Teraz idą krok dalej – i z dużą pewnością, że im się to opłaci. W przeciwieństwie do Niemców nie martwią się przy tym o pieniądze, przynajmniej na razie. Koszty darmowych przejazdów mają zostać pokryte przez nowy nadzwyczajny podatek od zysków instytucji sektora bankowego i koncernów energetycznych. Hiszpańskie ministerstwo finansów szacuje w tej chwili, że danina przyniesie budżetowi dodatkowe 7 mld euro w ciągu dwóch lat. Ruszy jednak dopiero w 2023 r., więc na razie Hiszpanie koleją za darmo będą jeździć w pewnym sensie na kredyt.

W nowym numerze tygodnika „NIE" publikacja o Patryku Jakim, jego ojcu oraz najgorszym wrogu ich dwóch.

Czy utrzymanie takich stawek jest możliwe w dłuższej perspektywie? Znowu, jak w przypadku Niemiec, zapewne nie. Ale jakaś forma stałego taniego biletu kolejowego na Półwyspie Iberyjskim nie wydaje się niemożliwa. Zwłaszcza że, przynajmniej deklaratywnie, jest ona popierana przez prawie wszystkie liczące się siły polityczne w Hiszpanii.

Kolej dla każdego

Gdy analizuje się zachodnioeuropejskie eksperymenty z tanimi biletami kolejowymi, trudno nie zapytać, czy i Polska nie mogłaby się pokusić o podobne rozwiązanie. Olga Gitkiewicz jest tu raczej pesymistką: – Różni przewoźnicy w naszym kraju mają swoje pomysły. Dosyć ciekawe są chociażby oferty Regio, ale tych pociągów z kolei nie jest aż tak dużo. W Intercity oferty promocyjne się pojawiają, bilety bywają tanie, kiedy się kupuje odpowiednio wcześniej, ale mam wrażenie, że ostatnio te promocyjne pule są bardziej ograniczone i skorzystać z nich są w stanie tylko osoby, które po prostu interesują się koleją i już kolej jako środek transportu znają.

Reporterka zwraca też uwagę na fakt, że aby kolej stała się realną i powszechną alternatywą dla transportu zbiorowego, musi być systemem przejrzystym dla wszystkich, nie tylko dla już korzystających z niej pasażerów. Tymczasem w polskiej rzeczywistości kolejowej promocje czy ulgi, nawet jeśli się pojawiają i są bardzo korzystne, bywają nieczytelne dla rzadkich użytkowników transportu zbiorowego. Mało tego, nawet tacy weterani kolei jak sama Olga Gitkiewicz potrafią paść ofiarą zawiłych regulacji towarzyszących promocjom.

– Ostatnio jechałam z dziećmi pociągiem do Łodzi i okazało się, że biletu w ofercie „taniej z bliskimi" nie mogę kupić tego samego dnia, trzeba je kupować z przynajmniej jednodniowym wyprzedzeniem – opowiada. – Dlaczego tak jest? Nie wiem. Te wszystkie promocje ważne trzy, cztery tygodnie wcześniej, owszem, są fajne, ale jeśli podróż ma być codziennym nawykiem, to nie róbmy z niej czegoś, co trzeba nabożnie planować miesiąc przed.

Brak przejrzystych zasad ofert promocyjnych, niezdrowa rywalizacja pomiędzy przewoźnikami, ogólne niedofinansowanie sektora i relatywnie drogie bilety – to wszystko powoduje, że Polakom daleko do innych europejskich narodów, jeśli chodzi o korzystanie z transportu kolejowego. Według danych Eurostatu przeciętnie obywatel naszego kraju odbywa rocznie osiem podróży kolejowych, w większości krajowych. Dla porównania Szwajcar robi to rocznie aż 70 razy i często na długich dystansach. Przyczyn można oczywiście szukać w bieżącym chaosie cenowo-informacyjnym, ale jest on na dobrą sprawę wtórny wobec dekad zaniedbań na rynku kolejowym. Po 1989 r. kolej dla mało której ekipy rządzącej była w jakikolwiek sposób ważna, a skutkiem ubocznym polskiej pogoni za Zachodem była masowa przesiadka do samochodów, połączona z rytualnie wręcz negatywną opinią o „zbiorówce" w przestrzeni publicznej.

> Tanie bilety muszą być elementem szerszej i długookresowej strategii.

Powoli wygrzebujemy się z tej zapaści, na fali debat o kryzysie klimatycznym i pokoleniowych zmian norm społecznych zainteresowanie koleją rośnie. Długookresowe tanie bilety z pewnością by ten trend wzmocniły, zwłaszcza że Polacy skutki globalnych problemów ekonomicznych odczuwają równie boleśnie, a miejscami nawet boleśniej od innych społeczeństw. Bilety te muszą jednak być elementem szerszej i długookresowej strategii. W końcu kolej nie bez przyczyny działa dzięki siatce połączeń. Żeby działała prawidłowo, w siatce tej musi być wiele elementów. I wszystkie dostępne dla każdego.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Zakrzątani

Powrót do domu z Wybrzeża. Zajeżdżamy do Malborka – tłumy, zapchane po brzegi obszerne parkingi, nasze dzieci grymaszą, nie chcą zwiedzać, mają lepsze zamki w grach komputerowych. Więc rezygnujemy ze zwiedzania wnętrz, oglądamy tylko fasadę i podziwiamy ogrom bryły. Nabiera ona dynamizmu, gdy obok w wielkim pędzie przejeżdża srebrna torpeda pociągu. Terror dzieci, żona się złości, ja wpadam w depresję. Ale wszystko się wycisza, jedziemy już spokojnie i bezpiecznie. Antek mi tłumaczy: „Nie interesuje mnie przeszłość, tylko przyszłość jest ważna". Nowe pokolenia zmienią świat nie do poznania.

•

To dorośli, kierowani zyskiem, wymyślili gry komputerowe i wkręcili w nie dzieci. I już niemal wszystkie są od nich uzależnione. Z młodzieżą też inny problem. Badania mówią, że ponad połowa młodych chce z Polski wyjechać i pracować za granicą, można założyć, że połowa z tej połowy nie wróci. A pamiętam gadanie PiS, że emigracja młodych to wina Platformy i Tuska. Że za PiS już nie będą emigrować, tak dobrze im będzie w Polsce. Młodzi nie mają szans choćby na własne mieszkanie. Gdzie są te setki tysięcy mieszkań, które nasi dobrodzieje mieli dla nich wybudować?

Wygląda na to, że przehulaliśmy dobre czasy.

•

Niewierzący w globalne ocieplenie będą musieli się nawrócić. Patrzę na termometr w moim Międzylesiu, raz zdarzyło się aż 37 st. w cieniu. Nie było nas kilka dni w domu, nikt nie podlewał roślin w ogrodzie, ale większość jakimś cudem przeżyła. Najlepiej ma się dzikie wino, oplotło nasz dom, jakby chciało wyssać z niego wszystkie soki. Stoimy zaledwie na progu wielkich zmian klimatycznych, młodsi będą z rozrzewnieniem wspominać ten próg, na progu jeszcze dało się wytrzymać. Ale nasza prawica narodowa w to nie wierzy, wierzy w słowa Biblii: „Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi". Możemy więc do woli dewastować naszą planetę. Politycy PiS i partyjny elektorat wątpią w globalne ocieplenie, racjonalne argumenty nie trafiają do zakutych łbów.

•

Jeśli przed progiem kampanii wyborczej Jarosław Kaczyński jest tak brutalny, przekraczając wszelkie granice przyzwoitości i rozsądku, to co będzie dalej? Kaczyński jest już nieruchawym starszym panem, a jednak gorączkowo krzątał się po kraju i ukrzepiał wiernych w wierze. Jakby walczył o życie. Bo walczy o życie. Nie ma niczego innego niż polityka, nie interesował się nigdy kobietami, nie zależy mu na dobrach materialnych, zależy mu tylko na władzy. Jak przegra wybory, wylatuje w niesławie na zawsze z polityki, a PiS się rozpadnie. Opozycja z kolei walczy, by uratować Polskę przed dalszymi rządami PiS, które są jak rak z przerzutami, więc oni też walczą o życie i mają usprawiedliwienie na zastosowanie wszelkich dostępnych środków. Będzie obrzydliwie.

•

„Co pana martwi w dzisiejszej Polsce?", zapytano Marka Kondrata: „Bezsilność tych, którzy chcieliby coś poprawić, i obojętność tych, którzy nie uczestniczą w organizacji swojego kraju. Pozostali, czyli te 30% entuzjastów obecnej władzy, głównie ludzi starszych i słabo wykształconych, też mnie martwią, ale inaczej. Sama władza: ludzie cyniczni, którzy żyją z władzy, zarazem traktowani przez swojego guru jak brudne szmaty »nadające się do posprzątania domu« – to nie martwi, to brzydzi. (…) 30 lat to strasznie krótko. Za mało, aby wyprostować wszystkie zaszłości". Marku, 30 lat to kupa czasu, popatrz, jak szybko i radykalnie zmieniło się niemieckie społeczeństwo po wojnie. U nas były warunki do hodowania własnej niedojrzałości i fobii.

•

Wygląda na to, że przehulaliśmy dobre czasy. Polska nie została doprowadzona do bankructwa, ale przejedliśmy rezerwy, które można było zgromadzić na wszelki wypadek. A ekonomiczna historia świata mówi, że po dobrych czasach przychodzą kryzysy.

Czytam, że aż 43% rodaków nie ma żadnych oszczędności, nie ma żadnej poduszki finansowej na wypadek kłopotów. Jak spać bez takiej „poduszki"? Z mojej poduszki wyfruwa pierze, nadal jednak mam na czym położyć głowę. Gdziekolwiek kupuję, płacę więcej, moja fryzjerka właśnie zdrożała o 10 zł. Mój dom jest „na gaz", strach myśleć o zimie. W restauracjach ceny wyższe o 20%. Wakacje stają się niemożliwie drogie. Mimo wszystko cieszę się z inflacji, bo jestem gotowy do największych poświęceń, byle szlag trafił PiS. Ale rozumiem, że nie mogę innych skazywać na poświęcanie się. No i dzieci żal.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Efekt uboczny inwazji Moskwy

Wygranymi w wojnie Rosji z Ukrainą są nie tylko USA i Chiny. Także inne kraje, w tym Polska

Paweł Dybicz

W interesującej analizie wojny rosyjsko-ukraińskiej i jej pokłosia, którą przedstawił prof. Piotr Kimla („Rozważania w kontekście wojny w Ukrainie", PRZEGLĄD 26/2022), brakuje jednego niezwykle ważnego wątku, niezauważanego zresztą lub pomniejszanego także przez wielu innych autorów. Patrzą oni na wojnę z globalnego punktu widzenia, lecz konfliktu amerykańsko-rosyjskiego, mającego oblicze wojny rosyjsko-ukraińskiej, nie wolno rozpatrywać jedynie w kategoriach rozgrywki Ameryka-Rosja z Chinami w tle i poprzestawać na stwierdzeniu, że jej prawdziwymi wygranymi są dwa mocarstwa – USA i Chiny. Z pewnością tak jest i będzie, ale czy nie ma innych wygranych, nawet mimowolnie? Mniejszych państw? I czy takim cichym wygranym nie jest też niemocarstwowa Polska?

W tekście prof. Kimli naszego kraju właściwie nie ma. A przecież jesteśmy sąsiadami dwóch stron toczącej się wojny. Nawet w pewnym stopniu jej uczestnikiem, wielorako wspierając (słusznie!) Ukrainę.

Historia wojen

Dzieje świata, od zarania istnienia państw, pełne są opisów konfliktów zbrojnych, ich skutków i korzyści z nich płynących, przyczyn upadku bądź osłabienia jednego kraju, a wzmocnienia drugiego. Świat jest tak urządzony, że kiedy jedni tracą, drudzy zyskują. To brutalna prawda, wciąż aktualna, a kapitalizm być może jeszcze ją wzmacnia. By się o tym przekonać, wystarczy przypomnieć, kto był beneficjentem upadku imperium brytyjskiego, wszak zwycięskiego w II wojnie światowej.

OPINIE

Piotr Kimla

Rozważania w kontekście wojny w Ukrainie

Dwie pomyłki i jedna racja amerykańskich realistów politycznych

Wojna u naszych granic znacznie osłabia Rosję i Ukrainę. Politycznie, ale przede wszystkim gospodarczo. Ukraina płaci za nią ogromnymi zniszczeniami, utratą kilku milionów obywateli (nie licząc emigracji) i najbardziej uprzemysłowionych regionów na wschodzie i południu. Jest mało prawdopodobne, by Zachód zrzucił się na nieograniczoną pomoc w jej odbudowie. Owszem, będą to znaczące kwoty, ale nie na tyle, by Ukraina w najbliższych latach, może dziesięcioleciach, stała się średnio bogatym państwem europejskim. Trzeba też wiedzieć, że biedniejsze kraje Unii Europejskiej (pewnie poza Polską i może krajami bałtyckimi) nie będą za bardzo zainteresowane wchodzeniem Ukrainy w jakiejś formie do Unii, a tym samym uszczuplaniem funduszy przeznaczanych dla nich przez UE. A i zachodnie społeczeństwa po tym, co się dzieje z ich gospodarką, finansami, cenami, będą coraz mniej chętne łożyć ogromne sumy na Kijów.

Rosja, choć zwycięska – zabierze niemałą część Ukrainy – również wiele straci. Zaanektowane tereny są lub będą mocno zniszczone. Koszty prowadzenia wojny i odbudowy już są i będą ogromne, ale w dłuższej perspektywie Rosji najbardziej zaszkodzą sankcje, głównie hamujące, a w niektórych, najnowocześniejszych technologicznie branżach, zatrzymujące jej rozwój. Rosjanie – elity, w tym przywódcze – doskonale to wiedzą. Premier Rosji Michaił Miszustin mówił: „Celem (sankcji) jest cofnięcie nas w czasie nawet o dziesięciolecia. Odcięcie nas od świata". Nie wiedzą jednak, że są przedstawicielami archaicznego myślenia w polityce. Nie rozumieją, że nie trzeba być rozległym państwem, by wiele w świecie znaczyć. Wystarczy spojrzeć na naszych sąsiadów zza Odry. Niemcy po II wojnie straciły niemały obszar III Rzeszy. Czy z tego powodu są słabsze, mniej w świecie znaczą? Czy w dużym stopniu nie władają polską (i nie tylko polską!) gospodarką? Czy ich wpływy na III RP są mniejsze, bo nie posiadają Ziem Odzyskanych, a jedynie zakłady przemysłowe tam zlokalizowane? Rosja, stawiając się w roli agresora, wiele też traci wizerunkowo: nie może już uchodzić za państwo, które wyzbyło się wojowniczych zapędów, a przy tym pokazuje, że nieliczenie się z ofiarami własnymi (idącymi w dziesiątki tysięcy) jest cechą ruskiego myślenia.

> Konfliktu amerykańsko-rosyjskiego, mającego oblicze wojny rosyjsko-ukraińskiej, nie wolno rozpatrywać jedynie w kategoriach rozgrywki Ameryka-Rosja z Chinami w tle.

Moskwa, brutalnie atakując Ukrainę, wyłamała się z powojennego europejskiego konsensusu, powstałego po hekatombie na Starym Kontynencie, ogromnej liczbie ofiar i kolosalnych zniszczeniach. Poza kryzysem bałkańskim cywilizowana,

eprasa.pl 779b625a3f

syta Europa robi wiele, by konflikty rozwiązywać pokojowo. Rosja pokazała, że nie wyzbyła się imperialnych ciągot i nie tylko sąsiadujące z nią kraje muszą się mieć na baczności.

Wzmacniać NATO, ale…

Śmiertelne starcie Rosji z Ukrainą, straszliwie osłabiające te dwa państwa, prowadzi zarazem do wniosku, że im dłużej trwa ta wojna, im więcej powoduje ofiar i strat, tym większą korzyść odniesie Polska. To bardzo okrutne stwierdzenie, ale nie można udawać, że tak nie jest. Osłabiona Rosja jest mniej groźna dla Polski (ale nie tylko dla niej!), nawet gdy ostatecznie zwasalizuje czy wręcz inkorporuje Białoruś. Relacje polsko-rosyjskie są i będą pochodną stosunków amerykańsko-rosyjskich, a dokładniej tego, czy Polska nadal będzie w najwyższym stopniu wykorzystywana przez USA w rozgrywce z Rosją. Ta raczej nie ma dziś powodów do napaści na Polskę, ale w dobie nasilania się nacjonalizmu w wielu państwach i rosnącego napięcia na linii NATO-Rosja nasz kraj może być obiektem starcia z Moskwą.

I jeszcze jeden wątek, wspomniany tylko sygnalnie. Rosja wykorzystuje argument, że Polska chce zaanektować zachodnią Ukrainę, ale kto zaręczy, że za jakiś czas znów nie dojdzie do zbliżenia niemiecko-rosyjskiego kosztem (niepodległości?) Polski?

Trzeba wzmacniać NATO, naszą w nim obecność, tworzyć silną armię europejską, lecz musimy być gotowi na to, że przyjdzie nam (oby nie!) samym stawić czoła Rosji Wielkorusów, podlanej sosem prawosławia w wydaniu Cyryla I. Obecna wojna, jeżeli nie wstrzymuje, to przynajmniej opóźnia imperialne zapędy Moskwy, co najmniej o 20 lat. Tyle bowiem będzie ona potrzebowała na odbudowę swojego potencjału wojskowego i gospodarczego. I nie będzie to łatwe (możliwe?) wobec znacznego uzależnienia od Chin, które już dawno technologicznie ją prześcignęły.

A Ukraina? Historia uczy, że każde młode państwo szuka swojego miejsca na mapie, rozpycha się, często wchodząc w konflikt z sąsiadami, mając mniej lub bardziej uzasadnione roszczenia terytorialne (wystarczy przywołać konflikty na Bliskim Wschodzie). Dziś jej bohaterami są obrońcy w wojnie z Rosją, ale czy ktoś może zaręczyć, że w Ukrainie, pozbawionej „rosyjskiej" części (hamującej wzrost jej nacjonalizmu), nie dojdą do głosu i rządów nacjonaliści spod znaku Bandery? Czy taka Ukraina, nawołująca do przyłączenia polskiej ziemi, nazywanej przez nich Zakierzonią, nie stanie się zagrożeniem dla naszego kraju? W najbliższym dziesięcioleciu będzie ono małe, bo nie bez znaczenia jest kwestia gospodarcza. Zrujnowana w znacznym stopniu ukraińska gospodarka nie będzie mogła w pełni konkurować z polską i wiele zachodnich firm przynajmniej na pewien czas odłoży przeniesienie się nad Dniepr, gdzie koszty wytwarzania ich produktów są lub będą o wiele niższe niż nad Wisłą.

W tym miejscu część czytelników podniesie głos, przypominając, że w kręgach politycznych zrodziła się idea swoistej unii polsko-ukraińskiej. Ciekawe byłyby porządne badania, jaki stosunek do niej mają sami Polacy. To marzenie idealistów, które dziś trudno uznać za logiczne, podobnie jak przekonania zwolenników teorii obumierania państw. W polityce i gospodarce nie ma sentymentów, nieraz toczy się wręcz brudna gra, o czym dobrze wiedzą Niemcy i Francuzi, którym co jakiś czas ich politycy mówią o aliansie. Poza tym, co może najważniejsze, trzeba mieć na uwadze to, że unia z Ukrainą jeszcze bardziej naraża nas na konflikt z Rosją. Tak było przecież przed wiekami, kiedy unia z Litwą wpłynęła na relacje, rozpoczęła wojny Rzeczypospolitej z Moskwą.

Dla Polski więc trwanie wojny imperialnej Rosji z Ukrainą, mimo całego jej dramatyzmu i nieszczęść, jest szansą, żeby nie napisać bardziej jednoznacznie: w jej interesie. Zbrojny, niepotrzebny, pociągający za sobą setki tysięcy ofiar konflikt rosyjsko-ukraiński także nas: państwo, społeczeństwo, wiele kosztuje, ale warto ponosić jego cenę. Bo ta wojna zwiększa nasze bezpieczeństwo i możliwości gospodarcze na co najmniej dwie dekady.

Jak ten czas osłabienia Rosji i Ukrainy wykorzysta III RP, czy się wzmocni, to już zupełnie inny temat. ■

Z głębokim smutkiem żegnamy
ŚP

Jana Budkiewicza

wieloletniego Przewodniczącego
Federacji
Związków Zawodowych Pracowników
Kultury i Sztuki.

W swoim działaniu jednoczył obronę interesów pracowniczych
z troską o kulturę narodową, jej powszechność
i społeczne rezultaty urzeczywistniania.

Łączymy się w bólu z rodziną i przyjaciółmi

Członkowie Prezydium i Zgromadzenia
Delegatów Związkowych,
związkowcy i pracownicy
Biura Federacji
Związków Zawodowych Pracowników Kultury i Sztuki

R.I.P.

eprasa.pl 779b625a3f

Wszędzie leżały trupy

Nieznane świadectwo zbrodni na warszawiakach w czasie powstania

Rafał Chyliński

Nasza rodzina znalazła się na Ochocie wkrótce po zakończeniu kampanii wrześniowej. Ojciec mój, inż. Tadeusz Chyliński, przedwojenny konstruktor samolotów płatowcowych DWL-RWD, w pierwszych dniach września 1939 r. został awansowany do stopnia podporucznika artylerii i trafił do 8. Dywizji Piechoty. Po ciężkich walkach nad Bzurą jego dywizja, ponosząc duże straty, wycofała się przez Sochaczew i Puszczę Kampinoską do twierdzy Modlin, w obronie której Ojciec walczył aż do jej kapitulacji 28 września 1939 r. Tak jak reszta obrońców dostał się do niewoli niemieckiej. Przewieziony został do jenieckiego obozu przejściowego KL Soldau w Działdowie. Po kilkunastu dniach na podstawie umowy kapitulacyjnej został zwolniony. Wiedząc, że Niemcy poszukują takich jak on, przeniósł się z Ursusa do Warszawy, na ul. Radomską 24 na Ochocie.

W 1940 r. dzięki pomocy przyjaciół Ojciec znalazł zatrudnienie w Elektrycznych Kolejach Dojazdowych (EKD) w Warszawie jako konduktor i motorniczy. Mundur kolejarza, czapka i oryginalne papiery chroniły przed łapankami, groźbą wywiezienia na roboty w głąb Rzeszy i innymi represjami okupanta. Wielu naukowców, artystów, zawodowych oficerów i ludzi zagrożonych aresztowaniem znajdowało w ten sposób w EKD względnie bezpieczne schronienie.

W czasie powstania warszawskiego pracownicy EKD z wielką ofiarnością ratowali osoby transportowane z Zieleniaka – targowiska na rogu ulic Grójeckiej i Opaczewskiej na warszawskiej Ochocie, gdzie spędzono ludność cywilną dzielnicy – do obozu przejściowego w Pruszkowie. Różnymi sposobami ułatwiali ucieczkę z eskortowanych przez hitlerowców kolumn oraz wagonów EKD, przewożąc następnie uwolnionych innymi składami w bezpieczne miejsca wzdłuż linii kolejki.

Wśród cywilów z Ochoty spędzonych przez hitlerowców na Zieleniak znalazły się moja Mama Alina, czteroletnia siostra Lidka i matka Taty. Po zdobyciu powstańczych redut oporu na Ochocie hitlerowcy i podległy im pułk brygady SS RONA (Rossijskaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija – Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa) pod dowództwem brigadeführera SS Bronisława Kamińskiego rozpoczęli systematyczne niszczenie dzielnicy, paląc ulicę po ulicy, a ludność cywilną zapędzając na Zieleniak, gdzie zgotowano jej prawdziwe piekło. Oto fragment listu z 1945 r., w którym moja Mama opisywała swojej mamie koszmar, jaki przeszła w czasie powstania na Ochocie i potem na Zieleniaku:

Nasza dzielnica przechodziła najokropniejsze chwile, bo była pierwszą zdobytą. Przez około tydzień siedzieliśmy i w sypialni, i w piwnicy. Rano, gdy trochę słabszy był obstrzał, szłam się myć na górę, ale nie można było wytrzymać dłużej niż parę minut i chodziło się po mieszkaniu na czworakach. Nasz dom był trzecim domem, który został zajęty. Widzieliśmy, jak wyprowadzali ludzi spod numeru 14 i ustawiali pod ścianą. Więc i my przygotowaliśmy się, że idziemy na śmierć. Gdy wpadli do nas ci tak zwani ukraińcy (6 sierpnia), nie było czasu, żeby myśleć o braniu czegokolwiek. Lidka była w zimowej sukience bez płaszczyka, ja w płaszczu, bo było zimno. Wpadli z dzikim wyciem i strzelali tak, że kule gwizdały nad głowami, kazali nam podnieść ręce do góry i iść. Nigdy nie zapomnę widoku Lidki, jak szła z podniesionymi rękami. Jedna z pań szła z siostrą

IM DALEJ OD POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, TYM MNIEJ PRAWDY

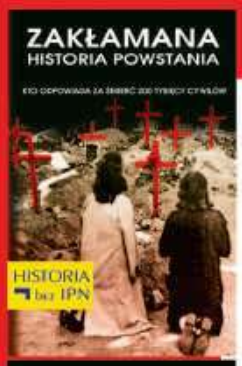

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów
~~41 zł~~ 31 zł

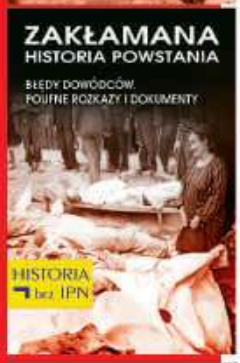

Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty
~~42 zł~~ 32 zł

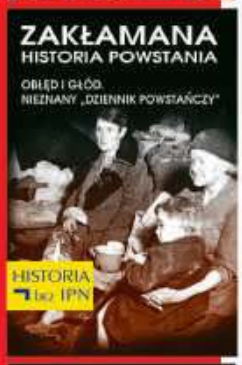

Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy"
~~40 zł~~ 30 zł

Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą
~~44 zł~~ 34 zł

Nie przegap okazji! 4 tomy w pakiecie taniej 167 zł ~~100~~ zł

eprasa.pl 779b625a3f

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

Oryginalne dokumenty!

Cynizm i głupota dowódców!

Męstwo powstańców!

HISTORIA bez IPN

TOM V tylko w formie E-BOOKA za jedyne
~~29,90~~ zł 9,90 zł

Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

Książki PRZEGLĄDU

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

i ośmioletnią córeczką, zatrzymała się, żeby wziąć płaszczyk dla małej. Zabili na miejscu jej siostrę, dziecko, a ją ciężko ranili. Jeden chciał ją dobić, a drugi machnął ręką i zostawili. Gnali nas po drodze, strzelając do mężczyzn, zabierając, co kto miał przy sobie z cenniejszych rzeczy. Szliśmy wśród płomieni palących się domów, ryku armat i kul, które świszczały na wszystkie strony, wszędzie leżały trupy. Nie zapomnę mojego okropnego uczucia, gdy weszłam nogą na coś miękkiego, a to była skrzepła krew. Tak zagnali nas na plac otoczony murem – targowisko, tak zwany Zieleniak. Na tym Zieleniaku byłyśmy cztery doby pod gołym niebem na ziemi. Trudno opisać, co tam się działo. Nocami przychodzili wyciągać kobiety i gwałcili je kilku po kolei. Dziewczynki po lat 13, 14 dostawały krwotoków i umierały. Na mnie w nocy leżała mamusia i Lidka, a chodzili tak, że przez całą noc nie mogłam zmienić na chwilę pozycji. Myślałam, że się uduszę. Całą noc krzyki i jęki rodzących kobiet lub tych, co dostawały pomylenia zmysłów. Strzały do tych kobiet, które wzbraniały się iść z nimi. Przez cztery doby nie jadłam nic, a trzeciej nocy pragnęliśmy tylko, żeby któraś z tych kul trafiła nas. To, co piszę, to nie jest jeszcze wszystko, nie dałoby się w liście opisać tego. To było coś, w co nigdy nie uwierzyłabym, gdyby mi kto opowiadał, to trzeba było widzieć i przeżyć, żeby uwierzyć. Dzieci w poduszkach bez wody. Niemyte umierały. Załatwiało się w tym samym miejscu, gdzie się spało. Zaczęła szaleć czerwonka. Potem wzięli nas i poprowadzili na Okęcie, a stamtąd do kolejki i wieźli do obozu w Pruszkowie, ale my szczęśliwie nie dotarliśmy tam.

11 sierpnia Niemcy uformowali kilkusetosobową kolumnę, do której włączono rodzinę Taty. Ludzi tych poprowadzono z Zieleniaka na przystanek kolejki EKD Raków, skąd transport odjechał do Pruszkowa-Tworek, eskortowany już tylko przez żołnierzy Wehrmachtu. Stamtąd pieszo mieli pokonać trzykilometrową trasę przez miasto do obozu przejściowego Durchgangslager 121 (Dulag 121) w byłych Zakładach Taboru Kolejowego w Pruszkowie. W pewnym momencie jeszcze na stacji Tworki eskortujący kolumnę Niemiec niespodziewanie zwrócił się po polsku do Mamy: „Proszę wziąć dziecka za rękę i iść przed siebie", po czym odwrócił się tyłem. Nie zastanawiając się, skierowały się w stronę stacji Pruszków, idąc wzdłuż torów kolejki. W ten sposób, dzięki wyjątkowemu zachowaniu Niemca, rodzinę Taty ominęła gehenna obozu pruszkowskiego.

W tym czasie Tata miał służbę na EKD i wyznaczone przez AK zadania w ramach tzw. akcji „Raków". W czasie powstania kolejka dochodziła jedynie do stacji Raków, stamtąd odjeżdżały składy z ludnością Warszawy do obozu w Pruszkowie. Podczas tej akcji kolejarze z EKD umożliwili ucieczkę z transportów niemal tysiąca warszawiaków. Los chciał, że Tata, prowadząc prawie pusty wagon silnikowy od strony Pruszkowa, dojrzał idące poboczem torów żonę, córkę i matkę. Natychmiast zatrzymał wagon i ruszył w odwrotnym kierunku, zabierając po drodze innych warszawiaków. Tak dojechał do końcowej stacji linii EKD Radońska w Grodzisku Mazowieckim. Tam rodzina została w wozowni EKD, którą pracownicy kolejki przystosowali do przyjęcia uciekinierów z płonącej Warszawy. Po dwóch dniach moi bliscy dostali się do Milanówka i znaleźli schronienie u znajomych, gdzie doczekali zakończenia wojny. Miejscowości znajdujące się na południowy zachód od Warszawy, na trasie linii EKD, w okresie okupacji niemieckiej, a szczególnie po upadku powstania, dawały schronienie tysiącom uciekinierów z Warszawy. Były to przede wszystkim znane przedwojenne letniska – Podkowa Leśna, Brwinów i Milanówek.

■

Nocami przychodzili wyciągać kobiety i gwałcili je kilku po kolei. Dziewczynki po 13, 14 lat dostawały krwotoków i umierały.

eprasa.pl 779b625a3f

Alkohol w DNA i woda w usta

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które przechodzi terapię, by przepracować to, co się stało w minionych dekadach w życiu naszym i naszych bliskich

SANDRA SZWARC I LENA FRANKIEWICZ
– twórczyni dramaturgii oraz reżyserka spektaklu „Woda w usta" granego we Wrocławskim Teatrze Współczesnym

Rozmawia Dominika Tworek

Lena Frankiewicz

Sandra Szwarc

Oglądając wasz spektakl, wyobraziłam sobie, że teatr jest wielkim gabinetem terapeutycznym. Publiczność to terapeuci, którzy w ciszy wysłuchują historii aktorów (pacjentów), obserwując ich komunikację werbalną i niewerbalną. Podobnie jak poszczególni terapeuci posługują się różnymi nurtami terapeutycznymi, każdy widz szuka własnego sposobu na poznanie prawdy o bohaterach.

Lena Frankiewicz: – Instalacja terapii szybko stała się dla mnie kluczem do tego spektaklu. Stwierdziłam, że potok słów głównej bohaterki, Violi, może mieć charakter albo konfesyjny (wtedy akcja działaby się np. w więzieniu), albo terapeutyzujący. Wówczas miejsce, w którym Viola przebywa, jest jakimś ośrodkiem zamkniętym: zakładem psychiatrycznym lub inną, dobrowolną formą odosobnienia. Chodziło o sytuację, w której człowiek nie doświadcza zbyt wielu zdarzeń i rytmu codzienności, przez co znajduje się w przymusie konfrontacji ze sobą, a wtedy pojawiają się demony przeszłości.

Ostatecznie Viola ląduje na bezludnej wyspie.

LF: – Pierwszą sceną dramatu jest katastrofa, którą można interpretować bardzo różnorodnie. Ja pomyślałam o niej jako o rodzaju jakiejś szalonej imprezy, dlatego w spektaklu widzimy taniec aktorów, którzy wpadają w pewnego rodzaju trans, klimaks. Viola – być może po przedawkowaniu jakiejś substancji – znajduje się w stanie pośrednim, na granicy utraty przytomności, w konsekwencji czego zostaje wyrzucona na bezludną wyspę, która jest metaforą jej świadomości.

Chciałam, żeby wypowiadany przez aktorkę Paulinę Wosik potok słów nie był tylko teatralnym projektowaniem słowa, ale miał organiczny imperatyw. Kluczowe w znalezieniu tej motywacji okazało się zdanie, że dominującym uczuciem u dzieci alkoholików jest wstyd, a o problemie przemocy alkoholowej się nie mówi. Złamanie tego nakazu milczenia stało się dla Violi zapalnikiem do przeprowadzenia nas przez tę opowieść. Dążyłyśmy więc do uzdrowienia tej bohaterki. Dlatego Viola znalazła się w piekielnej sytuacji na bezludnej wyspie, gdzie przymuszona do konfrontacji ze swoimi demonami wyrzuca z siebie to wszystko, żeby się oczyścić.

Sandra Szwarc: – Co istotne, już na wczesnym etapie pracy nad tekstem zdawałyśmy sobie sprawę z wagi tematu i nie chciałyśmy pracować nad nim wyłącznie na podstawie swoich wyobrażeń i doświadczeń. Do zespołu twórców dołączyła więc Weronika Morawiec – terapeutka uzależnień, która nie tylko wspierała nas merytorycznie, ale także przeprowadzała z aktorami terapię postaci przez nich granych.

Wielu odbiorców odnajdzie w tej historii cząstkę siebie. Nasza kultura, w której wszechobecny jest alkohol, niejako wyprodukowała syndrom dorosłego dziecka alkoholika (DDA), dotykający według statystyk przeszło 3 mln Polaków.

eprasa.pl 779b625a3f

Czy spektakl ma nieść przesłanie autoterapeutyczne?

SS: – Założeniem tego tekstu była motywacja do zastanowienia się nad naszym zbiorowym doświadczeniem, ale „Woda w usta" nie jest wyłącznie o DDA i alkoholizmie. To przede wszystkim opowieść o traumie, która wynika z pewnej przemocy, a przemoc ma wiele imion. Dla mnie w ogóle bardzo istotna jest terapeutyczna sprawczość sztuki. Dlatego nie chciałyśmy zostawiać odbiorców z informacją, która jedynie potwierdzi im czarny obraz świata. Pozytywem płynącym z tego opowiadania jest zarówno werbalne wyrzucenie traumy przez bohaterkę, jak i ukazanie samego procesu terapeutycznego. Elementem spektaklu są bowiem fragmenty nagrań, które stanowią improwizowane przez aktorów wyznania sterapeutyzowanych postaci. Dla niektórych już samo podejrzenie, jaki wygląda terapia, może być katalizatorem zmiany.

Mimo że oryginalnie tekst jest monodramem, na deskach teatru pojawia się cała rodzina Violi: matka, ojciec i brat.

LF: – To wspomnienia z jej rodzinnego domu. Viola na wyspie jest zupełnie sama, ale ze szczelin wychodzą upiory w postaci obrazów pamięci – strzępy trudnych emocjonalnie momentów z matką czy ojcem. Pojawia się też brat w postaci doppelgangera. Jako osoba, którą bohaterka bardzo chciała być, ale nie potrafiła.

Tak jak terapeuta nie daje gotowych odpowiedzi, nie mówi klientowi, jak ma żyć, tylko stawia pytania, prowokuje do intelektualno-emocjonalnego pobudzenia, również to przedstawienie nie podsuwa oczywistości. Tu nic nie jest powiedziane wprost – trzeba czytać metafory, uruchomić wszystkie zmysły, a bohaterowie są na tyle wielowymiarowi, że współczujemy nie tylko Violi, ale i jej „oprawcom". Dlaczego zdecydowałyście się na taki zabieg?

SS: – Bo świat nie jest czarno-biały. O tym, kim się staliśmy i w jaki sposób traktujemy ludzi w naszej rodzinie, stanowią często bardzo skomplikowane wielopokoleniowe uwikłania. Wspomniałaś o statystykach dotyczących syndromu DDA w Polsce, a ja bym poszła dalej i zapytała, ile osób zostało wychowanych przez osoby, które wyrastały w domach alkoholowych, przez co mogą mieć problem z okazywaniem uczuć, z budowaniem szczerych relacji. Ilu ludzi funkcjonuje z nieprzepracowanymi traumami, nieświadomie projektując je na innych, przekazując je najbliższym? Bardzo często jest tak, że osoby, które stają są oprawcami, zostały skrzywdzone w przeszłości. Dlatego zależało nam na tym, żeby nie wskazywać palcem: ta postać jest zła, bo robi tak i tak. Ludzka psychika jest przecież bardziej skomplikowana niż manichejski podział na dobro i zło. Tych postaci bronili także sami aktorzy. Im nie wystarczyła umowność pod tytułem „jestem oprawcą i to tyle". Starali się zrozumieć świat wewnętrzny swojej postaci. A odpowiedź na pytanie, kim jestem, nigdy nie jest prosta.

Co pomogło wam znaleźć współczucie dla scenicznych postaci?

LF: – Podczas prób sięgnęliśmy do własnych pokoleniowych zawiłości, wspomnień dziadków czy pradziadków, którzy też pili. Ten alkohol, przenoszony w DNA z pokolenia na pokolenie, pozwolił nam równocześnie lepiej zrozumieć bliskie nam osoby, spojrzeć na nie ze współczuciem. Na mnie wielkie wrażenie zrobiła książka Gabora Maté „Bliskie spotkania z uzależnieniem. W świecie głodnych duchów". Psychiatra analizuje w niej dynamikę uzależnienia. Definiuje, że jest ono mechanizmem, któremu podlegają osoby do tego predestynowane, a mają one takie tendencje dlatego, że najprawdopodobniej w dzieciństwie czy we wczesnej młodości miały bardzo traumatyzujące doświadczenia. I tym alkoholem czy narkotykami sprawiają sobie ulgę. Piją bądź ćpają wcale nie dlatego, że sprawia im to przyjemność, ale żeby mniej cierpieć. Ten sposób podejścia do uzależnienia pozwala spojrzeć na osoby nim dotknięte z dużo większym współczuciem, bez łatwiej oceny.

Sam tytuł „Woda w usta" mówi o wstydzie, poczuciu bycia nierozumianym, zepchniętym na margines. W spektaklu widzimy też palącą chęć społecznego dostosowania się – bohaterka udaje przecież beztroską urlopowiczkę. Jakie inne właściwe dla syndromu DDA tendencje i emocje chciałyście pokazać?

LF: – Osoby z DDA często doświadczają niespójności, niestabilności albo uczucia pomieszania. Nie potrafią rozpoznać, co jest fikcją, a co prawdą. Ponieważ egzystowanie w ich domu rodzinnym przypominało taniec na linie, w dorosłym życiu gubią się w emocjach, nie potrafią ich zidentyfikować i nazwać, mają problem z określeniem, czego tak naprawdę pragną, trudno im wejść w relacje czy je ustabilizować. Nieraz przyjmują rolę opiekuna, są nadmiernie odpowiedzialne za innych, mierzą się z perfekcjonizmem, nieumiejętnością odpuszczenia, ale mają też pozytywne cechy, np. ogromne pokłady empatii.

Teatr ma moc wspólnotowego przerabiania problemów.

Viola jest również mitomanką.

LF: – Widzowie nie wiedzą, ile z tego, co mówi, jest prawdą, wyznaniem, a ile fikcją, zmyśleniem. To wzmacnia poczucie niepokoju i przymus odizolowania się od tej bohaterki. Dlatego publiczność siedzi dookoła wyspy, a od sceny oddziela ją przezroczysta kotara. Wiwisekcji tej rodziny nie dokonujemy bezpośrednio. Raczej zaglądamy przez lufcik, podglądając ten dom i jego architekturę, rozkład emocji między postaciami.

Bohaterka nagminnie używa różnych mechanizmów obronnych.

SS: – Zostały wykształcone w dzieciństwie i wtedy pozwalały jej przetrwać, a później, mimo że przestały spełniać swoją funkcję, zostały przy dorosłej osobie, będąc elementem jej osobowości. Jeżeli jako dziecko cały czas dostajemy komunikat, że nasze emocje nie są ważne, bo ważniejszy w danym momencie jest

eprasa.pl 779b625a3f

stan rodzica, wykształca się mechanizm, że istotni są wszyscy dookoła, a moje emocje się nie liczą. Innym mechanizmem przetrwania jest czarowanie rzeczywistości. W rodzinach alkoholowych ten temat jest jak słoń na środku salonu – wszyscy wiedzą, że on tam stoi, ale nikt o nim nie rozmawia, bo pojawia się wstyd. Kiedy patrzymy na postać Violi jako dorosłej osoby, która wyrosła w takiej atmosferze i została przyzwyczajona do tego, że zakłamywanie rzeczywistości jest formą przetrwania, widzimy, że ona nie ma narzędzi, aby funkcjonować w sposób prawdziwy dla zewnętrznego świata, bo nie jest w stanie tego mechanizmu wykorzenić czy nawet zauważyć.

WODA W USTA

Co ten spektakl mówi o was?

LF: – Podejrzewałam u siebie DDA, ale wcześniej nie miałam odwagi przepracować tego tematu. Przez spektakl zostałam pośrednio do tego zmuszona. Ale myślę, że wybrałam intuicyjnie ten tekst, nie wiedząc do końca, że właśnie to z niego wystaje, bo gdy czytałam go pierwszy raz, nie zauważyłam w nim problemu alkoholowego. „Wyciągnęłam trupa z szafy", co było dla mnie kosztowne emocjonalnie. Weszłam do dziecięcego pokoju i zaczęłam przeglądać kuferki z różnymi wspomnieniami, także bolesnymi. Otwarcie tej puszki było dla mnie oczyszczające i uwalniające. Dziś wiem, że jest to coś, co definiuje i będzie definiować to, jaką jestem osobą, i całą dynamikę moich relacji. Ważne, żeby tego nie bagatelizować, raczej spojrzeć ze współczuciem dla siebie i „oprawców", a potem iść dalej przed siebie.

SS: – Opisywane w tekście doświadczenia nie należą do mnie. To pozbierane przez lata historie znajomych, które ułożyły się we wspólny obrazek. Kiedy dotarło do mnie, jak bardzo wspólnotowe jest to doświadczenie, a do tego skrupulatnie ukrywane, zależało mi na tym, żeby ten tekst był czymś w rodzaju powiedzenia: widzę was. Bo ja o swoich bohaterach myślę z miłością i czułością, w spektrum zrozumienia i przytulenia tych doświadczeń, które są w wielu życiach.

W Polsce za sprawą książek „Mireczek. Patoopowieść o moim ojcu" Aleksandry Zbroi, „Dom w butelce" Magdaleny Kicińskiej i Agnieszki Jucewicz czy filmu „Powrót do tamtych dni" Konrada Aksinowicza o DDA zaczęło się mówić. Czujecie, że „Woda w usta" kontynuuje przełamywanie tabu na temat życia w alkoholowej rodzinie?

LF: – Świetnie, że właśnie teatr się tym zajął, ponieważ ma on moc wspólnotowego przerabiania problemów i terapeutyzowania. To realne zjednoczenie ludzi tu i teraz, w jednej przestrzeni, z jednym tematem, to właśnie rodzaj zbiorowej terapii.

To realne zjednoczenie ludzi tu i teraz, w jednej przestrzeni, z jednym tematem, to właśnie rodzaj zbiorowej terapii.

SS: – Myślę, że przed nami otworzyły się drzwi, i to nie tylko w kontekście DDA. Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które przechodzi terapię, aktywnie próbując przepracować to, co wydarzyło się przez kilka poprzednich dekad w życiu naszym i naszych bliskich. Należy pamiętać, że część traum, które funkcjonują w rodzinach, wynika również z uwikłania w system polityczno-społeczny kraju. To wszystko są naczynia połączone. Droga terapeutyzacji jest jednym z elementów, które mogą wywołać pozytywną zmianę w rozumieniu siebie samych i siebie nawzajem.

Dominika Tworek

FOT. JOANNA ŚWIDER, TOMASZ TYNDYK, NATALIA KABANOW (2)

eprasa.pl 779b625a3f

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

Praca hybrydy

Słowo hybryda kojarzy się nam z samochodami o dwóch różnych źródłach napędu albo z popularnym zabiegiem kosmetycznym. Chciałabym na chwilę przesunąć je na pole literackie, żeby precyzyjniej opowiedzieć o trzech ważnych książkach, które łączy właśnie taka formalna rozprężka.

Zacznę od „Autobiografii czerwonego" Anne Carson, nie tylko dlatego, że to prawdziwa literacka rozpusta i bojowe spiętrzenie przenikających się form. Ale także ponieważ jest to wydawnicza świeżynka, w dodatku ekscytująca. Carson jest jedną z najwybitniejszych żyjących autorek (jej słynny esej „Słodko-gorzki Eros" też niedawno przetłumaczono na język polski). Nigdy nie szła na literackie kompromisy, nie ułatwiała lektury czytelnikom. Jej teksty – dzięki technice kolażu, erudycji i licznym przekroczeniom w stronę dziwności, monstrualności, queeru – dalekie są od tego, co nazwalibyśmy mieszczańską powieścią realistyczną. „Autobiografię czerwonego" moglibyśmy nazwać „powieścią wierszem", ale byłby to raczej wyraz naszej bezradności niż precyzyjna nomenklatura. Spróbujemy sobie poradzić inaczej: ten przekład (autorka zaczyna książkę od tłumaczenia tekstu) połączony z poematem i esejem ma luźną strukturę fabularną, która pozwala na śledzenie „akcji". Akcja jest, rzecz jasna, pretekstowa, co nie oznacza, że nie można się w nią zaangażować, przejąć się losem bohaterów czy po prostu wzruszyć. Jednocześnie sama praca języka dostarcza nam silnych wzruszeń, bo jest to po prostu świetnie napisana – rozsadzana co chwilę przez spektakularne wiązki słów, metafory, porównania czy inne sprytne zabiegi – opowieść. Jeśli ten opis eksperymentu jest lekko przytłaczający, wspomnę choćby o poczuciu humoru, bywa, że sprośnym, a na pewno ostrym i dwuznacznym. Dodajmy do tego fakt, że książkę przetłumaczył Maciej Topolski, autorką wyczerpującego, błyskotliwego posłowia jest zaś poetka Julia Fiedorczuk – i możemy mieć pewność: jesteśmy posiadaczami kluczyków do tej hybrydowej fury (o wielu różnych źródłach napędu). Teraz trzeba ją tylko odpalić.

Drugą nowością, o której opowiem, jest (znów) „powieść wierszem" (?) czy może powieść w wierszach (?) Wita Szostaka – „Szczelinami" (warto dodać, że wydawca nie używa na okładce słowa wiersze, tylko „formy niepowieściowe, krótkie i pełne przemilczeń"). Szostaka poznaliśmy już jako filozofa i świetnego stylistę, który potrafi identyfikować i przedrzeźniać różne rejestry języka – bynajmniej nie dla literackich sztuczek, zawsze jest to zamach na szerszą skalę, bardziej, powiedzmy, uniwersalny, prowadzony w jakimś celu. Swoją najnowszą książkę zaplanował jako autobiografię (sic!) czy rodzaj dziennika kobiety, poetki. Dokonał więc dwóch wyobrażonych utożsamień, które dla mężczyzny posługującego się na co dzień regularną prozą nie mogły być ani łatwe, ani oczywiste i od początku stanowiły rodzaj ryzyka. Rozpisana w ten hybrydalny sposób opowieść jest bowiem zrzutką tekstów, które czytelnik/czytelniczka muszą złożyć sobie sami. To przesunięcie pracy (i odpowiedzialności) na czytelnika jest zaproszeniem do wspólnoty tworzenia komunikatu i interpretacji na inną skalę. Dlatego ryzyko utraty czytelnika jest większe niż przy bardziej konwencjonalnych powieściach. I teraz moglibyśmy się zastanawiać, czy krótkie podziałki tekstu, z których Szostak buduje książkę, to rzeczywiście wiersze, czy raczej teksty udające wiersze, czy na wiersze stylizowane. Jednak te teksty opowiadają historię, wypadają też z awangardowych albo społecznie zaangażowanych (czytaj najbardziej witalnych i wpływowych) idiomów nowej polskiej poezji. Z drugiej strony teksty te posługują się narzędziami poetyckimi i występują/wyrażają się w formie wierszy (są podobnie zbudowane, technicznie rzecz biorąc). Jest to przyjemne poznawcze zaciemnienie, które otwiera nas na kolejne refleksje nad naturą gatunków i wyzwaniami, jakie stawiają przed nami hybrydy. Chwała za to tym książkom, chwała autorom/autorkom za narażanie się na niespójność kategorialną, która jest tak interesująca.

Trzecią książką, o której chcę w tym kontekście wspomnieć, jest wspaniały klasyk; kilka lat temu przypomniał o nim „Blade Runner 2049" z Ryanem Goslingiem (książka pojawia się w jednej ze scen filmu). Chodzi o „Blady ogień" Vladimira Nabokova. To poemat w formie dystychów: 999 wersów podzielonych na cztery pieśni. Natomiast samą „powieść" tworzą dopiero przypisy do niego (tzw. komentarz), które są niewspółmiernie obszerniejsze niż ów inicjujący poemat. Weźmy pierwsze dwa wersy: „Byłem jak gdyby cieniem jemiołuszki / Zabitej przez fałszywy lazur szyby". I początek komentarza ze strony 99: „W tych początkowych wersach najwidoczniej zawarty jest obraz ptaka, w pełnym locie rozbijającego się o zewnętrzną powierzchnię szyby. (…) Możemy sobie wyobrazić, jak we wczesnych latach chłopięcych John Shade, chłopak nieatrakcyjny fizycznie, lecz poza tym pięknie rozwinięty, doznaje pierwszego w swym życiu szoku eschatologicznego, gdy niedowierzającymi palcami podnosi z trawnika to zwięzłe jajowate ciałko".

Tym, którzy nie mieli jeszcze okazji przeczytać tej książki, chcę ją pilnie polecić. Lektura wymaga skupienia, ale oddaje się nam jeszcze długo po spektakularnej autoprezentacji.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

Elita, emeryci i eremici

Dom Literatów przy Krupniczej stanowił zbiór wyjątkowych osobowości i niezwykłych losów

Jan Polewka

ELITARNIE FRONTOWĄ w pierwszych latach po wojnie wydawać się mogła główna część budynku z oknami od ulicy Krupniczej, którą zajęli pisarze o znanych już nazwiskach: Andrzejewski, Kruczkowski, Szaniawski, Peiper, oraz nestorzy: Górski, Nikorowicz i Rybicki. Jednak z uwagi na rozpaczliwy brak mieszkań i dosyć duże powierzchnie lokali, nikt z nich nie zajmował całej przestrzeni; dzielili ją z innymi, często samotnymi lokatorami. Dopiero znacznie później frontowe mieszkania pozostawiano pisarzom z ich rodzinami niemal w całości, jednak w wielu z nich przynajmniej jeden pokój nadal zajmował literacki sublokator, tak jak Rybicki, mieszkający z rodzinami Tadeusza i Jerzego Kwiatkowskich, czy Mróz-Długoszewski z rodziną Anny Świrszczyńskiej. W tej części najbardziej podzielone było mieszkanie numer 3 na pierwszym piętrze, które na początku lat 50. zajmowało czworo najemców, w tym troje z rodzinami.

W oficynach sytuacja była jeszcze trudniejsza – nawet dwupokojowe lokale rozdzielano na pojedynczych pisarzy; w większych mieszkaniach ze wspólnych łazienek i kuchni na zmianę korzystali współmieszkańcy, powodując w nich zgoła nieelitarny tłok. Wszyscy jednak po dramatycznych przeżyciach wojennych godzili się na ten stan – dopiero w latach 60. poprzez remonty i podziały architektoniczne zaczęto wprowadzać pewne separacje. Dzisiaj, z perspektywy lat, trudno jest dociekać, czy początkowe zagęszczenia miały wpływ na lokatorów. Można jedynie wyobrażać sobie Gałczyńskiego piszącego „Zaczarowaną dorożkę" przy wtórze fortepianu Broszkiewicza piszącego opowieść o Chopinie. I można być niemal pewnym, że pierwszy zamysł „Kartoteki" Różewicza, z bohaterem drzemiącym na łóżku w pokoju, przez który przechodzą, czasem przysiadając obok, krewni, znajomi i nieznajomi, powstać musiał na Krupniczej.

Budynek przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie w 1945 r. stał się azylem dla pisarzy, poetów i dramaturgów, a później przez ponad 50 lat jako Dom Literatów gromadził pod swoim dachem niezwykłe literackie środowisko.

EKSCENTRYKAMI albo oryginałami byli niektórzy z pisarzy o szczególnych cechach charakterów: Artur Maria Swinarski, dramaturg i satyryk, obdarzony nadpobudliwą zdolnością do ironii i kpiny; Konstanty Ildefons Gałczyński, poeta dominujący i chwilami szalony; Jerzy Hordyński, głośno objawiający swoje krytyczne spojrzenie na świat; dobrotliwy i cierpliwie milczący Jerzy Szaniawski czy tajemniczy ezoteryk Andrzej Rybicki, myślący szybko, ale poruszający się i mówiący dwa razy wolniej od innych.

Do grona późniejszych oryginałów należałoby zaliczyć Sławomira Mrożka jako „schyłkowego postępowca" i Stanisława Czycza, osobnego i zawsze nieufnego outsidera, czy najmłodszego z poetów lat 60., lirycznego awanturnika Ireneusza Iredyńskiego. Jako postaci nie ekscentryczne, ale szczególnie oryginalne można wymienić Stefana Kisielewskiego i Stanisława Dygata czy Jerzego Zawieyskiego, którzy zaznaczali swoją wewnętrzną niezależność nawet w trudnych latach 50. W porównaniu z tymi oryginałami wszyscy inni, także kolejni młodsi pisarze i poeci, wydawać

FOT. LUXETOWIEC/WIKIPEDIA

eprasa.pl 779b625a3f

się mogą uosobieniem normalności, o ile oczywiście coś takiego występuje w osobowościach artystów, nigdy do końca życiowo nieuporządkowanych.

Po innej jeszcze stronie znajdowali się, przeważnie starsi, mieszkańcy Domu Literatów, którzy od chwili przybycia, a szczególnie w kolejnych etapach historii, pozostawali na swego rodzaju cichej, wewnętrznej emigracji – Artur Górski, Tadeusz Peiper, Helena Wielowieyska, Antonina Brzozowska, a także młodsza od nich Hanna Malewska.

EMIGRACJA prawdziwa była dla niektórych dopiero przyszłością – po latach Artur Maria Swinarski zmarł w Szwajcarii, Jan Zych w Meksyku, Kazimierz Brandys w Nanterre, Jerzy Hordyński w Rzymie, Sławomir Mrożek w Nicei, Maria Paczowska w Luksemburgu, a Ludwik Flaszen w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Roman Wysogląd mieszka do dziś w Szwecji. Jednak literaci z Krupniczej dzielili się czasem wrażeniem ciągłej tymczasowości w swoich na poły hotelowych mieszkaniach. I nawet jeżeli tymczasowy stan trwał niemal 40 lat, to Stanisław Czycz „u siebie" był jedynie w Krzeszowicach, tak jak Jerzy Szaniawski w Zegrzynku, a Jerzy Andrzejewski, Stanisław Dygat czy Stefan Kisielewski w Warszawie.

Jako swój dom rodzinny przyjęło Dom Literatów zaledwie siedem rodzin: Barnasiów, Boberów, Lovellów, Ożogów, Polewków, Skonecznych i Anny Świrszczyńskiej, i w każdym z tych przypadków literaccy główni najemcy dożyli na Krupniczej kresu swych dni. Podobnie jak dożywotni prezes i opiekun domu Stefan Otwinowski, który wraz z żoną Ewą pozostał pierwszym i najważniejszym rezydentem Krupniczej, a także legendarnym prezesem krakowskiego ZLP. Taki zapis oznacza jedynie próbę uporządkowania kilku rodzajów „trwania mieszkańców" – w istocie Dom Literatów stanowił zbiór wyjątkowych osobowości i niezwykłych w swym charakterze losów, zbiór w swojej złożoności niemożliwy do sklasyfikowania.

EGERIA I ERMITAŻ to nazwy dwóch przybytków, które po wojnie były codziennym miejscem spotkań literatów, uzupełniających „stołówkowe posiady". Egeria była kawiarnią w ogrodzie domu Mehofferów, do którego prowadziło małe przejście w ogrodzeniu z podwórka Domu Literatów, obok krętych schodów. Ermitaż to pobliska restauracja, która znajdowała się vis-à-vis teatru Bagatela (wówczas Młodego Widza) na Karmelickiej. W Egerii, prowadzonej przez mecenasa Zbigniewa Mehoffera i jego żonę, w letnie wieczory przez dwa lata trwały długie i głośne dyskusje i zabawy. Do Ermitażu, przedwojennego jeszcze lokalu, literaci udawali się w chwilowych na ogół momentach lepszej kondycji, słowem niezwłocznie po otrzymaniu zaliczki z wydawnictwa.

Starsi mieszkańcy Domu Literatów pozostawali na swego rodzaju cichej, wewnętrznej emigracji.

Jak pisze Tadeusz Kwiatkowski: „Obok naszego budynku przy Krupniczej wznosi się piętrowa kamieniczka wybitnego malarza Józefa Mehoffera. Syn malarza Zbigniew wpadł na pomysł, aby urządzić letnią kawiarnię, którą nazwał Egeria. Dość długo trwały pertraktacje o przebicie bramki w ogrodzeniu i o przejście do kawiarni przez naszą bramę. Po podpisaniu obopólnych zobowiązań doszło do uroczystego otwarcia Egerii. Miała to być kawiarnia dla środowiska artystycznego, gdzie przy stolikach rozmieszczonych pod drzewami można było w letnie wieczory pogawędzić, napić się czegoś mocniejszego i nawet potańczyć na parkiecie…" („Niedyskretny urok pamięci").

Fragmenty książki Jana Polewki *Dom pod wiecznym piórem. Leksykon legendarnego Domu Literatów w Krakowie,* Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2022

WYDAWNICTWO ISKRY

Antoni Kroh
To jest zjawisko, i na to nie ma rady
Warszawa 2022

Wspomnienia autora dotyczą przede wszystkim przyjaźni z artystką Barbarą Magierową. Antoni Kroh z sentymentem, ale i z właściwym sobie humorem opowiada o wspólnej pracy nad tworzeniem wystaw i książek w niełatwych realiach Polski Ludowej, m.in. o zbieraniu materiałów do „Prywatnego leksykonu współczesnej polszczyzny".

Mamert Stankiewicz
Z floty carskiej do polskiej
Warszawa 2022

Zapis niemal 20 lat życia kapitana Mamerta Stankiewicza, a także niezwykły dokument obrazujący codzienność ludzi morza. Pochodzący z polskiej szlachty kresowej Stankiewicz kształcił się w szkołach morskich carskiej Rosji, w czasie I wojny światowej walczył we Flocie Bałtyckiej, a później w armii Kołczaka na Syberii. Po powrocie do ojczyzny tworzył polską flotę handlową. Odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari.

Marek Hłasko
Palcie ryż każdego dnia
Warszawa 2022

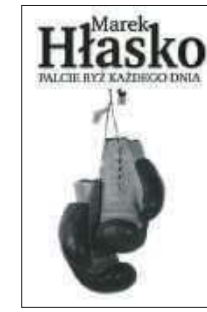

Obraz Kalifornii daleki od zachwytu: krainy bezdusznej, bezlitosnej dla tych, którym los nie sprzyja, nieoferującej żadnej szansy na sukces. Rozgoryczony amerykańską porażką Hłasko nie odnalazł po drugiej stronie Atlantyku ziemi obiecanej, lecz kolejną wielką samotność.

eprasa.pl 779b625a3f

FESTIWAL

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Flip Philipp and Bertl Mayer Quartet – Vocation

Wiedeńczyk Bertl Mayer to jeden z niewielu muzyków jazzowych, którzy osiągnęli perfekcję w grze na harmonijce chromatycznej. Flip Philipp, znakomity wibrafonista, jest również uznanym kompozytorem i aranżerem. Mayer gra m.in. z Vienna Art Orchestra i z międzynarodowymi gwiazdami jazzu. Philipp jest członkiem m.in. Wiener Symphoniker i grał z renomowanymi orkiestrami pod batutą takich dyrygentów jak Claudio Abbado, a także z legendami jazzu. Interpretują jazzową klasykę, którą szczególnie sobie upodobali. Program kwartetu obejmuje aranżacje utworów z repertuaru chociażby Wesa Montgomery'ego, George'a Shearinga czy Johna Lewisa. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarówce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 13 SIERPNIA, GODZ. 19

MIĘDZY OKŁADKAMI

Małgorzata Żarów

Zaklinanie węży w gorące wieczory

Czarne, Wołowiec 2022

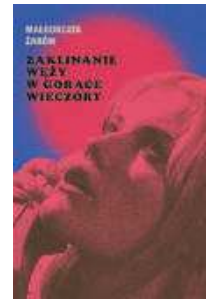

Debiutancka powieść Małgorzaty Żarów to jazda bez trzymanki, nago i po kwasie. Otrzymujemy książkę odważną, surrealistyczną, prześmiewczą, przełamującą tabu i balansującą na granicy dobrego smaku. Bohaterka, którą znamy jako cam girl Violet Love, wędruje po Warszawie w podartej sukni ślubnej, z butelką wina i tajemniczym przedmiotem ukrytym w gorsecie. Spotyka ludzi dziwnych i banalnych, ogląda upadki i wzloty rodzaju ludzkiego, czeka na koniec świata. W powieści mieszają się ironia, kicz, groza i pornografia. Autorka buduje wielopiętrowe metafory i zdania ciężkie jak upalne powietrze. Świetnie bawi się językiem, miesza konwencje, choć momentami czytelnik może się poczuć odurzony tym nadmiarem. Mimo wszystko barokowy i brokatowy debiut Małgorzaty Żarów to jedno z wydarzeń literackich tego lata. *Rafał Pikuła*

ZASŁUCHAJ SIĘ

Karol Rathaus Ensemble

Karol Rathaus. Chamber Works

DUX

Polski kompozytor, którego zagranica odcięła od kraju, dopiero dziś jest odkrywany. Twórczość ambitna, być może porównywalna z osiągnięciami Karola Szymanowskiego, staje się znana dzięki pionierskim nagraniom. Na płycie znajdziemy serenadę na instrumenty dęte z fortepianem, a także anglojęzyczne pieśni, inspirowane m.in. Williamem Szekspirem i Emily Dickinson, w tym bardzo aktualną „Frustrację" do słów Dorothy Parker, o tym jak pistolet kusi, by zabijać tych, których nie lubimy. Wreszcie „Dedykację" w hołdzie Chopinowi.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Zbrodnie przyszłości

reż. David Cronenberg, prod. Kanada/Grecja/Francja/Wielka Brytania, już w kinach

W niedalekiej przyszłości ewolucja wymyka się spod kontroli. Nasze ciała zaczynają wytwarzać dodatkowe, nieznane nauce organy. Eksperymenty z wnętrznościami stają się „nową sztuką", „nowym aktem seksualnym", początkiem ery „nowego człowieka". Taka wizja świata nie zdziwi nikogo, kto miał okazję zetknąć się z kinem Davida Cronenberga. Kluczowym motywem powracającym w filmach Kanadyjczyka są przyprawiające o mdłości mutacje. I nie jest to tylko

efektowny chwyt, ale też wyraz głębszej filozofii. W „Zbrodniach przyszłości" reżyser, w ulubionej stylistyce body horroru, przypomina, że podstawą naszego istnienia jest ciało. Jest również konkretna przestroga: jeśli będziemy je stale poprawiać, usprawniać i przekształcać w coś innego, niewiele z człowieka zostanie. W czasach gdy chirurgia plastyczna jest na wyciągnięcie ręki, a ludzie są prawie zrośnięci ze swoimi urządzeniami, to już całkiem realna groźba.

Mateusz Demski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MONOLITH FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 779b625a3f

Farmazoni i masoni znad Wisły

„Nie pleć farmazonów", mówimy nieraz, nie zdając sobie sprawy, że słowo farmazon powstało w naszym języku dopiero w XVIII w., kiedy pojawiły się i zakorzeniły w Rzeczypospolitej pierwsze loże masońskie.

Farmazon był spolszczeniem angielskiego *free mason* – wolnego mularza, ale nie o pozytywnym wydźwięku. Oznaczał figurę obcą, tajemniczą, nieraz pocieszną – nie był w potocznym rozumieniu swojakiem, szlachcicem, Sarmatą. Pierwsi nasi masoni w mig wyczuli ten kontekst i jedną z ówczesnych lóż nazwali Cnotliwy Sarmata. Nie miejsce tutaj, by przypominać najbardziej patriotyczne i postępowe „współdzieła" masońskie, takie jak Konstytucja 3 maja, „Mazurek Dąbrowskiego" czy Wolnomularstwo Narodowe Waleriana Łukasińskiego. Rzeczywiste czyny polskich wolnomularzy to jedno, a czarna legenda – drugie.

Tak jest i w naszych czasach – artykuły i książki najbardziej znanego polskiego masona, prezesa Stowarzyszenia Instytut Sztuka Królewska w Polsce, prof. Tadeusza Cegielskiego, sobie, a wytwory największego polskiego masonożercy, dr. Stanisława Krajskiego, sobie. Środek jest ciągle mikry.

Z tym większą nadzieją i zainteresowaniem sięgnęłam po książkę dwojga autorów, Anny Kargol i Dominique'a Lesage'a, „Liberté, Egalité, Fraternité nad Wisłą 1990-2020. 30 lat wolnomularstwa liberalnego w Polsce". Znana historyczka rodem z Krakowa i polsko-francuski wolnomularz napisali w słowie wstępnym: „Historia, którą opisujemy w tej książce, ma głęboko humanistyczny wymiar, traktuje bowiem o sukcesach, porażkach i niedoskonałościach ludzkich, przyjaźniach, konfliktach, nadziejach, rozczarowaniach, aliansach, złości i radości, jakie nieodłącznie towarzyszyły tym wszystkim, którzy byli aktorami tej historii".

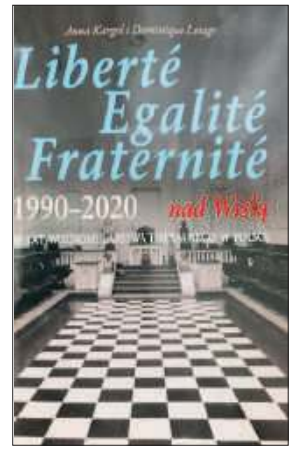

Anna Kargol i Dominique Lesage, *Liberté, Egalité, Fraternité nad Wisłą 1990-2020. 30 lat wolnomularstwa liberalnego w Polsce*, Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2022

Wyjątkowa na naszym rynku wydawniczym książka, w dwóch wersjach językowych – polskiej i francuskiej – mająca ponad 450 stron, ukazała się kilka miesięcy temu i wywołała gorące dyskusje. Z listem otwartym wystąpił były Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Polski brat Tomasz Szmagier, zarzucając autorom pomniejszanie dorobku kulturowego liberalnego odłamu polskiej masonerii. Pochylił się także nad publikacją wspomniany brat prof. Tadeusz Cegielski w świeżo opublikowanych wspomnieniach „Wolny mularz. Autoportret" (Warszawa 2022). On z kolei (pomijam tu kwestie szczegółowe, dla których brak miejsca) zajął się korzeniami polskiego wolnomularstwa, zarzucając autorom zamazywanie i pomniejszanie – wbrew historycznym faktom – angielskiego wkładu w jego powstanie. Jednak dla mnie, współtworzącej polską masonerię w jej wersji kobiecej od prawie 30 lat, niepodważalne jest jedno: ta książka w proch i pył rozbija wizerunek głupawego farmazona, stawiając w jego miejsce wyrazistych ludzi, pełnych wiary w głoszone hasła Wolności, Równości i Braterstwa, lecz wprowadzających je w życie iście po polsku, często wbrew „światłym radom" naszych braci z Francji i Anglii pospołu. Ciekawa w sumie lektura.

Bożena M. Dołęgowska-Wysocka

Książkę można nabyć, pisząc na adres: w_gniadek@poczta.onet.pl. Koszt: 70 zł plus 25 zł wysyłka (wersja polska); 114 zł plus 25 zł (11 euro) – wersja francuska.

LIST

Kto ukradł dzieciom kolonie

Wciąż wspominam szczęśliwe wakacje. W wieku siedmiu lat pojechałam na obóz zuchowy. Luksusów nie było. Strach, bo w lesie, ale wspaniałe ogniska, podchody z harcerzami. Później kolonie zakładowe. Doświadczeni pedagodzy. Świetnie zorganizowany wypoczynek. Małe wypady po okolicy, konkursy. Nikt z nas nie miał dużo kasy. Mądrzy wychowawcy czuwali nad jej wydawaniem. Zwiedziłam Skomielną Białą, Stary Sącz. Wypady nad rzekę, gdzie bardzo uważnie nas pilnowano, by było bezpiecznie. Radością były nagrody: batoniki czy dyplomy i książki, które mam do tej pory. Później jako osoba dorosła wyjeżdżałam na wczasy z FWP. Pokoje czteroosobowe. Kaowiec z pomysłami, dużo wycieczek. Zapamiętałam pana Tadeusza Zabawę (może pomyliłam nazwisko) – świetnego, odpowiedzialnego przewodnika sudeckiego, czy zamordowanego w 1993 r. pana Tadeusza Stecia z Jeleniej Góry. Te wyjazdy były na naszą kieszeń, na każdą kieszeń. Późniejsze prywatne wyjazdy to zupełnie co innego. Moja ośmioletnia córka była na turnusie zdrowotnym. Później pojechała do Egeru. I tu pech. Turnus wykupił szpital. Dzieci lekarzy dały córce lekcję pokory, poniżenia. Opiekunowie córkę ignorowali. Horror. Dopiero po jakimś czasie moja mama zafundowała jej (drogie) kolonie nad morzem. Teraz obserwuję dzieci, które korzystają z półkolonii organizowanych w mieście. Większość rodziców siedzi w domu, bo nie stać ich na choćby krótki wyjazd poza miasto. Taka jest rzeczywistość.

MS

eprasa.pl 779b625a3f

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Chleb z pazurem

Prozdrowotny wpływ chleba i bułek jest ogromny

DR KRZYSZTOF DZIEDZIC
– specjalista ds. żywności i żywienia, biotechnolog z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Pracownik Kliniki Gastroenterologii Dziecięcej i Chorób Metabolicznych Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu.

Psia sierść, zwierzęce pazury, a nawet ludzkie włosy – wszystko to można znaleźć w chlebie.

– Ale nie tylko. Bywa, że są to np. kacze pióra, świńska szczecina czy krowie rogi, o czym donoszą media. Głównie jednak te zagraniczne. W każdym z tych przypadków chodzi o jeden ich składnik – L-cysteinę. Inaczej E920. Otrzymuje się ją przez ostrą hydrolizę, czyli rozpuszczenie w kwasie, czy to sierści, czy np. włosów, następnie oczyszczenie tak powstałej substancji, a na koniec jej sproszkowanie.

Po co w ogóle L-cysteinę dodaje się do chleba i bułek?

– E920 ma duże znaczenie technologiczne i bardzo zmienia wygląd pieczywa. Sprawia, że skórka wydaje się nam bardziej chrupka, a środek bardziej elastyczny i miękki. Lub, jak mówią inni, bardziej nadmuchany, napompowany. Wszystko dlatego, że L-cysteina wpływa na powstawanie i utrzymywanie się pęcherzyków dwutlenku węgla podczas fermentacji.

Jej zastosowanie w ogóle jest dopuszczalne prawnie?!

– Absolutnie nie. W Polsce, podobnie jak w innych krajach UE – a także w państwach wysoko rozwiniętych, takich jak USA, Kanada czy Australia – użycie L-cysteiny jest zabronione. Zamiast tego stosowane są w większości przypadków aminokwasy pochodzące z mleka. Co nie oznacza, że po E920 nie sięgają inne kraje, np. azjatyckie.

„W Chinach, skąd mrożone ciasto trafia również do Polski, taki zakaz nie obowiązuje i do wytwarzania L-cysteiny nagminnie stosuje się ludzkie włosy", swego czasu zwrócił uwagę poseł PiS i pośpieszył z interpelacją do resortu rolnictwa.

– Zastrzegł zarazem, że „polskie prawo wymaga jedynie oznaczenia, że wypiek powstał z ciasta głęboko mrożonego. Nie ma obowiązku informowania, jakie składniki zawiera". Ale trzeba pamiętać, że mamy też coś takiego jak dobra praktyka produkcyjna i czysta etykieta. Ta pierwsza to nic innego jak zbiór reguł, które określają sposób zapewnienia wysokich standardów na poszczególnych etapach produkcji. Druga – pełna informacja od producenta, że produkt jest naturalny i nie zawiera sztucznych dodatków.

To raz. Dwa – producent podaje szczegółowe dane, skąd pochodzą surowce i w jakiej ilości zostały użyte…

– …jeśli stanowią nie mniej niż 2% całości składu receptury. Ba, producent nierzadko podaje wtedy nawet to, po jaką odmianę pszenicy sięgnął, np. zwyczajną czy durum. Dlatego raczej możemy czuć się bezpiecznie, że w takich wypiekach L-cysteiny z ludzkich włosów nie będzie. Podobnie jak żadnych innych składników wyprodukowanych z surowców, które nie nadają się do spożywania.

To jednak nadal nie będzie oznaczało, że w chlebie nie znajdą się substancje, których nie powinno tam być.

– Tak, bo producenci mogą dodawać do niego polepszacze, w tym np. kwasy. Jednym z najpopularniejszych jest kwas askorbinowy. Nie jest niebezpieczny, ale jeśli już wymagamy od firmy produktu nisko przetworzonego, to do mąki nie powinien być dodawany. Obok kwasów mogą to być estry kwasów, których zadaniem także będzie zwiększenie objętości pieczywa. Oraz sole kwasów, w tym askorbinian wapnia, octan sodu, octan potasu, które z kolei mają skrócić czas pieczenia albo pozwalać na wypiek w niższej temperaturze. A to oznacza, że firma

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 779b625a3f

w tym samym czasie może wypiec więcej pieczywa.

Tyle polepszacze, a co jeszcze niepożądanego może się znaleźć w chlebie?

– Dekstroza. Przeciętny konsument od razu zapyta: ale co to?! Odpowiem krótko: cukier prosty otrzymywany ze skrobi – niestety o bardzo wysokim indeksie glikemicznym. Powoduje pobudzenie pracy trzustki, sprzyja cukrzycy, nadwadze, otyłości i chorobom dietozależnym. Równie szkodliwy jak syrop glukozowo-fruktozowy. I podobnie jak on o połowę tańszy od innych słodkich zamienników. Głównym zadaniem dekstrozy jest przyśpieszenie procesu fermentacji. Ta, która nie zostanie w tym celu wykorzystana, sprawi, że pieczywo wyda się nam bardziej delikatne.

Lista dodatków do pieczywa na tym się nie kończy.

– Mogą to być także barwniki, w tym karmel. Siarczynowy, amoniakalny – ich rodzajów jest wiele. Dlaczego jest niepożądany? Przy jego produkcji powstają substancje, które w większych ilościach mogą działać toksycznie – przyśpieszać starzenie się organizmu. Producenci jednak go cenią, bo nadaje pieczywu miodową barwę. Poza tym, jeśli ugryziemy takie pieczywo, mamy wrażenie, że jest ono delikatne i – uwaga – łatwo strawne. Nic bardziej mylnego! Ba, widziałem receptury pieczywa, które na 100 gr miało ok. 40 gr cukrów prostych.

To przecież jakieś osiem solidnych łyżeczek cukru!

– W tym przypadku pochodziły one z karmelu, dekstrozy czy innych dodatków, w tym zhydrolizowanej skrobi.

To może lepiej kupować pieczywo już tylko z firmowych piekarni?

– One również mogą stosować dodatkowe składniki. Bywa przecież, że jakość zakupionego surowca jest nieodpowiednia i producent, by ratować daną jego partię, musi zmodyfikować skład pieczywa.

W ten sposób powstaje chleb, który przypomina gąbkę do mycia szyb, jak mówi Katarzyna Bosacka.

– Zgoda. Ale musimy też patrzeć realnie, a prognozy nie są optymistyczne. Niewykluczone, że niebawem producenci zmuszeni będą w ogóle sięgać po pszenicę pastewną, w związku z przedłużającą się wojną w Ukrainie. A to będzie już wymuszało zastosowanie dodatkowych substancji. Choć receptura na zdrowy chleb nie zmieniła się od lat. Nadal jest równie prosta, a lista składników krótka. Znajdują się na niej: mąka, woda, drożdże i sól. Nic więcej.

A gdyby to przełożyć na składniki odżywcze?

– Pieczywo jest głównie źródłem energii, a także białka – zwłaszcza dla osób, które unikają jedzenia mięsa. Pod warunkiem że będzie to pieczywo pełnoziarniste. Jeśli dodatkowo będzie na zakwasie, to korzystnie wpłynie na funkcjonowanie jelita grubego, co poprawi naszą odporność. Z siemieniem lnianym? Dostarczy nam wielonienasyconych kwasów tłuszczowych, które korzystnie wpływają na system immunologiczny. Z ziarnami słonecznika? Fitosterole zablokują w jelicie cienkim miejsca, przez które przedostaje się do organizmu cholesterol. W ten sposób zmniejszymy jego poziom we krwi.

Jakby tego było mało, pieczywo zawiera cenny dla nas błonnik pokarmowy.

– Na który dobowe zapotrzebowanie wynosi 25-30 gr. Mało, ale pełni on niezwykle ważną funkcję. Jest pożywką dla korzystnych bakterii przewodu pokarmowego. Poza tym działa jak szczotka – oczyszcza jelita ze złogów. Dodatkowo wydłuża czas trawienia, co sprawia, że jemy mniej i rzadziej.

A jakich witamin dostarcza pieczywo?

– Głównie tych z grupy B: tiaminy, niacyny, ryboflawiny. Do tego kwasu foliowego – o nim też trzeba wspomnieć. Prozdrowotny wpływ chleba i bułek jest ogromny.

Pytanie tylko, jak odróżnić chleb prawdziwy od przemysłowego.

– Czytać etykiety.

Tyle że nierzadko ich brakuje. Poza tym bywają niezgodne z prawdą.

– Co zresztą wykazała kontrola Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych w 2020 r. Objęła ok. 500 produktów, a nieprawidłowości dotyczyły 33%. Między innymi używane były określenia chleba „wiejski", „domowy", „pradziada", choć do jego produkcji stosowano dodatki i surowce przetworzone.

Przykłady można mnożyć. To chociażby „rogal maślany", który w składzie miał margarynę, „chleb razowy" bez mąki żytniej razowej czy „chleb kukurydziany", podczas gdy mąka kukurydziana wcale nie była jego głównym składnikiem.

– Dlatego podam i inny sposób. Odkrój kromkę pieczywa i włóż ją do plastikowego woreczka. Zamknij szczelnie. Obserwuj, co się dzieje. Jeśli po czterech dniach pojawi się pleśń, w chlebie nie ma konserwantów. Prawdopodobnie nie będzie też polepszaczy.

Receptura na zdrowy chleb jest nadal prosta, a lista składników krótka: mąka, woda, drożdże i sól. Nic więcej.

A inne metody?

– Zgniecenie kromki chleba i czekanie, aż ta wróci do wyjściowego kształtu? To za mało. Polepszacze i tak zrobią swoje. Tym bardziej że wystarczy nawet dodanie do pieczywa niewielkiej ilości skrobi modyfikowanej.

„Błyszczącą skórkę ma tylko prawdziwy chleb", podpowiadają inni eksperci rynkowi.

– To kolejny mit! Wystarczy posmarować pieczywo np. białkiem jajka kurzego przed włożeniem do pieca i też będzie błyszczące. Producenci dobrze wiedzą i o tym. Ale wyznacznikiem dobrego pieczywa może być jego cena. Im wyższa, tym wyrób lepszy, z przebadanych surowców. Przy produkcji których nie stosowano pestycydów, herbicydów ani innych środków ochrony roślin.

Ile w takim razie powinien kosztować dobry chleb?

– 600-gramowy bochenek 6-7 zł. Wtedy możemy mieć większą pewność, że to zdrowy, pełnowartościowy produkt.

■

eprasa.pl 779b625a3f

Godna praca w sektorze rolnym w Norwegii – dobre praktyki

Związek zawodowy rolników w Polsce od 1 maja 2020 r. do 31 sierpnia 2022 r. realizuje projekt „Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny". Jednym z kluczowych zadań w ramach projektu było zorganizowanie wizyty studyjnej w Norwegii. Wizyta odbyła się w dniach 10-13 kwietnia 2022 r. i wzięło w niej udział sześć osób z Polski – przedstawiciele Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa oraz ekspertka merytoryczna projektu. W wyniku wizyty studyjnej i nawiązania współpracy z norweskim związkiem zawodowym Solidaritet Ekte Fagforening powstały następujące rekomendacje wprowadzenia dobrych praktyk w zakresie godnej pracy w rolnictwie w Polsce:

1. Przepisy prawne należy znacząco uprościć i wprowadzić maksymalnie podobne ich rozumienie we wszystkich państwach członkowskich, tak aby ich stosowanie było jasne, spójne i powszechne oraz nie powodowało rozbieżności interpretacyjnych.

2. W pierwszej kolejności wskazuje się konieczność znaczącej poprawy dostępu do informacji dla wszystkich stron: w tym pracowników, pracodawców oraz organów administracyjno-kontrolnych. Związki zawodowe mogą w tym procesie odgrywać kluczową rolę. Rola ta jest podkreślana przez ustawodawcę unijnego w specjalnych dyrektywach.

3. Należy podkreślić, że bariera językowa stanowi w wielu przypadkach istotną przeszkodę dla pracownika migrującego, a także utrudnia współpracę z osobami czy organami mogącymi udzielić szybkiej i sprawnej pomocy.

4. W odniesieniu do polityki informacyjnej związków zawodowych bardzo mocno podkreślana jest konieczność zacieśnienia międzynarodowej współpracy pomiędzy związkami różnych krajów. W celu poprawy przestrzegania przepisów musi istnieć związkowy system informacyjny, niezależny od innych instytucji czy istniejących systemów.

5. W ramach współpracy związkowej wart uwagi jest również pomysł wprowadzenia tzw. czasowych związków zawodowych. Miałoby to polegać na tym, że w przypadku migrujących pracowników z Polski, Rumunii, Łotwy czy Litwy właściwa centrala związkowa w danym kraju informowałaby o tym odpowiedni związek zawodowy w kraju, do którego pracownicy są delegowani.

6. W działalności związkowej należy też realizować projekty służące dotarciu do pracowników migrujących wraz z udzieleniem im niezbędnych informacji co do ich warunków zatrudnienia w poszczególnych państwach Unii Europejskiej.

7. Mając zatem świadomość wielu przeszkód, zarówno prawnych, jak i ekonomicznych, należy działać na rzecz jak najszybszego rozpoczęcia merytorycznych rozmów i dążyć do wprowadzenia w najbliższej przyszłości stosownej regulacji w prawie unijnym. Być może pierwszym krokiem w tym kierunku byłaby możliwość zawierania ponadnarodowych układów zbiorowych pracy, które wprowadziłyby wyższe standardy dotyczące warunków zatrudnienia oraz kwestii wynagrodzenia pracowników objętych układem.

8. Związki zawodowe wielokrotnie wypowiadały się na temat zaostrzenia kar, gdyż skala łamania praw pracowniczych przez niektórych przedsiębiorców była rażąca.

9. Wskazano również konieczność wprowadzenia szerokiej odpowiedzialności solidarnej, nie tylko w sektorze budownictwa, lecz także w innych sektorach gospodarki, przede wszystkim w celu realnego zabezpieczenia praw pracowników, zwłaszcza prawa do terminowego wynagrodzenia.

10. W trakcie rozmów dotyczących eliminowania nadużyć pojawiła się też koncepcja rozpowszechnienia obowiązku posiadania tzw. karty pracownika, w której zawarte byłyby informacje kluczowe i dla samego pracownika, i dla organów kontrolujących na temat pracownika i jego zatrudnienia.

11. Należy również brać pod uwagę sprawy związane z ubezpieczeniem społecznym dla pracowników migrujących. Generalna zasada stanowi, że w stosunku do takich osób, pomimo że wykonują one pracę za granicą, stosuje się przepisy ubezpieczeniowe kraju, w którym są one zatrudnione.

12. W ocenie uczestników projektu zaproponowane rozwiązania są w pełni uzasadnione, gdyż w Unii Europejskiej nie może istnieć żadna dyskryminacja czy nierówne traktowanie w zatrudnieniu, w szczególności z powodu narodowości pracownika.

13. Aparat pomocy powinien być w większym stopniu włączony na wczesnym etapie, gdy wstępne rozmowy są prowadzone przez policję lub inne urzędy, ponieważ mogą one zyskać inną formę zaufania, a tym samym uzyskać dostęp do innych informacji, które dają pełniejszy obraz sytuacji.

14. Niezbędna do wzmocnienia pracy przy identyfikowaniu spraw jest też współpraca między aparatem rządowym, aparatem pomocowym i innymi graczami życia zawodowego, takimi jak środowisko biznesowe i związki zawodowe.

Więcej informacji o projekcie: zzpr-godnapraca.pl.

Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work". Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca"

eprasa.pl 779b625a3f

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Sommer na odchodne

Jak co roku wiadomo, że już nigdy nie będzie takiego lata, ale tym razem jakby bardziej. Wiele się wydarza istotności, także w kulturze, także ostatecznie, choć niekoniecznie tam, gdzie buzują stadne emocje. Nigdy już nie będzie takiego redaktora naczelnego. Piotr Sommer w 74. wiośnie swojego życia uznał, że czas oddać ster „Literatury na Świecie" młodszym. Kiedy legendarny szef kultowego pisma odchodzi, zwykle towarzyszą temu bojaźń i drżenie, zwłaszcza w czasie pisowskiej zarazy, która zawirusowała już choćby inne zacne tytuły, dotowane przez państwo, takie jak „Twórczość" czy „Nowe Książki". Na szczęście pierwszy numer zredagowany bez Sommera nie zwiastuje radykalnych zmian: redaktorem naczelnym został Marcin Szuster, dotąd pełniący obowiązki sekretarza redakcji – też anglista, a tom w połowie wypełniają młodzieńcze (lecz czy inne istnieją? wszak autor zapił się na śmierć niestaro) opowiadania F. Scotta Fitzgeralda. Tańczy się w nich i swawoli na miarę początków Epoki Jazzu, skrzą się od błyskotliwych dialogów, rzecz może być atrakcyjna w lekturze także dla idiotów.

Sommer zaś na otarcie łez po swojej abdykacji wydał nowy tom wierszy. Od jego ostatnich „regularnych" zbiorków minęło kilkanaście lat, w międzyczasie robót literackich nie brakowało, nade wszystko tych przekładowych, albowiem to tłumaczeniom poeta swoje życie poświęcił, spolszczaniu cudzych głosów, zasiewaniu ziarna współczesnej poezji anglojęzycznej na grunt rodzimy. Z tego ziarna rozległy łan się zrodził, nie sposób przecenić wpływu autorów szkoły nowojorskiej na dorobek pierwszych pokoleń poetów III RP; zasług translatorskich i redaktorskich Sommera nie da się wyolbrzymić. Niejako mimochodem, stanowczo za rzadko, autor częstował nas osobistym głosem poetyckim, a jeśli to czynił, dla niepoznaki ukrywał się a to za formą reklamową („Tyle można powiedzieć"), a to za wierszykami dla najmłodszych („Fruwajka") czy wręcz za brulionem podróżnym („Notes otwocki"). „Lata praktyki" to kilkadziesiąt wierszy nowych lub nieznanych, dowodzących, że dykcja czy jak kto woli idiom Sommerowski jest więcej niż ważki, jest wybitny. Podmiot cokolwiek się drażni z metryką, nie daje łatwo obsadzić w roli spowolnionego wędrowca, ku jesieni życia mu nieśpieszno, wszak nazwisko zobowiązuje. Choć i opadłym liściom poświęca uwagę zapewne nie przypadkiem, jak chociażby w akustycznej miniaturze „Nad ranem", gdzie sytuacja liryczna zostaje raczej podsłuchana niźli – jak to najczęściej bywa – wypatrzona („Słyszałem jak przesuwane wiatrem liście / kruszą szron na trawie").

Czasem się wiersze pisze, czasem się je robi z języka, chodzi na podsłuchy, w miejscach publicznych, gdzie rządzi potoczność, albo z dzieckiem, z którego niepoprawności czyni się literackie wyimki. Zamiast starczo utyskiwać na przypadłości wieku późnego, Sommer żwawo z nich – zarazem z siebie – drwi, jak w anegdocie o wyjściu na spacer z pieskiem bez pieska (bo się go zapomniało zabrać). Wspomina co prawda – i zdarza się, że nie może odżałować – rówieśnych koleżków, co go odumarli, kompanów młodzieńczego buntu przeciw władzy, który, bywało, kończył się na dołku – ale krzty kombatanctwa w tym nie ma. Jest bowiem Sommer poetą uważnym, słowa dobiera z pietyzmem i dokładnością, bez pośpiechu, tak by nikogo nie poniżyć, a i siebie samego zanadto nie wywyższyć. O śmierci mówi bezpośrednio w tonacji żałobnej tylko w jednym wierszu, będącym niejako rozwinięciem pierwszych zdań Camusowskiego „Obcego". Jest to utwór tak wstrząsający, że choćby dla niego warto sięgnąć po cały tomik. Nie godzi się cytować go we fragmentach, a wierzę, że autor nie obrazi się za przytoczenie całości:

Czasem się wiersze pisze, czasem się je robi z języka, chodzi na podsłuchy, w miejscach publicznych, gdzie rządzi potoczność.

To jest imię i nazwisko. To jest imię i nazwisko mojej matki. Musiała chyba umrzeć, bo ułożyłem jej nekrolog, a potem przeczytałem go w gazecie, i na pogrzebie szedłem za trumną. / Mam przed sobą jej zdjęcie wyrwane z dowodu, gdy sporządzano akt zgonu, i notes, w którym szukałem telefonów jej koleżanek. Myślę o niej dużą literą, jak o zmarłej. / Nie pozwoliłaby mi wyrwać zdjęcia z dowodu osobistego, wyjąć z torebki notesu, pójść na pogrzeb i płakać, gdyby żyła. Chyba umarła. / Wymknęła się, choć masowałem jej ręce i szeptałem do niej. Podobno zmarła przed dziesięcioma dniami. To nie zdarzyło się nigdy przedtem.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 779b625a3f

W czasie rejsów po Bałtyku szczęśliwcy mogą spotkać morświna, jedynego walenia stale żyjącego w naszym morzu.

MORZE, NASZE MORZE

Wskakujemy do Bałtyku

Konrad Malec

Z opisem podwodnych dziwów nie jestem oryginalny. Każdy kojarzy Juliusza Verne'a i jego „20 000 mil podwodnej żeglugi", choć zdaje się, że w oryginale były to ligi morskie, miara już zapomniana. Jeszcze bardziej zapomniana jest książka „Głębiny" naszego znakomitego zoologa i współtwórcy ochrony przyrody, Michała Siedleckiego, pisana przed odzyskaniem niepodległości (drugie wydanie miało miejsce już w wolnej Polsce). Uczony o międzynarodowej sławie próbował sił w literaturze, pisząc powieść fantastyczno-naukową dla młodzieży – chciał jej przybliżyć przyrodę i zachęcić do wyboru zawodów przyrodniczych. Jeden z rozdziałów poświęcony jest bałtyckiej przyrodzie i polskiemu wybrzeżu. Powieść może ustępuje książce Verne'a pod względem fabularnym, ale co do opisów technicznych nieistniejących urządzeń – obaj autorzy są porównywalni, z tym że statek podwodny naszego rodaka wzorowany jest na orzeskach. Pod względem opisów przyrodniczych zaś to Siedlecki dzierży palmę pierwszeństwa.

Sam Siedlecki, poza zoologią, biologią morza i ochroną przyrody, powinien zapisać się w pamięci jako człowiek, który wraz z prof. Franciszkiem Krzyształowiczem opisał patogenezę kiły i biologię powodującej ją bakterii – krętka bladego, a z odkrywcą samego krętka, Fritzem Schaudinnem, przyczynił się do wyjaśnienia patogenezy malarii. 6 listopada 1939 r. został aresztowany w Sonderaktion Krakau, wymierzonej w krakowskich akademików, których osadzono w Sachsenhausen. Większość z nich odzyskała wolność po międzynarodowej interwencji dyplomatycznej, niestety Siedlecki zwolnienia nie doczekał.

Niezwykłych istot w Bałtyku jest wiele, niestety nasze morze umiera.

Zimowe i letnie

Ale do rzeczy, zacznijmy od obserwacji na powierzchni wody. Jestem miłośnikiem zimowego morza, kiedy można spotkać ptaki morskie, dla których jesteśmy ciepłym krajem, choć niektóre odbywają lęgi na północnych wybrzeżach Bałtyku, a nawet na Rugii i Bornholmie. By zobaczyć takich gości, najlepiej wybrać się na obserwacje krótko po sztormie, który spycha ptaki ku wybrzeżu. Kiedyś jedno z moich zajęć zawodowych pchnęło mnie do Trójmiasta akurat po zimowym sztormie. Oj, miałem wówczas obserwacji co niemiara: nurzyki (krewni maskonurów, zresztą inni ich krewniacy, a sporadycznie nawet sami właściciele barwnych dziobów zapuszczają się na polskie wybrzeże), markaczki, uhle, lodówki czy edredony (morskie kaczki zimujące na morzach).

Zimą można też skorzystać z rejsów na ptaki. Wyjątkowi szczęśliwcy w czasie rejsów po Bałtyku dostrzegą morświna, jedynego stale żyjącego w Bałtyku walenia, bliskiego krewnego delfinów – w przeciwieństwie do nich morświny unikają towarzystwa ludzi. Zresztą niechętnie dłużej przebywają przy powierzchni, toteż spotkaniem z nimi mogą się pochwalić nieliczni. Niestety, ssaki te niemal wyginęły w Bałtyku, dawniej były celowo tępione, dziś to raczej przypadkowe ofiary sieci rybackich. A życie w jednym z najgęściej wypełnionych statkami akwenów nie

eprasa.pl 779b625a3f

należy do łatwych, nieustanny hałas dezorientuje zwierzęta posługujące się echolokacją. Swoje dokładają zanieczyszczenie wody i ubytek ryb, którymi żywią się te ssaki. W efekcie bałtycka populacja stanęła na krawędzi zagłady, jej liczebność przed niemal dekadą oszacowano na mniej niż 500 osobników!

Pamiętam rozmowę z nieżyjącym już prof. Krzysztofem Skórą, twórcą fokarium w Helu, który o bezczynności władz w sprawie morświnów powiedział, że nasi politycy nie dojrzeli do tego, że w XXI w. utrata dużego gatunku ssaka jest na arenie międzynarodowej obciachem dla państwa, które do tego dopuściło. Cóż, od tego czasu minęło niemal półtorej dekady i nic się nie zmieniło.

Sercówka drobna to endemit, poza Bałtykiem nie spotkamy jej nigdzie na świecie.

Tymczasem w środku lata również warto wypatrywać ptaków na tafli morza. Z pewnością przy brzegach będzie wiele kaczek, głównie krzyżówek, ale przy odrobinie szczęścia może nam się przytrafić np. edredon, uchodzący za ptaka o najcieplejszym pierzu – wykonuje się z niego odzież dla polarników. Gdy kilka lat temu płynąłem promem na Bornholm, przytrafiła mi się para uhli. Poza kaczkami spotkamy wszechobecne mewy, w większości srebrzyste i śmieszki, ale przy odrobinie wysiłku poznamy mewy białogłową, czarnogłową, małą czy siwą. Ponadto perkozy dwuczube i łabędzie, choć to też raczej ptaki przybrzeżne.

Jeśli zejdziemy pod powierzchnię wody, świat ryb nie będzie już tak bogaty jak w powieści Siedleckiego, kiedy to morze wydawało się niewyczerpywalnym dobrem. Akurat autor „Głębin" powinien zdawać sobie sprawę z ubywania bałtyckich zasobów, tym bardziej że pierwsze ślady świadomości zjawiska znajdziemy już w średniowieczu. Wówczas Krzyżacy wprowadzili pierwsze zasady ochronne w połowach jesiotrów. Niestety, jesiotry w Bałtyku właściwie wyginęły, ostatni w Wiśle (to ryby dwuśrodowiskowe, żyją w morzach, ale na tarło płyną do rzek) w 1965 r., a ostatni w Bałtyku i jego rzekach w roku 1996. Wówczas też okazało się, że wbrew temu, co myśleliśmy, bałtyckie ryby należały do gatunku jesiotr ostronosy, a nie zachodni.

Łowione u nas niekiedy jesiotry to uciekinierzy z hodowli, najczęściej międzygatunkowe hybrydy, które dają wyższe przyrosty mięsa w stosunku do dzikich pobratymców. Jednak od 1996 r. Instytut Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie z Instytutem Ekologii Wód i Rybactwa Śródlądowego w Berlinie prowadzą akcję restytucji tych ryb w bałtyckich wodach. Osobniki są znakowane, stąd prośba naukowców, by schwytane jesiotry wypuścić (swoją drogą to gatunek podlegający ochronie od 1936 r.) i powiadomić olsztyńskich naukowców o szczegółach zdarzenia (stosowny formularz zamieszczony jest na stronie instytutu).

Miejmy nadzieję, że ryby te znów będą cieszyły nasze oko, a z czasem może i podniebienie, jeśli gatunek się odrodzi. Ikra jesiotrów jest niemal mitycznym przysmakiem, kosztującym fortunę, ale i mięso cieszy się uznaniem, a jest go sporo, ryby te bowiem mogą dorosnąć do 4 m długości i 350 kg wagi. Problem w tym, że obecna władza ma zamiar wylać jesiotry z kąpielą. Choć na program wydano miliony złotych, to kolejne biliony rząd chce utopić w programach dewastacji polskich rzek, kryjących się pod przyjaźnie brzmiącymi hasłami „użeglownienia" i „retencji".

Dorsze na krawędzi

Innych ryb też ubyło, najlepiej to widać na przykładzie dorszy, które w Bałtyku są na krawędzi zagłady i niestety wiele wskazuje, że się z niej zsuną. W tym fatalnym położeniu znalazły się przez nadmierne połowy i protesty państw bałtyckich przeciw zakazowi połowów (w czym Polska przodowała); kiedy wreszcie zakaz przegłosowano, niewiele ryb doczekało ochrony. Swoje dołożyły zanieczyszczenia wód, a także zmiany klimatyczne, które ograniczyły ilość wlewów z Morza Północnego do Bałtyku. Właśnie te wlewy w znacznej mierze decydowały o liczebności ryb rozmnażających się w bałtyckich głębinach, a do takich należą dorsze. Co kilka lat potężne sztormy na Morzu Północnym wprowadzały zasolone i dobrze natlenione wody do najmniej słonego morza świata. Skoro jesteśmy przy „naj", warto wspomnieć, że to zarazem najmłodsze morze, zrodzone po ostatniej epoce lodowcowej. Ma to swoje konsekwencje, o których za chwilę. Co istotne dla dorszy, wspomniane wlewy stają się coraz rzadsze. Konsekwencje naszego majstrowania przy klimacie będą poważniejsze w nieodległej (geologicznie) przyszłości. Choć poziom wód morskich generalnie się podniesie, Bałtyk zapewne zmieni się ponownie w słodkie jezioro – gdy stopnieją skandynawskie lodowce, półwysep uwolniony od ciężaru zacznie się unosić i zamknie cieśniny duńskie. Już widzę głupawe uśmieszki denialistów, czyli ludzi kwestionujących ustalenia naukowe, ale coś takiego wydarzyło się 9 tys. lat temu. Gdy tamtejsze lodowce w znacznej części stopniały, Skandynawia się uniosła, odcinając ówczesne Morze Yoldiowe i zmieniając je na tysiąc lat w Jezioro Ancylusowe (ochrzczone tak od naukowej nazwy rodzaju ślimaków, do którego należy przytulik strumieniowy; możecie go znaleźć we wszelkich słodkich wodach, nawet w ubogim Morskim Oku, nazwa morza zaś pochodzi od pewnego gatunku małża).

Bałtyckie dorsze, wskutek niskiego zasolenia, rosną znacznie mniejsze niż w pełnosłonych akwenach.

Bałtyckie dorsze, wskutek niskiego zasolenia, rosną wyraźnie mniejsze niż w pełnosłonych akwenach. To samo dotyczy innych organizmów, np. śledzi czy spokrewnionych z nimi szprotów. Śledzie

FOT.SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 779b625a3f

z Morza Północnego osiągają 30, a nawet 45 cm, bałtyckie są dużo mniejsze, a we wschodnim Bałtyku wykształcił się skarlały podgatunek, zwany sałaką lub śledziem bałtyckim, którego olbrzymy osiągają zaledwie 24 cm. Ryby te masowo poławiano w latach 70. i 80., kiedy ich połowy dochodziły do 400 tys. ton. Dziś rybacy o takich połowach mogą tylko pomarzyć.

Małże et consortes

Karłowacenie dotyka nie tylko ryby, przykładowo zasiedlająca przybrzeżne podmorskie łąki krewetka bałtycka ma góra 6 cm, jej krewniaczki w Morzu Północnym mierzą 2 cm więcej. Jeszcze lepiej widać to na przykładzie omułków jadalnych – tych czarnych małży, które znajdujemy na plażach. W Europie Zachodniej są popularnym daniem, bałtyckie nie osiągają rozmiarów budzących zainteresowanie szefów kuchni.

Jeszcze ciekawiej prezentuje się inny małż naszego morza, sercówka drobna. To endemit, czyli poza Bałtykiem nie spotkamy jej nigdzie na świecie. Sercówki to chyba najczęściej zbierane na pamiątkę muszelki, mają kształt serca, z prążkami na skorupce. Zbieramy zwykle sercówki pospolite, które są euryhaliczne, co oznacza, że tolerują znaczne różnice w zasoleniu wód. W Bałtyku nie przekraczają 3 cm, podczas gdy w morzach pełnosłonych ich średnica to nawet 5 cm. Z nich właśnie wyewoluowały sercówki drobne, osiągające zaledwie 1 cm i żyjące góra półtora roku. W ciągu ledwie kilku tysięcy lat pod wpływem środowiska wykształcił się nowy gatunek! Z ciekawostek – małże te przyczepiają się do dna bisiorem, wytworem własnych ciał, który od starożytności pozyskuje się i tka z niego jedne z najdroższych tkanin świata. Obecnie to rzadkość, ale załoga kapitana Nemo, która zerwała związki z lądem, była odziana w tkaniny z bisioru.

Z kolei do małży przyczepiają się pąkle – te małe, białe twory, które najlepiej widać na czarnych muszlach omułków, ale znaleźć je możemy na wszelkich twardych zanurzonych przedmiotach, takich jak gałęzie, burty statków czy elementy ochrony nabrzeża. Wielu ludzi bierze je za jeszcze jedne małże, w rzeczywistości są to skorupiaki, które jako dorosłe osobniki wiodą osiadły tryb życia. Z wapiennych osłonek wysuwają tylko sześć par odnóży, którymi odfiltrowują pokarm z wody. A właściwie nie tylko, bo u tych zwierząt dochodzi do zapłodnienia wewnętrznego – nie mogą, jak koralowce czy gąbki (też spotykane w Bałtyku, a nawet w naszych wodach słodkich) wypuścić gamet do wody i liczyć na łut szczęścia. Panowie muszą trafić gdzie trzeba. By odnaleźć partnerkę, wysuwają penisa, znacznie dłuższego niż odnóża filtrujące, i nim wyszukują samice w sąsiedztwie.

Pąkle znajdziemy głównie w strefie przybrzeżnej, podobnie jak najbardziej znane polskie meduzy – chełbie modre. Od kilku lat spotykam się z obawami ludzi, że zostaną poparzeni przez te małe i niegroźne zwierzęta. Nasze meduzy żywią się zawiesiną i drobnymi organizmami, które przyklejają się do ich płaszcza, a następnie ze śluzem zsuwają się ku otworowi gębowemu. Ale by pozostawić w Czytelnikach ziarno niepokoju, wspomnę, że na pełnym morzu, choć bardzo rzadko, można się zetknąć z okrytą złą sławą bełtwą festonową. Zwykle jej średnica nie przekracza pół metra, ale największe znane osobniki mierzą 2 m i mają 30-metrowe czułki. To ona była morderczynią w jednym z opowiadań o Sherlocku Holmesie Arthura Conan Doyle'a. W rzeczywistości jej jad nie zagraża życiu człowieka, choć poparzenia są bardzo bolesne.

Bałtyk to miejsce zamieszkania kraba brzegowego, zwanego zielonym lub raczyńcem jadalnym.

Mali drapieżnicy

Wiele osób uważa bełtwę za nazbyt egzotyczną, by mogła zamieszkiwać nasze morze. Ale takich niespodzianek mamy więcej. Rozgwiazda? Proszę bardzo, rozgwiazda czerwona, skoro mieszka na niemal całej kuli ziemskiej, to dlaczego miałaby sobie odpuścić Bałtyk? Rzecz jasna, nie osiąga tak imponujących rozmiarów jak w morzach pełnosłonych, ale i jej ofiary są znacznie mniejsze. Dobrze przeczytaliście, ofiary, te niepozorne zwierzęta są drapieżnikami. W ich menu dominują małże, do których skorupy przylegają nóżkami ambulakralnymi (w pewnym uproszczeniu to takie skórne wypustki, napędzane

eprasa.pl 779b625a3f

płynem, łatwo je zauważyć, obserwując rozgwiazdę spacerującą po szybie akwarium) i ją rozwierają. Wystarczy, że rozgwiazda uchyli muszlę na milimetr, wówczas wynicowuje żołądek i wpuszcza go do wnętrza domostwa i zarazem szkieletu ofiary.

Rozgwiazdy znajdziemy tylko w zachodniej części akwenu, po wysokość Kołobrzegu, dalej jest dla nich za słodko, podobnie jak dla przejrzystek. Te ostatnie to nasze krewniaczki, podobnie jak my (a także lancetniki, ryby czy ptaki) są strunowcami, czyli mają strunę grzbietową przynajmniej w pewnym momencie życia (u nas zanika na etapie płodowym, zastępuje ją kręgosłup). Przejrzystki lubią twarde dno, na którym wiodą życie osiadłe, odfiltrowując pokarm. Ponoć są jadalne i smaczne, co z kolei upodabnia je do kraba wełnistoszczypcego. Po prawdzie jada się go wyłącznie w Chinach, ale może i u nas znajdą się amatorzy? Niestety, to przybysz na gapę z Dalekiego Wschodu, u nas wypiera rodzime gatunki skorupiaków, niszczy roślinność (jest wszystkożerny, ale preferuje sałatki) i sieci rybackie. Na szczęście w Polsce nie stwierdzono, by się rozmnażał, ale kto wie, co będzie w przyszłości?

Mamy też rodzimego kraba – kraba brzegowego, zwanego zielonym lub raczyńcem jadalnym. Ta ostatnia nazwa mówi wiele, ale nie napalajcie się, w Bałtyku osiąga zaledwie 6 cm średnicy. No i stał się bardzo rzadki, do życia potrzebuje spokojnych plaż, a na naszym wybrzeżu o to trudno. By zakończyć temat rodzimych egzotów, warto wspomnieć, że mamy przedstawicieli koralowców, takich jak ukwiał tęgoczułki. Tęgie czułki z imienia służą do paraliżowania ofiar i skierowania ich ku jamie chłonąco-trawiącej, ale spokojnie, ten zwierz nie przekracza 10 cm wzrostu i 5 cm w talii.

Z rzek do Bałtyku

Teraz egzotyka wylezie z lądu czy raczej z wód słodkich. Pamiętam, z jakim zdziwieniem przyjąłem na studiach informację o połowach szczupaków czy okoni w Bałtyku. Nasze morze jest na tyle wysłodzone, że przy ujściach rzek żyje cała masa ryb słodkowodnych. Podobno niewielki dodatek soli sprawia, że rosną nieco obficiej niż w rzekach czy jeziorach. Niestety, żaden złowiony przeze mnie w morzu okoń nie przekroczył wymiaru ochronnego. Znacznie większe rozmiary osiągnęła babka śniadogłowa, zwana również byczą (można ją kupić jako puszkowane byczki w pomidorach). To gatunek obcy i inwazyjny, a więc zagrażający tutejszej przyrodzie. Podejmowane akcje zachęcające do kupna byczków raczej nie przynoszą pożądanych rezultatów. Sam zwykle kupuję puszkę z obowiązku, ale przysmakiem bym tej ryby nie nazwał, w przeciwieństwie do fląderki.

Pamiętam czasy, gdy w nadmorskich smażalniach królowały flądry. Z tej grupy wyłonił się potem turbot, chociaż jego właściwa nazwa to skarp, a teraz widuję nazwy konkretnych gatunków. Tak, flądra to nie jeden gatunek, ale cztery (w Bałtyku), w dodatku z dwóch rodzin. Flądra pochodzi z niemieckiego i była nazwą handlową ryb charakteryzujących się spłaszczoną i asymetryczną budową ciała. Choć są też ryby mające w nazwie flądrę, to nie występują w Bałtyku. Polskim odpowiednikiem flądry jest płastuga, niestety rzadko używana w mowie. Część larw naszych bohaterek przewraca się na prawy bok (rodzina flądrowatych, choć u storni 70% osobników przewraca się na lewy), a część na lewy (rodzina skarpiowate). Wszystkie są drapieżnikami, mniejsze żywią się planktonem, w miarę wzrostu chwytając coraz większe ofiary, w tym małe ryby.

Karłowacenie dotyka nie tylko ryby. Zasiedlająca przybrzeżne podmorskie łąki krewetka bałtycka osiąga zaledwie 6 cm.

Niezwykłych istot w Bałtyku jest więcej, z wielu korzystamy, jak ze wspomnianych ryb w smażalni. Inne oddają nam usługi ekosystemowe. Niestety, nasze morze umiera. Może warto przy okazji nabierającej rumieńców kampanii wyborczej pytać naszych potencjalnych przedstawicieli, co zamierzają zrobić z fatalnym stanem polskiego okna na świat.

Konrad Malec

Nazwaliśmy ją Królewna. Gdy weszłam do jej obórki, i jej wielkie, przerażone oczy spoczęły na mnie - nogi ugięły się pode mną i straciłam rozum. O niczym innym nie mogłam już myśleć tego dnia. Wiedziałam, że bez niej nie wyjdę.
Porobiłam trochę zdjęć, jakiś film - wszystko, co pomoże powiedzieć światu o niej. O Królewnie. Wszystko możesz zobaczyć na naszej stronie.
Teraz, gdy już siedzę w aucie, wkoło zapada zmrok. Ot ciepły, sierpniowy wieczór. Mijamy oświetlone drogi, stacje i gdy mamy przed sobą jeszcze 550 km, chcę Wam o niej opowiedzieć. Bo mam dłuższą chwilę.
Te nóżki. Królewna nie mogła się ruszyć. Nie mogliśmy jej wyprowadzić. Zapierała się, wyginała i wtulała w ścianę a jej oczy robiły się coraz większe. Nogi jednak pozostawały bez ruchu. Zdeformowane stawy, wygięte kopyta, które dawno kowala nie widziały. Cała spięta, obolała i zdana na ludzką łaskę. Handlarz mówi, że nie chce jej karmić, bo za dużo leży, jeszcze mu tu padnie. Pozbyć się chce. Byle szybko. Póki Królewna żyje.
Nie to, żebym ją znała. Znam ją cały kwadrans. Tyle zajęły mi zdjęcia, danie zadatku, podpisanie umowy.
A czemu Królewna? Chyba dlatego, że całe swoje życie była tylko poniewierana. Chyba chciałam, żeby raz w życiu poczuła się kimś ważnym. Była dotąd nikim. Gdy ją zobaczyłam, została Królewną.
Służyła Królewna innym - swoim wygiętym kręgosłupem i wykrzywionymi nogami. Nie wiem jak doszła tu, gdzie dziś stoi.
Ale wiem, że sama nigdzie stąd nie pójdzie. Bez Ciebie zostanie tu do chwili, gdy po nią przyjdą. I jej wykrzywione nóżki poniosą ją ku jej przeznaczeniu.
Musimy zebrać 4800 zł do 12 sierpnia, aby opłacić jej życie i transport. Proszę, wróć ze mną po Królewnę. Nikt inny się tu po jej Królewską Mość nie zjawi. Nikt inny nie podaruje jej godnych, ostatnich lat życia.
Jesteś jej jedyną nadzieją. Jedyną jaką kiedykolwiek miała.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem KRÓLEWNA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350. Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści KROLEWNA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

eprasa.pl 779b625a3f

David Gray

Ian MacNicol

WORLD SPORTS PHOTOGRAPHY

Nic tak nie oddaje emocji sportu jak fotografia. World Sports Photography Awards jest corocznym światowym konkursem, na który swoje prace zgłaszają najlepsi fotografowie sportowi. Prezentujemy zdjęcia nagrodzone przez jury złożone z ważnych postaci sportu i mediów. W tegorocznej edycji grand prix przyznano zdjęciu przedstawiającemu tenisistkę Naomi Osakę przenoszącą z kortu motyla podczas turnieju tenisowego Australian Open 2021.

Samuel Barnes

Ashley Landis

eprasa.pl 779b625a3f

AWARDS

Bartek Syta

Steve Haag

Isaac Julián Morillas Sánchez

eprasa.pl 779b625a3f

JOLKA

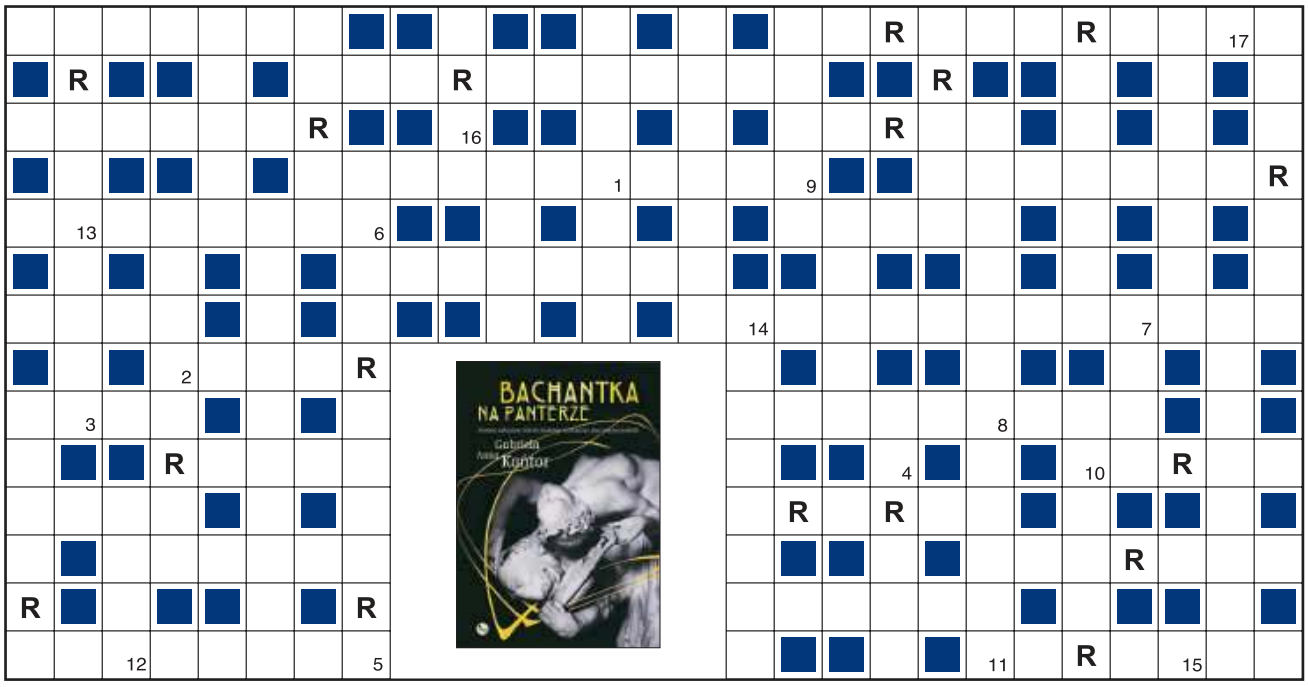

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- niektórym wisi jak kilo kitu na niej
- był nim Maciek Chełmicki
- chętny lub niezawodowiec
- dwójki lub czwórki na lodowym torze
- kwaśny owoc do herbaty
- starcie na boisku plus rewanż
- jeździec wyścigowy
- bywa ryzykowna ta wyprawa
- musical o słynnej Argentynce
- „…Agamemnona” Juliusza Słowackiego
- klub piłkarski z Mediolanu
- członek Neo-Nówki lub Ani Mru-Mru
- lok, pukiel
- uderzenie w pośladek
- krótka oficjalna informacja
- buty na wysoki połysk
- pustota trzpiota
- może mieć postscriptum
- u nas mieszkanie, w Turcji słodycze
- tłucze się po piekle
- laboratoryjne badanie bardzo małych obiektów
- jednostka objętości o skrócie ml
- stworzenie pozorów prawdy, udawanie
- dziewczyna, małolata
- głowy lub serca w perfumach
- system przewodów w budynku, urządzeniu
- przyrody lub uczty w „Panu Tadeuszu”
- rozmazanego zdjęcia – kiepska
- natowski program …dla Pokoju
- przewlekany przez szlufki
- hawajska bogini wulkanów
- …dla zwierząt – nie weszła w życie
- Władysław Reymont lub Abdulrazak Gurnah
- step w Ameryce Północnej
- koncert solisty
- narzędzie rytownika
- liftingujące wklepywane w skórę
- springer lub cocker wśród psów
- Złoty… – miasto na Dolnym Śląsku
- gołoledź jak naczynie
- pełen odpadków lub bałagan
- foliał na półce
- przegrał z Bidenem
- „…i ekstaza” Irvinga Stone’a
- pętla, w którą łapie się zwierzyna
- medalu albo wypowiedzenia
- przyrząd przetwarzający i doprowadzający prąd z sieci
- zmierzch

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1077”. Do rozlosowania książki „Bachantka na panterze” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 sierpnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1074” z nr. 30: *Cisza jest wolnością od hałasu.* Nagrody otrzymują: Józef Marańda z Końskich, Maria Sobieska z Gąbina, Mirosława Walczyk z Gdańska.

eprasa.pl 779b625a3f

Krzyżówka z wyspą

Rozmieszczenie części numerów i zaciemnionych pól w diagramie należy ustalić samemu.

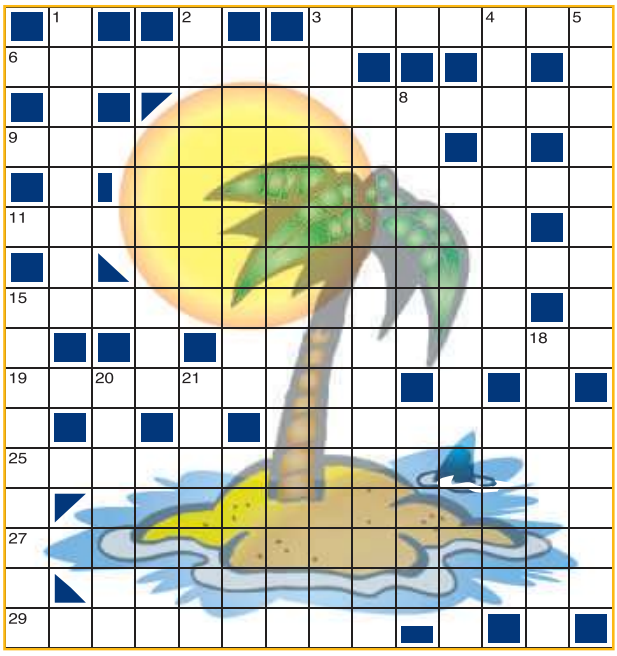

Poziomo:
3) wywierana presja, imperatyw
6) młody pęd lub żartobliwie o potomku
7) …Kotta, matka Juliusza Cezara
9) zamaskowanie, ukrycie czegoś
10) i w todze z zielonym żabotem, i na boisku
11) Fandorin, Poirot lub Monk
14) „indiański" słup reklamowy
15) wstrząs dziejowy, wichura lub aktor Rafał
16) jego królową nazywana lekkoatletyka
19) sportowy to kabekaes
24) na… boską!
25) oddział chorób wewnętrznych
26) Marysia Wojciecha Pokory lub Natalia Kingi Preis
27) jej życie bez uciech, surowe
28) dreszcze, mrówki
29) urządzenie odblokowujące jakiś mechanizm

Pionowo:
1) odmiana kapusty z kulistym zgrubieniem łodygi
2) harmonogram, rozpiska
3) rozstawiają parawany nad Bałtykiem
4) lubiło brykać z Tygryskiem
5) naciek powstający na dnie jaskini
8) coś bardzo rzadkiego lub przepysznego
12) socjeta, establishment
13) Międzynarodowe Poznańskie
15) „…koni", film Roberta Redforda
17) honorowy lub medialny nad imprezą
18) niewielka, co wykiełkowała z nasionka
20) gdy pracownicy odchodzą, a inni ich zastępują
21) między tenorem a basem
22) kanadyjsko-amerykański wodospad
23) przenosi boreliozę

Sudoku

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

		1	6	5	8	2	7	4
		4				3		
6			3	7				1
2			8					
1				4	7			9
				3	9	1		
		9			1	5		
						4	8	7
	4	6			5	9		3

ŚREDNIE

	6		7					1
	7		9	5			3	
4	2			1	3			
				3				5
		5	1		9		2	6
		6	5	4			9	
6	8	7	4			3		
	5	2						
		4	8					

TRUDNE

7	9				2			
			8				1	3
			3		5			2
	4	6				5		
					4			
						1	2	
	1			5	3	8		7
5	8		2				6	
9				4				1

PIEKIELNIE TRUDNE

	5		3			7	9	
		1		6				
9	2	3			4			1
							2	
	7	9						
	6	5				9		
4			5		7			
						5		3
	9				2	1	6	

Napoje

Z podanych liter należy ułożyć nazwy plaż i miejscowości nad Bałtykiem.

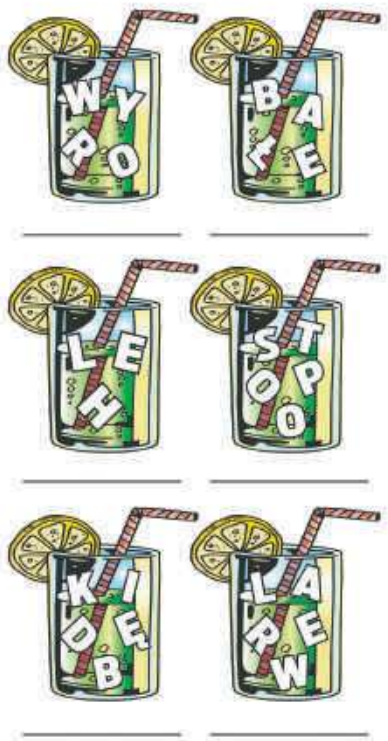

Rozwiązania na s. 64

eprasa.pl 779b625a3f

Bardzo drodzy amatorzy

Co może się zdarzyć, gdy do polityki zagranicznej biorą się posłowie? Jeżdżą przecież po świecie coraz chętniej i – jak jest okazja – skwapliwie zabierają głos. Otóż z reguły nic wtedy się nie dzieje. Z prostej przyczyny – każdy, czy to w świecie, czy na polskiej placówce, mniej więcej wie, ile „waży" dany poseł i jakie jest jego znaczenie. Czasami obecność danego posła jest przez jedno czy drugie państwo wykorzystywana propagandowo, ale są to sprawy dość rzadkie.

Jeżeli więc wyjazd zagraniczny posła (czy grupy posłów) kogokolwiek boli, to przede wszystkim księgowego, no i nas – podatników – bo rzadko kiedy wyjazdy te są tanie.

Niedawny przykład to podróż trzech polityków do Wietnamu. Do Hanoi wybrali się Paweł Bejda z PSL (przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Rozwoju Polskiego Drobiarstwa), Tomasz Latos z PiS (Polsko-Wietnamska Grupa Parlamentarna) oraz Lech Kołakowski (sekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa).

Sześciodniowy pobyt trzech polityków (podróż, zakwaterowanie, diety) kosztował 90 tys. zł. Owszem, taniej byłoby, gdybyśmy wykupili im wycieczkę…

Ale i tak na głowę bije ich Małgorzata Gosiewska, wicemarszałek Sejmu, ważna postać w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Pani wicemarszałek ma na koncie owocne wizyty w Mongolii (25,7 tys. zł), Australii (27,1 tys. zł) i Brazylii (16,1 tys. zł).

Choć daleko jej do osiągnięcia posłanki PiS Doroty Arciszewskiej-Mielewczyk, której pięciodniowy pobyt w Japonii kosztował 37,7 tys. zł.

Wszystkich przebijają zagraniczne wyjazdy reprezentacji Sejmu w piłce nożnej. Jeżdżą po świecie młodzi posłowie, a to do Azerbejdżanu, a to do Turcji albo Rumunii, żeby rozegrać mecz w piłkę z innymi posłami. Ta przyjemność kosztuje od 50 tys. zł do 130 tys. zł. Nas, podatników.

Nie ma sensu oceniać tego rodzaju wizyt z punktu widzenia uzysku dyplomatycznego, one innym sprawom służą. Ale jest wyjątek. Za taki uznajemy Marka Suskiego i jego szczególną sympatię do Chin. Suski chętnie tam jeździ i regularnie uczestniczy w różnych przedsięwzięciach. Między innymi brał udział w „wydarzeniach towarzyszących ogłoszeniu międzynarodowego Turnieju Pianistycznego", a także spotkał się z przedstawicielami wydziału kultury Pekinu.

Ostatnio zaś uczestniczył w seminarium internetowym „Stulecie dobrobytu – 100. rocznica powstania Komunistycznej Partii Chin" organizowanym przez chińskie MSZ. Krytykowano go za to, chyba zupełnie niepotrzebnie. I tak bowiem ma w historii stosunków polsko-chińskich swoje miejsce i zostanie zapamiętany na lata. Otóż w roku 2017 Suski uczestniczył w międzynarodowej konferencji „China-Central and Eastern European Countries Political Parties Dialogue". Na konferencji przedstawiciele państw europejskich oraz Chin rozmawiali o dialogu politycznym. Tematyka najwyraźniej zachęciła Suskiego, bo poprosił o głos. Po czym swoje wystąpienie wygłosił… po polsku, bez tłumacza. Nikt nie rozumiał, o czym mówi. Ważne, że zorientowano się, kiedy skończył. Wtedy został nagrodzony brawami.

I jak tu nie cenić najstarszej dyplomacji świata?

Attaché

Kolejny protest pod Sejmem przeciwko budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego, 4 sierpnia 2022 r.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 779b625a3f

PENETRACJE

AGATA PASSENT,
FELIETONISTKA

Wszędzie można wdepnąć w żmijowisko. Do lęków przed związkiem dołącza obawa przed patologicznymi narcyzami. A nuż trafimy na „rozkoszny" typ w stylu Borisa Johnsona, a ten się do nas przywiąże? Koleżankom i kolegom oznajmiał, iż „the flamethrower will not get [me out]". Zaszył się w gabinecie i szantażował, że będą musieli wykurzyć go miotaczem ognia. Aż trudno pojąć, dlaczego niektórzy publicyści radzą córkom studiować w Oksfordzie, jeśli miejsce to roi się od takich rozpieszczonych bachorów, przekonanych o tym, że zarzuty wobec nich są zawsze bezzasadne.

MARTA LIPIŃSKA,
AKTORKA

Ważne jest docenianie każdego momentu, najbanalniejszej – pozornie – chwili. To samo powiedział mi Sławek Mrożek, którego nad wyraz ceniłam: „Nie ma innego życia, jak tylko następne pięć minut. Reszta to wyobraźnia". Trafne i mądre. Trzeba chwytać czas, który teraz mamy, nie wybiegać za bardzo w przyszłość, bo ona… może wcale nie nadejść, więc po co się zamartwiać? Nauczyłam się więc być wdzięczna za małe chwile. I… za małe szczęścia.

PAWEŁ ŁOZIŃSKI,
REŻYSER FILMÓW DOKUMENTALNYCH

Miałem panią wychowawczynię, która smutno kiwała głową: „Łoziński, ty się nie przyjmiesz w żadnym kolektywie". Wtedy, prawdę mówiąc, byłem z tego dumny, bo to słowo nie pachniało mi dobrze. Wszyscy tak samo ubrani, tak samo myślący i mówiący? Chyba już mam swoje miejsce, więc nie mam ambicji, żeby się specjalnie wyróżniać. Być w jakiejś dobrej ludzkiej wspólnocie – to jest dzisiaj dla mnie wartością.

MACIEJ STUHR,
AKTOR

W szkole teatralnej robiliśmy z Wajdą „Jak wam się podoba". Kiedyś mistrz gdzieś pojechał i parę prób przejęła Anna Polony. Postanowiła wprowadzić dyscyplinę, bo pan Andrzej nie był tym zainteresowany. Zrobiła nam karczemną awanturę, że nie umiemy tekstu, że się spóźniamy… I nic z nas nigdy nie będzie. Wszyscy stoją na scenie, bo to była scena zbiorowa, uszy po sobie, a ona z widowni drze się na nas potwornie. Byłem wtedy z Jurkiem Trelą w parze, ja grałem Orlanda, a on służącego, nosiłem go nawet na barana. Stoję, słucham tej Polony i nagle czuję, że coś mi skubie spodnie. Pies jakiś czy co? Zerkam, a Trela stoi za mną i szepcze: „Ty, gdzieżeś se te spodnie kupił?".

Fotografka Annette Gregory uchwyciła rzadki okaz – białego jelenia na rykowisku w Parku Narodowym New Forest w Lyndhurst, w Anglii.

FOT. MEDIA DRUM/EAST NEWS

Aby język giętki…

ANDRZEJ SEWERYN
O TYM, O CO CHODZI W ŻYCIU

O to, żeby robić więcej dobra niż zła. Tylko tyle i aż tyle.

JAN TOMASZEWSKI
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Przeszedł z lepszego klubu do słabszego. Nie tylko pod względem sportowym, ale także finansowym. To klub, który działa na debecie, a kupuje zawodników na pęczki.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA
O EWIE KOPACZ

Bardzo szybko chodziła. Zanim się człowiek obejrzał, premier była już gdzie indziej.

MAREK KOSSOWSKI
O PIOTRZE NAIMSKIM

Największe osiągnięcia ma w budowaniu własnego wizerunku, bo jego dokonania na stanowisku pełnomocnika rządu są dość skromne.

RADEK RAK O PISANIU

Literatura ma sens wtedy, kiedy ma odbiorcę. Dopiero w momencie przeczytania książka zaczyna istnieć.

PROF. JAROSŁAW FLIS
O OPOZYCJI

Nie wygląda na to, żeby wyciągnęła wnioski z porażek. Popadła w takie myślenie, że jest obozem oświeconych walczących z ciemniakami, a tak nie da się wygrać.

AGNIESZKA GROCHOWSKA
O WŁASNEJ AMBICJI

Ja nawet na zakupach chciałam być najlepsza, mieć wszystko ogarnięte.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA
O TRWAŁOŚCI PRZYJAŹNI

Czy intensywna relacja, która trwa kilka miesięcy albo lat, a potem się kończy, nie jest prawdziwa? Czy koniecznie musi być na zawsze?

AGATA PRUCHNIEWSKA
O TOMASZU KOCIE

Dwumetrowy facet z duszą dziecka. Od początku miał wielką wiarę w siebie.

eprasa.pl 779b625a3f

MEMY BEZ ŚCIEMY

ROZWIĄZANIA

■	K	■	■	G	■	■	P	R	Z	Y	M	U	S
L	A	T	O	R	O	Ś	L	■	■	■	A	■	T
■	L	■	■	A	■	■	A	U	R	E	L	I	A
K	A	M	U	F	L	A	Ż	■	A	■	E	■	L
■	R	■	■	I	■	■	O	B	R	O	Ń	C	A
D	E	T	E	K	T	Y	W	■	Y	■	S	■	G
■	P	■	L	■	A	■	I	■	T	O	T	E	M
Z	A	W	I	E	R	U	C	H	A	■	W	■	I
A	■	■	T	■	G	■	Z	■	S	P	O	R	T
K	A	R	A	B	I	N	E	K	■	A	■	O	■
L	■	O	■	A	■	I	■	L	I	T	O	Ś	Ć
I	N	T	E	R	N	A	■	E	■	R	■	L	■
N	■	A	■	Y	■	G	O	S	P	O	S	I	A
A	S	C	E	T	K	A	■	Z	■	N	■	N	■
C	■	J	■	O	■	R	■	C	I	A	R	K	I
Z	W	A	L	N	I	A	C	Z	■	T	■	A	■

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Bo w nich jest seks

Amerykańska marka modowa Rose In Good Faith wypuściła na rynek limitowaną kolekcję butów, które powstały z… wibratorów. Współpraca z Doc Johnson, firmą produkującą zabawki erotyczne, pozwoliła uzyskać odpowiednią ilość uszkodzonych akcesoriów. Zostały zmielone na drobne fragmenty, a uzyskane tworzywo – scalone pianką EVA. Przyjazne dla środowiska obuwie kosztuje 130 dol., a reklamowane jest jako wodoodporne i bardzo wygodne, m.in. dzięki dodatkowej wkładce z korka. Ciekawe, skąd wzięli korek…

Pokonał się sam

Miłośnik wieloosobowej gry komputerowej „Diablo Immortal" wydał 100 tys. dol. na oferowane przez jej producenta ulepszenia dla swojej postaci, po czym stracił możliwość dalszej zabawy. Jego cyfrowe alter ego stało się bowiem tak potężne, że system nie mógł już mu dobierać godnych przeciwników. Rozczarowanie było podwójne, gdyż mężczyzna częściowo utrzymuje się z transmitowania na YouTubie rywalizacji z innymi fanami wspomnianego tytułu. Morał z tej historii jest mało optymistyczny: może ci się wydawać, że masz diablo sprytny plan, a i tak niewiele ugrasz!

Co łaska, ale bez przesady

W miasteczku Aversa na południu Włoch wydarzyła się bójka księdza i uczestników pogrzebu. Miało do niej dojść, gdy żałobnicy zaproponowali za odprawioną mszę 25 euro. Duchowny miał uznać tę kwotę za zdecydowanie zbyt małą i wpaść w szał, a kłótnia ostatecznie przerodziła się w bijatykę, zarejestrowaną przez monitoring pobliskiego sklepu. Według świadków w wyniku incydentu, którego przebieg jest badany przez diecezję, trzy osoby trafiły do szpitala. Nasuwa się oczywiste pytanie: gdzie byli aniołowie stróże?

Zbadane są wyroki

Laboratorium Informatyki i Sztucznej Inteligencji MIT poinformowało o zaskakujących wynikach swoich badań potencjalnego wpływu Wikipedii na wyroki sądów. W ramach eksperymentu studenci prawa napisali 150 artykułów na temat decyzji irlandzkiego Sądu Najwyższego, a następnie losowo wybrana połowa tekstów została wykorzystana w najpopularniejszej internetowej encyklopedii. Okazało się, że gdy dana sprawa jest opisana w serwisie, szanse powołania się na nią w uzasadnieniu wyroku rosną o jedną piątą. – Nietrudno sobie wyobrazić zaradnego, który będzie zachęcał swoich prawników, by na wczesnym etapie postępowania do artykułu w Wikipedii dodali własną analizę odpowiedniego precedensu – alarmuje dr Neil Thompson, główny autor badania. Wychodzi na to, że Temidzie powinno się nie tylko zawiązywać oczy, ale i zabierać laptopa.

Niepożądane odczyny porandkowe

Aplikacja Unjected, czyli połączenie Twittera i Tindera adresowane do antyszczepionkowców, okazała się niebezpieczna. I nie chodzi w tym momencie o swatanie osób niezaszczepionych przeciwko groźnym chorobom ani

ROWY
ŁEBA
HEL
SOPOT
DĘBKI
REWAL

ŁATWE

9	3	1	6	5	8	2	7	4
7	8	4	1	9	2	3	5	6
6	2	5	3	7	4	8	9	1
2	9	3	8	1	6	7	4	5
1	5	8	2	4	7	6	3	9
4	6	7	5	3	9	1	2	8
3	7	9	4	8	1	5	6	2
5	1	2	9	6	3	4	8	7
8	4	6	7	2	5	9	1	3

ŚREDNIE

5	6	3	7	8	2	9	4	1
8	7	1	9	5	4	6	3	2
4	2	9	6	1	3	5	7	8
7	9	8	2	3	6	4	1	5
3	4	5	1	7	9	8	2	6
2	1	6	5	4	8	7	9	3
6	8	7	4	2	1	3	5	9
9	5	2	3	6	7	1	8	4
1	3	4	8	9	5	2	6	7

TRUDNE

7	9	3	4	1	2	6	8	5
4	2	5	8	6	7	9	1	3
8	6	1	3	9	5	4	7	2
1	4	6	7	2	9	5	3	8
2	5	8	1	3	4	7	9	6
3	7	9	5	8	6	1	2	4
6	1	2	9	5	3	8	4	7
5	8	4	2	7	1	3	6	9
9	3	7	6	4	8	2	5	1

PIEKIELNIE TRUDNE

6	5	4	3	2	1	7	9	8
7	8	1	9	6	5	4	3	2
9	2	3	7	8	4	6	5	1
1	4	8	6	7	9	3	2	5
2	7	9	1	5	3	8	4	6
3	6	5	2	4	8	9	1	7
4	3	6	5	1	7	2	8	9
8	1	2	4	9	6	5	7	3
5	9	7	8	3	2	1	6	4

eprasa.pl 779b625a3f

Najlepsi przyjaciele – nowofundland Sven i kaczka Olaf. Jessie Vallier uratowała obu dwa lata temu w odstępie miesiąca. Odkąd zamieszkali w jednym domu, są nierozłączni.

o sekcję platformy, w której można zaoferować chętnym swoje jajeczka, nasienie czy mleko, a także zgłosić gotowość zostania surogatką. Mamy na myśli poważne niedociągnięcia informatyczne, za sprawą których dane użytkowników wyciekły do sieci, co oznacza ryzyko rozmaitych nadużyć ze strony cyberprzestępców. Trzeba przyznać, że w tej sytuacji trudno o zastrzyk optymizmu.

Coś na spie-kotę

Właścicielom psów i kotów, które źle znoszą upały, firma z Tokio zaproponowała ubranie zwierzaków w przewiewne siatkowe kubraki z zamontowanym na plecach wiatraczkiem. Sweet Mommy, specjalizująca się w odzieży dla kobiet w ciąży, zapewnia, że jej produkt powstał we współpracy z weterynarzem, jest komfortowy i bezpieczny. Wiatraczek z tworzywa sztucznego waży zaledwie 80 g, pracuje cicho i nie zaczepia się o sierść, a przy dwóch dziesięciominutowych spacerach dziennie zamontowana w nim bateria ma wytrzymać mniej więcej trzy miesiące. Kubraki są dostępne w pięciu rozmiarach, a cena jednej sztuki to równowartość ok. 350 zł. O jeny, całkiem sporo…

FOT. SARKA FARKA (2),A-MEM, CATERS NEWS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 779b625a3f

OPOWIEŚCI OKRUTNE

Aleksandra Waliszewska (ur. w 1976 r.) jest absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Pochodzi z rodziny o wyjątkowych tradycjach artystycznych, jest czwartym pokoleniem twórczyń. Ponad 200 prezentowanych prac ukazuje jej twórczość w dialogu z nieobecnymi w zachodnim kanonie symbolistami z Polski, krajów bałtyckich, Czech i Ukrainy. Pozwala to spojrzeć w szerokim kontekście na zajmujące Waliszewską motywy baśniowe, apokaliptyczne scenariusze i przesiąknięte znaczeniami bałtosłowiańskie krajobrazy: mokradła, leśne ostępy, zagubione autostrady i ponure przedmieścia.

Muzeum nad Wisłą
Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie 22
do 2 października

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 779b625a3f

STODOŁA more than live music

KLUB STODOŁA
ZAPRASZA NA KONCERTY!

EDYTA GEPPERT
6 LISTOPADA 2022

ANIA DĄBROWSKA
20 LISTOPADA 2022

LUXTORPEDA
25 LISTOPADA 2022

RAZ, DWA, TRZY
7 GRUDNIA 2022

40-LECIE
LADY PANK
17 GRUDNIA 2022

BASIA TRZETRZELEWSKA
20 STYCZNIA 2023

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA NA:

Capitalne lato w mieście 2022!

DLA DZIECI

I MŁODZIEŻY!

BRZECHWA 2020

PO SPEKTAKLU WARSZTATY TEATRALNE ORAZ ANIMACJE RUCHOWE :)

ZAGRAMY:

2, 3, 24 oraz 25 sierpnia o godz.10:00

SZCZEGÓŁY:

wwww.teatrcapitol.pl/capitalne-lato-w-miescie

Projekt współfinansuje m.st. Warszawa

zakochaj się w Warszawie

Patroni Medialni: MAXXX, Telegraficzne, Rzeczpospolita, ams, onet, Poradnik, Kobiety, Familie.pl, abc, Czasdzieci, BABYGO

Partnerzy Teatru: Trefa Music, Obog.pl, Aktywna Warszawa, bambino

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl